



Nawrócona
Stefan
Hertmans

MARGINESY

Nawrócona Stefan Hertmans

Z niderlandzkiego przełożyła
ALICJA OCZKO

MARGINESY

Tytuł oryginału DE BEKEERLINGE
Przekład ALICJA OCZKO

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja EWA POLAŃSKA
Konsultacja REGINA GROMACKA
Korekta ANNA SIDOREK, JAN JAROSZUK
Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne ANNA POL
Na okładce wykorzystano zdjęcie Gertrude Käsebier *The Sketch*, 1902, ze zbiorów Rijksmuseum w Amsterdamie

Lamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com



This book was published with the support of Flanders Literature
(flandersliterature.be)

De bekeerlinge
Copyright © 2016 by Stefan Hertmans
Originally published with De Bezige Bij, Amsterdam
Copyright © for the translation by Alicja Oczko
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018

Warszawa 2018
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65973-50-4

Wydawnictwo Marginesy
ul. Forteczna 1a
01-540 Warszawa
tel./faks: 48 22 839 91 27, 48 696 451 127
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

וינמ



Dla kobiety, która pocałowała dom

Formą beczasowości są słowa: teraz i tutaj.

TOMASZ MANN, *JÓZEF I JEGO BRACIA*,
PRZEŁ. EDYTA SICIŃSKA

I

GÓRA JOWISZA

1

Jest wcześnie rano, pierwsze promienie słońca właśnie wyłaniają się zza górskiego grzbietu.

Przez okno, z którego spoglądam na dolinę, widzę w oddali dwoje zbliżających się ludzi. Sądzę, że idą ze wzgórz Saint-Hubert, z których roztacza się widok zarówno na szczyt Mont Ventoux, jak też na dolinę Monieux; potem przez jakiś czas pójdą rzadkim lasem dębowym na wyżynie, po której włóczą się wilki.

Słynna Rocher du Ciré – stroma, monumentalna skała, gdzie wysoko i w niedostępnym punkcie roi się od pszczół, a kamień w blasku słońca lśni od miodu, który dosłownie skapuje ze skały – stoi wyniosła i samotna, swoją masywnością zatopiona w porannej mgle. Tych dwoje ludzi to wszystko widziało i w milczeniu przeszło obok.

Światło pada z ukosa na niewielkie jeszcze postaci. Od miejsca, w którym obecnie posiadłość La Plane niczym warujący pies leży nad doliną, mozolnie schodzą w dół drogą w kształcie litery S, prowadzącą na lewy brzeg rzeki – dla nich jest to prawa strona, ponieważ idą pod prąd. Pojawiają się i znikają w zależności od tego, czy wyłaniają się między drzewami, czy za nimi znikają. Dotarłszy do otwartej łąki na stoku, schodzą trochę szybciej. Widzą wyłaniające się, na wpół ukończone wieże na wysokiej skalnej ścianie, niczym znak rozpoznawczy, któremu można zaufać. Gdy słońce wznosi się jeszcze trochę i oświetla dolinę poniżej, ich oczom ukazuje się wioska; ponieważ wszystkie domy zostały zbudowane z naturalnego kamienia i w półmroku były prawie niezauważalne, wydaje się, jakby wieś w jakiś cudowny sposób odrywała się od skalnej ściany i za sprawą światła nabierała kształtów. Jakby ktoś odsuwał grubą kotarę, odsłaniając uśpiony krajobraz.

Granat świtu szybko się rozplywa. Przewagę zyskują żółtoszare odcienie. Ciepłe powietrze przepędza ostatnie chmury, które zmieniają się w olbrzymie prześwitujące głązy na fioletowym niebie; ponad nurtem rzeki unosi się biały welon, który paruje w oczach. Nad dachami krąży już stado żołą pszczołojadów.

Kiedy dwoje ludzi podchodzi jeszcze kilkaset metrów bliżej, zauważam, że mężczyzna podpira się nieociosanym drewnianym kijem. Kobieta utyka, chodzenie wyraźnie sprawia jej trudność. Oboje wyglądają na wyczerpanych. Czy kobieta zwichnęła kostkę na jednej z nieprzystępnych ścieżek na wyżynach, czy ból jest spowodowany ocierającym obuwie i długimi, ciężkimi dziennymi marszami? Reguluję lornetkę i teraz dostrzegam również, że kobieta jest w zaawansowanej ciąży. Mężczyzna nosi obszerną koszulę roboczą, a na głowie prosty kapelusz. Czasem pomaga kobiecie pokonać jakąś przeszkodę, podtrzymując ją za łokieć. Za nimi wyłania się drugi mężczyzna z dużym workiem na plecach. Idzie ich śladem i prowadzi ze sobą muła.

Jak wcześnie wstali dziś rano? Czy ocknęli się z zimna pod drzewem? Czy obudzili się w gospodzie? We wspaniałej ciszy wiosennego poranka rozlega się jeszcze śpiew skowronków w nadrzecznych krzewach. Słysząc go nawet tutaj; urywane melodyjne, szaleńcze trele. Kiedy słońce znajduje się całkiem nad wzgórzem, nad wykrzywionymi dębami bezgłośnie prześlizguje się sowa i znika aż do następnego wieczoru. Ponadczasowa cisza; dalekie wycie wilka; trzepot skrzydeł kukułki monotonnie nawołującej ponad opuszczonymi lasami koło Saint-Jean. O

wczesnej porze okolica pachnie niebiańsko, emanuje niezmierną piękną. W ten wiosenny poranek kielichy wszystkich irysów są otwarte, kwitnie dzika wiśnia, rozmaryn jest obsypany małymi jaskrawymi kwiatami, wraz z ciepłem rosy wzbija się aromat tymianku. Ciepło rosy, Chamutal – przychodzi mi na myśl żydowskie imię kobiety.

Wiem, kim oni są. Wiem, przed kim uciekają.

Chciałbym ich oboje przyjąć tu, w domu, ugościć czymś pokrzepiającym, czego może jeszcze nie znają, na przykład filiżanką kawy.

Gdzie mają zamieszkać, skoro ich dom od tysiąca lat nie istnieje, a średniowieczna część wsi zniknęła pod trawą i krzewami? W parę sekund pierwszy samochód może ich przyprawić o atak serca ze strachu, przez co młoda kobieta być może przedwcześnie zacznie rodzić.

Poruszając się z trudem, para wchodzi teraz do mojej wsi.

Budzę się ze snu na jawie. Zamykam okno, rozpalam w kominku na rześkie poranne godziny, nastawiam kawę. Od czasu do czasu czuję niedorzeczną chęć wyjrzenia przez okno. Słoneczne plamy przesuwają się po starych płytkach podłogowych; jest leniwy, spokojny dzień.

*

Ta wieś nazywała się kiedyś Góra Jowisza – Mons Jovis. Na długo przed początkiem rachuby czasu ułożono tu jedno na drugich pierwsze nieociosane kamienie, co stanowiło kontynuację osadnictwa neolitycznego. Obraz zatracą się w mroku czasów, ale pozostaje namacalny w najstarszych domach wyżej położonej wsi, które obróciły się w ruinę. W starej kaplicy na skraju wąwozu znaleziono kiedyś kamień z łacińską inskrypcją poświęconą Marsowi Nabelcusowi, bóstwu czczonemu w tej okolicy przez Rzymian.

W średniowieczu prymitywne domy były rozproszone między trudno dostępnymi skałami i wyrosniętymi dębami, osłonięte wysoką skalną ścianą, naturalnym, niemal stumetrowym murem. Czasem można się jeszcze natknąć na stare piwnice pośród suchej trawy, poszycia i zarosniętych tymiankiem głązów. Ciemne jamy pachną pleśnią i ziemią, nawet w upalne dni. Tu, w tym zdziczałym miejscu pełnym jeżyn i uschniętej wyki, gdzie w ciągu dnia często siedzę, marząc, znajdowała się kiedyś izba, w której rodzono i umierano.

Okolo dziesiątego wieku wybuchały właśnie o głębokie studnie znajdujące się pod niektórymi piwnicami. Podczas upałów – osławionych *canicule* – woda była słonawa i wywoływała zatrucia wśród mieszkańców. Obwiniano o to i torturowano włóczęgów, choćby w celu pielęgnowania idei składania ofiar. Tam, na wzgórzach, w kotłowaniu *rafales*, mistrala i tramontany, stały chybotliwe budowle, bezokiennymi plecami zwrócone do wiatru, dzięki czemu przetrwały wieki. Nie różniły się w istotny sposób od prymitywnych kamiennych konstrukcji, *bories*, wznoszonych przez pasterzy na suchej równinie albo w lasach dębowych. Już wtedy robiono w kamieniu mały otwór obserwacyjny, który zimą zatykano skórą wilka czy lisa, czasem mocno napiętym pęcherzem świni.

Średniowieczne domy budowano na wąskich parcelach o grząskim podłożu. Metrowej grubości ściany, ciężkie i układane w pośpiechu, opierały się o siebie. Z biegiem stuleci stawały się coraz wyższe, ale znajomość budownictwa już nie ewoluowała. Dlatego od końca osiemnastego wieku wiele domów po prostu się zawaliło. Ruiny przekształcały się w malownicze sterty kamieni porośnięte dzikim winem, które w październiku barwi się krwistą czerwienią. Zachowane budynki od dawna wspierają się na wąskich, ciężkich fasadach jak staruszkowie na lasce. Dzięki reperacjom przetrwały wieki. Zwiertzałe spoiwo z gliny i piasku zastąpiono cementem. Stare dębowe dźwigary i zaimprovizowane przypory wzmocniono betonem, domy trzymają się razem za sprawą metalowych prętów wsuniętych przez mury, a

następnie przyśrubowanych, wykończonych ozdobną stałą kowalną w postaci zamykających pierścieni – niektóre przypominają szczypcę skorpiona.

*

To zrozumiałe, że tych dwoje zakochanych przyszło tutaj. Wieś niejednokrotnie dawała schronienie przejeźdnym i uciekinierom. Żydom w jedenastym wieku, hugenotom w siedemnastym. Kiedy o jakimś miejscu mówiono, że jest tolerancyjne, wieść o nim rozchodziła się wśród tułaczy. Około osiemnastego wieku, gdy wieś została wymieniona w annałach pod nazwą Monilis, gmina liczyła niemal tysiąc mieszkańców. Wąskie ulice były wówczas zatłoczone, pozbawione światła i na wysokości siedmiuset metrów ponure podczas zim, lecz chłodne w czasie długich upalnych miesięcy latem. W rowach tworzyła się breja stanowiąca pożywkę dla szczurów. Nimi z kolei karmiła się pchły, a pchłami dżuma. W czternastym wieku opisano pierwsze przypadki zarazy w regionie. Cztery wieki później, podczas wielkiej epidemii, która dotarła przez Marsylię, wzniesiono dżumowe mury – pilnie strzeżone grube ściany z łupków, przy których zabijano uchodźców próbujących minąć strażników. Ludzkie hieny przemierzały okolicę, żeby ograbić leżące tu i tam zwłoki z ostatnich rzeczy. Nacierały się mieszaniną tymianku, rozmarynu, lawendy i szaławii, a resztę zrobił zabobon, bo najwyraźniej środek ten chronił złodziei przed zarażeniem. Słyszałem kiedyś, jak pewna staruszka nazwała tę klasyczną już mieszankę ziół *les quatre bandits*^[4]. Mur dżumowy znajduje się zaledwie parę kilometrów dalej, zarośnięty trawą i zieleciem.

Ta surowa okolica miała poczucie własnej godności i przez wieki przeciwstawiała się centralizmowi Paryża. Ludność ulegała coraz większemu wymieszaniu. Hiszpanie, Marokańczycy i Włosi, zabłąkani marynarze, którzy przyjeżdżali z Marsylii i płodzili dzieci z miejscowymi pięknościami z suchych, niezamieszkanymi wzgórz. Nędzarze z załamionymi oczami siedzieli na wiosennym wietrze pośród dzikich irysów, maków i ubogo zasianego orkiszu. Ich dzieci miały sklepione szorstkie stopy, przenikliwe spojrzenie i pokaleczoną skórę. Czasem przechodziła tędy plądrująca banda, tu i tam grzmotnęła jakiegoś pasterza głową o ścianę, zgwałciła parę kobiet, a gdy tylko wieś obleciał strach, zabierała, co chciała. Potem znikła za grzbietem pagórków, pozostawiając wolną rękę wiatrowi, słońcu, ciszy, trwodze i modlitwom.

W ten sposób wieś, niczym włóczęga z dawnych czasów, wchodzi w wiek dwudziesty. Prawie nic się nie zmieniło; wczesnym jesiennym porankiem pasterze nadal ciągną główną ulicą ze swoimi stadami, których ciepłe ciała parują, odgłos delikatnych kopyt i cicho dźwięczących dzwonek w różnych tonacjach nie odbiega w istotny sposób od tego z czasów, gdy Wergiliusz pisał swoje sielanki; na asfalcie zostaje ślad z bobków i kłaczek wełny, podczas gdy zwierzęta się tłoczą, a jagnięta wykonują zwariowane podskoki. Listonosz, paląc papierosa, spokojnie czeka w małym samochodzie dostawczym, aż stado opuści wieś. W starym romańskim kościele nadal w niedzielę odprawia się mszę. Wierni trochę fałszują w trakcie śpiewania, w nabożnych pieśniach jest to po prostu nieodzowne.

Zimą wieś zostaje czasem na wiele dni zasypana śniegiem. Mieszkańcy żyją wtedy z zapasów w piwnicach i zamrażarkach. W czasie długiego upalnego lata przyroda jest surowa i oszałamiająca, susza nadweręża grunty, zbiera się lawendę, a nad wyżyną unosi się zapach dymu, podczas gdy z roślin tłoczony jest drogocenny olej. Pory przejściowe są najpiękniejsze; wtedy kraina może odetchnąć, w winorośli zaś brzęczą pszczoły samotnice. Rozważano kiedyś pociągnięcie linii kolejowej w poprzek wyglądającego na prehistoryczny wąwozu, w powykręcany korycie rzeki, żeby ułatwić dotarcie do wsi z niżej położonej równiny; szybko z tego zrezygnowano, ponieważ niewykonalne okazało się pokonanie drogi choćby nawet konno.

Dopiero od lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku wyżyna stała się łatwo dostępna – drogą szybkiego ruchu przez wysoki na tysiąc metrów grzbiet Les Abeilles.

Dni nie znają godzin. Można wpatrywać się w słoneczną plamę przesuwaną się po surowej podłodze, rodzaj białego światła, które zdaje się drżeć, a późnym popołudniem wspina się na ścianę, zanim zniknie. Nic się nie dzieje, oto całe wydarzenie, od którego nie można oderwać wzroku. Czas biegnie własnym rytmem.

2

Właściwie to wiejski rabin Jozua Obadiasz, stojąc wczesnym rankiem przed synagogą, widzi uchodźców, którzy schodzą ze wzgórza tamtej wiosny roku 1091. Poślaniec na koniu prawdopodobnie już kilka dni wcześniej uprzedził go o ich przybyciu. Rabin martwi się o tych młodych ludzi – nie tylko dlatego, że z powodu mieszanego małżeństwa potrzebują schronienia, lecz także dlatego, iż wie, że kobieta w najbliższych dniach urodzi, podczas gdy jemu doprowadzenie do porządku mieszkania dla nich może zająć jeszcze wiele tygodni. Będzie udzielał im dachu nad głową tak długo, jak będzie to konieczne. Może się tylko domyślać, dlaczego nie przybyli tu konno. Niewykluczone, że zostali napadnięci przez rozbójników albo koniokradów. Może przebrali się za prostych ludzi, żeby w ten sposób nie zwracać na siebie uwagi prześladowców. Czeka z niecierpliwością, aż znajdą się w obrębie murów, i wysyła żonę, żeby odebrała ich przy południowej bramie, do dziś znanej jako Portail Meunier. Kuśtykając, dochodzą do jego domu – blisko miejsca, w którym ja, tysiąc lat później, niczego nie podejrzewając, często latem spędzałem czas na czytaniu i byłem szczęśliwszy niż gdziekolwiek indziej na tym padole łez.

Chamutal ma głębokie otarcie na prawej stopie; tak mocno skręciła kostkę, że zerwała więzadła. Stopa spuchła i poczerwieniała, krew nagromadziła się, tworząc czarne plamy pod skórą i kostce grozi stan zapalny. Żona rabina zwilża ją mieszanką oleju lawendowego, pokrzywy i letniej wody. Mąż Chamutal, Dawid Todros z Narbony, informuje Jozuę Obadiasza o ostatnich wydarzeniach.

Rabin w zamyśleniu kiwa głową i skubie brodę; jego żona robi okłady na delikatną, zranioną stopę młodej kobiety.

– Jak brzmi twoje prawdziwe imię? – pyta rabin.

Dziewczyna się waha; czy on pyta o jej dawne chrześcijańskie imię?

Uprzedza ją Dawid.

– Sara – mówi. – Moja żona ma na imię Sara. Chamutal to pieszczotliwe imię, które dostała ode mnie.

Kładzie rękę na jej dłoni.

Wszyscy siedzą w milczeniu.

*

Czasy są burzliwe. Religijny pokój, ustanowiony kiedyś przez Karola Wielkiego, powoli się wykruszył przez polityczną niestabilność. Feudalni wojownicy wszędzie sięgnęli po władzę i autonomicznie rządzą swoimi terenami; centralistyczny porządek traci na znaczeniu, dochodzi do nadużyć, prawo stosowane jest dowolnie. Przez kilka wieków żydzi i chrześcijanie żyli ze sobą we względnym spokoju, teraz jednak coraz częściej są zgłaszane brutalne napady na ludność żydowską. W ostatnich miesiącach wielu Żydów z Hiszpanii uciekło na południe Prowansji – zwłaszcza do Narbony, miasteczka nad morzem, które zalewają bezdomni w poszukiwaniu szczęścia albo bezpiecznego schronienia. Ojciec Dawida, wielki rabin Narbony, którego wszyscy nazywają Roi aux Juifs, ponieważ jego ród ma się wywodzić bezpośrednio od króla Dawida, starzeje się. Z trudem radzi już sobie z pracą, jest wyczerpany i cierpi na bezsenność; poza tym martwi się losem swojego najstarszego syna i synowej.

Dwoje uciekinierów wyprawił w to odległe miejsce w Vaucluse w nadziei, że pozostaną poza zasięgiem chrześcijańskich rycerzy, których z Rouen wysłał normandzki ojciec dziewczyny, żeby ją sprowadzili z powrotem. Ucieczka w stronę Hiszpanii stanowiła zbyt duże ryzyko; na drodze do Santiago de Compostela roiło się od chrześcijańskich pielgrzymów. Teren wokół Tuluzy i Albi był z kolei zbyt niespokojny z uwagi na walki z manichejczykami i narodziny ruchów heretyckich. Z byle powodu dochodziło do utarczek i odbywały się egzekucje. Do dużych miast też nie mogli uciec: wszędzie werbowano na wyprawy na Bliski Wschód, pojawiały się zgraje odmieńców, którzy stanowili zagrożenie na drogach i wszczynali awantury z napotkanymi podróżnymi.

Rabin Todros wysłał więc świeżo zaślubioną parę w kierunku, o którym rozwścieżony ojciec Chamutał nigdy by nie pomyślał: za Arles, wzdłuż Rodanu, za niewielką garnizonową miejscowość Awinion – gdzie wtedy jeszcze nawet nie istniał słynny most – dalej w stronę Carpentras, stamtąd na wzgórze w dużej mierze niezamieszkanym Prealp, jeszcze dalej w kierunku Sisteron, na południowo-wschodnią stronę Mons Ventosus, gdzie, jak wiedział, mieszkała mała społeczność żydowska: w odludnej górskiej wiosce Moniou – zniekształcenie słów Mons Jovis. Jego kolega Obadiasz na pewno zaoferuje młodemu małżonkom schronienie i dach nad głową. Pochodzący z hiszpańskiego Burgos Jozua Obadiasz był jego przyjacielem z młodości, z czasów gdy obaj studiowali Torę w żydowskiej uczelni w Narbonne. Od 1032 roku opuszczona górzysta okolica Moniou stanowiła część Świętego Cesarstwa Rzymskiego, dla szukających żony galijskich rycerzy znajdowała się więc za granicą. Poza tym górską okolica słynęła z tego, że żydzi i chrześcijanie zwykle odnosili się do siebie pokojowo. Obadiasz aprobując skinał młodemu Todrosowi i powiedział, że jego ojciec podjął rozsądną decyzję.

*

W południe błędę po średniowiecznych ruinach wsi. Obecny burmistrz polecił niedawno nazwać pozostałości średniowiecznej dzielnicy „Le Jardin de Saint-André”, od ruin kaplicy, które znajdują się wysoko nad wsią na samej krawędzi wąwozu. Gdzieniedzie nad dziką trawą sterczy połowa romańskiego łuku. Wspinam się stromą ścieżką. Podejmowano próby odrestaurowania starych murów – romantyczne przymiarki do rekonstrukcji, zwykle w wykonaniu grupki ochotników, młodych ludzi, którzy przyjeżdżają tu spędzić lato i całymi dniami taszczą kamienie i kilofy, zanim wrócą do swojego wakacyjnego obozu. Wznoszą niewielkie budowle łudząco przypominające te prastare, obrabiają motyką wyrównane na chybił trafił tereny, pod którymi znajdują się jeszcze ruiny i na których wyrastają młode wiązy i dęby. Nikt nie przejmuje się historyczną wrażliwością tego miejsca. Obecnie wygląda ono jak zielona oaza, tarasowa zabudowa pełna dzikich kwiatów, ogrody z murkami jeden nad drugim, wzniesionymi ze średniowiecznych gruzów. Wydaje się, że od wieków nic się tu nie zmieniło. Ten spokojny ogród stanowił jednak swego czasu najbardziej zaludnioną część wsi, z wąskimi uliczkami i wysokimi mrocznymi domami gęsto obok siebie. Tętniąc życiem, panowały tu hałas, smród i codzienna różnorodność średniowiecznej symbiozy, intensywnie i mocno ze sobą połączone. Tu ludzie żyli i umierali, spali, pracowali i złorzeczyli, uprawiali miłość i wydawali na świat dzieci w najbardziej prymitywnych warunkach. Teraz kolorowy zaskroniec szybko wije się pod łamliwymi gałęziami, uciekając spod moich stóp. Parę kóz, które przedarły się za zdezelowane ogrodzenie, chodzi po skale nade mną, skaczą i przeżuwają, jak w ekstazie patrzą żółtymi diabelskimi oczami i znikają w stronę nieba za grzbietem wzgórze. Nad wysoką skałą wolno krąży myszołów. Cisza wydaje się złowroga. Jakbym głęboko pod ziemią słyszał pomruki czasu.

*

Synagoga i dom Dawida Todrosa znajdowały się prawdopodobnie blisko siebie – najwyżej dwieście metrów od miejsca, gdzie stoi stary dom, w którym piszę te słowa. Na pewno nie dalej, bo wtedy leżałyby już poza obrębem murów. Parcele domów po południowej stronie były uderzająco małe. Świadczy to o tym, że po tej stronie znajdowała się żydowska dzielnica; Żydom stale przyznawano małe działki budowlane, ograniczając w ten sposób ich wpływy i bogactwo. Dzięki temu, że parcele zbiegające się w szpic w miejscu, w którym sam mieszkam, są rozpoznawalne na napoleońskich kopiach średniowiecznych map, wiem, że już wtedy stały tu takie budynki. Dwoje uciekinierów bez wątpienia często chodziło tą uliczką. Ich obecność jest jeszcze wyczuwalna we wspianiałej ciszy dokoła. Schodzę z powrotem do dzisiejszej wsi – jakby dało się ot tak przejść z dawno zapomnianej epoki do czasów współczesnych.

Siadam przy stole do pracy i ponownie wertuję artykuł naukowy, który przed wieloma laty dostałem od sędziwego znajomego z południowych Niemiec, od kilkudziesięciu lat zamieszkującego stary idylliczny dom w pobliżu.

– Przeczytasz, jak będziesz miał trochę czasu – powiedział.

Zrobiłem kopię i włożyłem ją do szuflady starego biurka mojego dziadka, obok zeszytów, które mi kiedyś podarował. Tytuł artykułu, jak później zauważyłem, brzmi po prostu *Monieux*. Został opublikowany w 1969 roku, a jego autorem jest Norman Golb, sławny znawca dawnych hebrajskich dziejów.

3

Dopiero gdy młoda kobieta siedzi, mocząc zwichniętą kostkę w misce z olejem lawendowym, jej mąż uświadamia sobie, jaka jest wyczerpana. Opuchlizna nie schodzi, obrzęk z tymi czarno-żółtymi plamami brzydko wygląda. Dziecko gwałtownie porusza się w jej brzuchu, rabin obawia się, że kobieta zaraz zacznie rodzić. Kładą ją na krótkim łóżku z dębowego drewna, żeby odpoczęła. Ponieważ nie przestaje drżeć, rozpalają w piecu. Gdy tylko zaczyna się robić ciepło, kobieta natychmiast zasypia. Słoneczne plamy przesuwiają się po starych kafelkach.

Jest spokojny, bezwietrzny dzień. Myszołów wisi nad stromą skalną ścianą, tam, w górze, przy wieży w budowie, skąd dobiega słaby odgłos młotków uderzających o kamień. Rabin zastanawia się, jak wytłumaczyć podejrzliwemu księdzu z małego kościoła w Saint-Pierre, po drugiej stronie Moniou, że nowo przybyła jasnowłosa kobieta o niebieskich oczach jest sefardyjską Żydówką.

Okolo szóstej słońce chowa się za wysoką skałą. W mgnieniu oka światło staje się niebieskawe i blade, podczas gdy w lasach po drugiej stronie doliny drży coraz czerwieńszy żar. Po równinie przebiega powiew wiatru. Przez chwilę mocno szumią krzewy i drzewa nad brzegiem rzeki. Potem na tej opustoszałej wyżynie znowu panuje nieskończona cisza.

Kiedy jest już ciemno, młoda kobieta budzi się przerażona. Nie ma pojęcia, gdzie się znajduje, na moment wpada w panikę. Powoli dostrzega kontury ściennej szafy, ciemnej skrzyni, krzesła. Czuje, jak jej lędźwie przeszywa ostry ból, który zapiera jej dech. Wydaje zduszony okrzyk. Zaraz potem otwierają się drzwi. Na ściany pada nikły blask migoczącego płomienia. To starsza kobieta, przyniosła miskę z wodą i parę ręczników. W milczeniu, z pochyloną głową i złożonymi rękoma siada przy pocącej się i przewracającej z boku na bok ciężarnej, żeby czuwać. Szepcze stare, niezrozumiałe modlitwy. Po godzinie nasilających się bólów porodowych młoda kobieta znowu zapada w sen; w środku nocy ponownie budzi się z bijącym sercem i jest jej niedobrze z bólu. Staruszka zniknęła. Nieprawdopodobnie wielki księżyc ukazał się nad wzgórzem po wschodniej stronie. Przez małe okno wdziera się do środka światło, lśniące i drżące niczym żywa istota. Kobieta czuje, że pilnie musi się wysikać; rozespana zwleka się z łóżka, szuka rozdeptanych butów, chwiejnym krokiem wychodzi na dwór. Jej ciało przeszywa ból porodowy. Dysząc, rozgląda się skołowana po uliczce, której nie zna. Chwiejnym krokiem idzie dalej i trafia między skały i niskie krzaki. Tam kuca, z bólu kręci jej się w głowie. Myśli, że sika, ale to odchodzą wody płodowe. Ponieważ przybrała taką pozycję, poród nagle na dobre się zaczyna. Prawie nieprzytomna z bólu czuje, że jej łono się rozdziera. Jęczy jak umierające zwierzę, wyje i płacze, upada do tyłu między dwa kamienie, raniąc sobie dolną część pleców. Z jej podbrzusza wyłania się główka. Kobieta dyszy jak opętana, prze i stęka, grzebie rękami w suchej ziemi, to znów bezradnie pcha lędźwie, sięga między nogi, czuje wypływającą krew, trzęsie się ze strachu i z bólu. Księżyc zdaje się świecić jeszcze jaśniej; nocny chłód przenika jej przemoknięte podbrzusze. Kiedy coś nieruchomego wyslizguje się spomiędzy jej nóg na ziemię i żwir, na chwilę traci przytomność. Potem nagle rozlegają się wołanie i kroki w wąskiej ulicy, trzaskanie drzwi. Ktoś ją podpira, wraz z łożyskiem wypływa z niej obfity strumień krwi. Bezlitosny księżyc razi ją w oczy. Kobieta zanosi się płaczem, woła imię matki. Staruszka dużym nożem przecina pępowinę, chlusta wodą na podbrzusze kobiety, która rzuca głową na boki; chwytą bladego noworodka za stópki, potrząsa nim tam i sam, uderza, dopóki dziecko nie

wyda z siebie narastającego z wolna dźwięku – łkania, które przechodzi we wrzask i przenikliwy krzyk. Kiedy nieprzytomną młodą kobietę trzy inne wnoszą do środka, piekarz wskazuje na coś, co leżało obok noworodka: dużego węża, który w nocnym chłodzie ledwie będąc w stanie się poruszać, niezwykle powoli i jak we śnie wślizguje się między skały. W pierwszych godzinach brzasku młody Dawid szepcze przy łożu żony stare słowa: *Baruch ata Adonaj Elohejnu, Melech ha-olam...*

*

W pierwszych dniach po porodzie oboje nadal są głęboko przepełnieni strachem. Pamiętają cień jeźdźców w zaułku w Narbonie i wciąż czują zagrożenie. Ponieważ nic się nie dzieje, niezmiennie wzgórza tchną spokojem, a codzienne życie w tej odludnej wsi zdaje się zapewniać im bezpieczeństwo, powoli się uspokajają. Dawid Todros siedzi wieczorami przy posłaniu żony. W ciągu dnia pomaga rabinowi Obadiaszowi w chederze przy synagodze.

Ósmego dnia po narodzinach dziecko zostaje obrzezane. Otrzymuje, jak głosi przekaz, imię Jakub. Chamutal pozostaje w łóżku, ale słyszy na dole krzyk i płacz noworodka pośród wypowiedzianych półgłosem modlitw. Potem rozmowy, śmiech, picie. Zасыpia z bólem w nabrzmiąłych młodych piersiach.

Zgodnie z tradycją pierworodny syn jest wykupywany. Niemowlę zostaje wniesione na szali, obok niego leżą ząbki czosnku. Obecni w pokoju mężczyźni biorą po jednym ząbku i żują; to przepędza złe demony. Dawid podaje syna rabinowi Obadiaszowi, który pełni funkcję kohena. Wręcza mu rytualną sumę wykupu i z powrotem bierze syna w ramiona. Zasiadają do stołu, na prosty posiłek. Dzień jest gorący, słońce świeci nad doliną, koryto rzeki jest prawie puste. Jaszczurki umykają po starych kamieniach domu między bluszcz i dzikie wino. Maki i dziki orkisz kołyszą się na ciepłym wietrze. W chłodnej głębi parowu kilka kilometrów niżej pustelnik modli się przy kościółku pod zwisającą skałą do Pana chrześcijan i zostaje napadnięty przez niedźwiedzia, który niedbałym ruchem lewej łapy skręca mu kark.

Pod wieczór trawiastą równiną przy rzece jedzie grupa jeźdźców, prowadzona przez osławionego Rajmunda z Tuluzy, ambitnego, dobiegającego pięćdziesiątki szlachcica, którego wzrok pada na wioskę. Rajmund odwraca się na przystrojonym siwku i woła do swoich ludzi:

– Jak się nazywa to orle gniazdo, tam na skale?

Rycerz, do którego się zwrócił, wzrusza ramionami. Są w drodze na wschód, na pielgrzymce, która potrwa rok i z której zabijaka Rajmund z Tuluzy, przyszedł sławny krzyżowiec, wróci z wyłupionym okiem. Wie o poszukiwaniach szlachetnie urodzonej uciekinierki, a nawet zna wysokość nagrody wyznaczonej przez ojca; normandzcy rycerze w drodze na podbite tereny Sycylii często przejeżdżali przez Prowansję i nocowali u wysoko postawionych właścicieli ziemskich. Nie przychodzi mu do głowy, że powinien szukać w tej wiosce. Młoda matka ma w tamtej chwili dwadzieścia lat. Nie zdaje sobie sprawy, że niebezpieczeństwo jest tak blisko. Ale Dawid z całą pewnością widział rycerzy na równinie. Serce wali mu jak oszalałe, ogarnia go mroczne przecucie. Wchodzi do domu śmiertelnie zaniepokojony, znajduje żonę klęczącą przy łożku.

– Co robisz? – pyta przerażony. – Przecież obiecałeś nie odmawiać już chrześcijańskich modlitw.

Kobieta wstaje z trudem i w poczuciu winy, z jedną ręką na biodrze.

– Sama już nie wiem – mówi.

Znów się kładzie i zamyka oczy. We wspomnieniach widzi dym kadzidła wijący się za kościelnym oknem nad morzem.

4

Teraz lipy i wiązy barwią się na żółto i czerwono, poranki robią się zimne i przejrzyste. Młoda matka widzi, jak mężczyźni przynoszą do wsi zabite dziki, jelenie i zające. Podczas opalania skóry dzika powstaje gorzki, ostry dym, od którego robi się jej niedobrze. Nad niskimi dachami wije się dym z dębowego drewna. Nadciągają deszczowe dni. Urodzajny płaskowyż zmienia się w żalonną szarą nieckę, przez którą drogę toruje sobie zachodni wiatr.

Młoda kobieta z trudem przyzwyczajają się do prostego, twardego wiejskiego życia, którego wcześniej nie знаła. Ponure wzgórze i skały czasem wydają się jej nierzeczywiste, jakby to wszystko było snem.

Pewnego deszczowego wieczoru zauważa cichą obecność licznych ślimaków i ropuch. Ropuchy gwizdzą, dźwięk ten przypomina odgłos sowy, ale jest cieńszy i delikatniejszy. Gdy Chamutal przechodzi, niezgrabne zwierzęta odskakują na fasady domów. Bezradnie, niemal w ludzki sposób stoją z wyciągniętymi do góry przednimi nogami, jakby chciały błagać niebo o wsparcie. Kiedy jej kroki zamierają, z powrotem wpadają w stan apatii.

Ślimaki są inne. Bez jakiegokolwiek poczucia zagrożenia siadają po każdym wieczornym deszczu na środku małych półokrągłych otoczków, którymi wyłożone są stare uliczki, wpełzają na siebie, żeby spółkować. Często giną pod stopami późnego przechodnia. Ich muszle trzeszczą i pokazuje się śluz. To, co miało kształt i treść, znowu staje się materią, martwą i pozbawioną delikatnej struktury. Niektórzy mieszkańcy zbierają ślimaki z otoczków w trakcie ich gry miłosnej, wrzucają do miedzianej puszki i gotują żywcem, żeby od razu je zjeść.

Takie rzeczy sprawiają, że Chamutal jest rozbita.

Dorastała na opowieściach o przyrodzie, którą kieruje Bóg. Z żydowskim Bogiem, którego imienia nie wolno jej wymawiać, jest tak samo, ale ona nie zawsze wie, na czym polega różnica. Wystarczy, żeby zobaczyła w dzbanku z miodem lepiącą się i umierającą z głośnym brzęczeniem osę, małego czarnego skorpiona rozdeptywanego czyjąś stopą, a musi odwracać wzrok, zadreć się pytaniem, który Bóg ma na to odpowiedź. Kiedy przystawia swoje kilkumiesięczne dziecko, małego Jakuba, do piersi, wpada w popłoch i czuje nieukierunkowany lęk. Czy nic nie zostanie z jej otoczonej taką ochroną młodości w pięknym domu na północy? Czemu służy to surowe życie wokół niej? Pochłania je przerażający, toczący się nieustannie taniec ze śmiercią. Teologowie pomijają tego rodzaju sprawy, jakby wszystko, co widzą dokoła, miało sens. Wydaje się jej czasem, że przez nieobecność wiary rodziców trafiła w jakąś próżnię. Choć została przeszkolona przez Dawida w kwestii Tory i starożytnej historii narodu żydowskiego, w jej poczuciu pewności powstała wyrwa i nie ma nikogo, z kim mogłaby o tym porozmawiać – chrześcijanie natychmiast by ją napiętnowali jako czarownicę i chcieli spalić na stosie, żydzi zwróciliby jej uwagę, że skoro jako prozelitka wątpi, jest osobą niegodną i nigdy nie będzie mogła zostać przyjęta do żydowskiej wspólnoty. Robi więc to, co kulturalne kobiety w tamtych czasach zawsze i wszędzie musiały robić: milczy, spuszcza głowę, modli się w ciszy. Czasem nie wie, do kogo, może do tego głosu w swoim wnętrzu, do zagubionego anioła, który czasami zdaje się sfruwać na jej ramię, od czego ona zaczyna mocno drżeć i sama siebie musi przywoływać do porządku, szepcząc pod nosem inkantacje.

Choć bardzo się stara przeniknąć do małej społeczności, a na ulicy ma dobre słowo dla każdego, rzadko spotyka się z jakąkolwiek reakcją, większość mieszkańców wsi mija ją

obojętnie. Do tego szlachetna Normandka, a tym bardziej uprzywilejowana Żydówka, którą była w Narbonie, nie jest przyzwyczajona.

W miarę jak uczy się rozumieć, że nigdy w pełni nie będzie należała do tej wspólnoty, rezygnuje z prób bycia uprzejmą. Od tego momentu jest na ogół milcząco akceptowana, ponieważ przyjęła swoją rolę odmieńca. Po jakimś czasie chrześcijańska starszyzna uprzejmie pozdrawia ją skinieniem głowy. Pytaniom w ich spojrzeniach raczej brakuje życzliwości, ale nie szkodzi, jest tu po prostu bezpieczna, a jej mąż zaprzyjaźnił się z rabinem Obadiaszem. Czego tu szuka, o to nikt jej nie pyta, ale cisza wokół niej, gdy stoi wśród innych mieszkańców na małym rynku, jest wymowna. Jasnowłosa Żydówka o szaroniebieskich oczach, coś tu się nie zgadza – widać, że tak myślą, lecz zachowują kamienną twarz. Pewnego dnia kilkoro dzieci rzuca w nią kamykami i śpiewa piosenkę: *Mouri Jusiou, mouri, umrzyj, Żydzie, umrzyj*.

Rozmyślając nad tym wszystkim, idzie o zmierzchu do domu, utykając z powodu boleśnie spuchniętej stopy, która wciąż nie chce wyzdrowieć, po nierównych kamieniach na Grande Rue – to nie więcej niż szeroki zaułek, obecnie część trasy spacerowej. Stara się nie rozdeptywać ślimaków, zwłaszcza tych spektakularnie ze sobą splątanych – miękka, poruszająca się masa transparentnej namiętności oszalałająco i obscenicznie wylewa się z muszli w powolnej, sennej grze miłosnej.

5

Zima okazuje się niespodziewanie surowa. Tygodniami wieś leży pod grubą warstwą zamrożonego śniegu. W przejrzyste dni po dolinie hula lodowaty mistral. Życie zamiera w oślepiającym blasku bieli i błękitu. W mrocznych domach ludzie, kaszląc, siedzą blisko pieca i palą dębowe polana, które pod koniec lata starannie poukładali za murkiem. Niebieski dym unosi się z mizernych kominów. Dym wisi w izbach. Mieszkańcy żyją z tego, co im jeszcze zostało w dusznych piwnicach i na poddaszach: cebula i brukiew, twardy orkisz, który z trudem daje się zemleć na mąkę, kawałki solonego mięsa gotowanego w wodzie albo pieczonego w popiele. Głód zagląda im w oczy. Martwe psy, zamrożone w śniegu z plamą krwi na nosie, odziera się ze skóry, kroi i gotuje z dodatkiem ziół. Smakują obrzydliwie i mdło. Do wody wrzuca się pęczki suszonego tymianku; wywar zmieszany z resztką miodu pomaga na świst w płucach. Słoma w łóżkach wilgotnieje, dzieci się trzęsą z zimna i chudną. Szczury piszczą w piwnicach. Potem znowu przez wiele dni jest śmiertelnie biało i jasno. Nic się nie porusza. Wiatr napiera czasem na mury z cichym, szorstkim uderzeniem, tuż po północy; dolinę wypełnia na przemian ciepłe i zimne powietrze. *Wiuuu* – słyhać – *wiuuu*. A potem nagle świszczy ostro w jakiejś szczelinie, po czym znowu zapada niezmacona cisza. Dawid czyta na głos w synagodze, monotonne głosy niosą pocieszenie. Sople lodu u niskich dachów, rozwiany śnieg przy drzwiach kilku większych domów. Nawoływania, przekleństwa, złorzeczenia, modlitwy, czekanie, spanie. Trzeszczący krok w niebieskawej uliczce. Skrzypienie starych zawiasów. Jest miesiąc tewet żydowskiego roku 4852. Dla chrześcijan to styczeń 1092 roku i znowu pada śnieg, o wpół do czwartej panuje ciemność, kilka wron krąży wśród płatków, które, gdy podnieść głowę, wyglądają na czarne, nie białe. Mkną w górę ku skalnej ścianie jak maleńcy zwiadowcy, którzy badają miejsce, lepią się do grot, gdzie śpią niedźwiedzie, czepiają się wież strażniczych i rzęs. Ludzie modlą się i drżą. Kaznodzieja pokutny chodzi po śniegu z kołatką, zapowiadając koniec świata.

W Fontaine-lès-Dijon chłopczyk w tym samym wieku co Jakub zostaje zawinięty w wełniane szale. Jest rozpieszczany przez matkę Aleth. Ma na imię Bernard. Kilkadziesiąt lat później, gdy dorośnie, a kości Chamutal już zbieleją, dostanie przydomek od miejsca, w którym założy klasztor cystersów, jasnej doliny – Clairvaux.

W skalnej ścianie nad wioską nagle trzeszczy ogromna kamienna masa. Ostry mróz sprawił, że kilkusettonowy głaz oddzieli się od góry na parę centymetrów. Powstaje długie pęknięcie, pięćdziesiąt metrów nad synagogą. Jeśli kolos spadnie, jest wystarczająco wielki, żeby w drodze ku dolinie zmiażdżyć połowę wsi. Prawdopodobna trasa jego upadku biegnie wprost przez żydowską dzielnicę. Ale kolos nadal po prostu wisi, zapada się w żwirze i pozostaje na miejscu, naciskając na najwyższe kamienie starego obwałowania. Tysiąc lat później wciąż tam tkwi, mogą go zobaczyć, kiedy otworzę tylne drzwi swojego domu. Mistral ciągle jeszcze świszczy wokół niego. Mieszkańcy wsi robią znak krzyża i modlą się, żeby Bóg ich oszczędził. Młoda kobieta śni o zamierzającej się na nią ręce ojca i dygocząc, budzi się w nocy, po której nadchodzi odwilż.

6

Kilka lat później, czas płynie. W ich życiu niewiele się zmienia oprócz tego, że ich skóra zrobiła się szorstka, twarze ogorzałe, a dawne życie powoli się zaciera.

Mały Jakub zwykle bawi się sam na ulicy. Czasem odważy się zejść na niżej położony place des Boeufs blisko bramy miejskiej na samym dole, gdzie zabija się woły, gdzie stoi wieża obserwacyjna służąca również jako więzienie, i gdzie całymi dniami krzyczą i bawią się dzieci. Zawsze wraca sam.

Płynne rozumienie miejscowej odmiany *langue d'oc*, starego prowansalskiego, wciąż jeszcze sprawia Chamutal trudność, choć uczyła się go od Dawida. Niekiedy w miejscowym dialekcie są opowiadane żarty, słucha ich, nie rozumiejąc, stojący dokoła cieszą się z cudzego nieszczęścia, gdy widzą, jak nieporadnie i z jękami próbuje coś wyjaśnić w języku północy. Kiedy Dawid rozmawia z Obadiaszem w synagodze albo ślęczy pochylony nad zwojami Tory, Chamutal z synkiem na plecach wypuszcza się na coraz dalsze wyprawy po dolinie. Jest wtedy w towarzystwie kilku innych żydowskich kobiet. Zrywają zioła, zbierają jadalne bulwy, robią pachnące bukietki i siedząc, rozglądają się po okolicy. W całym zachodnim świecie huczy i grzmi, z każdym dniem narastają polityczne napięcia, chrześcijanie kłócą się między sobą, papież w Rzymie jest uwikłany w beznadziejną walkę o władzę z niemieckim cesarzem, ale tutaj owce wałęsają się w ponadczasowym spokoju. W dużych miastach lud się buntuje. Mówi się o herezji, morderstwach na tle rabunkowym, porachunkach, zbiegowiskach i fałszywych prorokach. Huczy od opowieści, że na ziemi pojawił się Antychryst. Zapowiedziany w Apokalipsie potwór tysiącletniego końca czasów już nadszedł, lecz nikt go nie rozpoznaje, diabeł występuje w przebraniu, uważaj. Czy tamten zdeformowany mężczyzna to nie szatan Szymon z wyłupanym okiem? Czy ten kulejący żebrak ze szpotawą stopą to nie sprytnie przebranie licha? Każdy może zostać obwiniony o jakiegokolwiek niepowodzenie lub wywołanie zakaźnej choroby. Zagrożenie czai się wszędzie. Strach rządzi wyobraźnią. A może to wszystko wina Żydów, tyle się słyszy. Z dnia na dzień Żydom jest coraz trudniej w przepełnionych strachem miasteczkach i wsiach.

To wszystko dociera do niej tylko w drobnej mierze. Żyje z mężem na tym odległym płaskowyżu jak zesłaniec i podczas modlitw w kobiecej części synagogi czasem jeszcze wraca myślami do wystawnego życia, które cztery lata wcześniej w takim pośpiechu porzuciła z miłości do tego mężczyzny, którego w dodatku zmusiła teraz do życia na zesłaniu, choć tego nie chciała. Przede wszystkim jednak, im bliżej końca ciemnych nocy, wyłania się przed nią obraz rodziców w Rouen: matki, która będzie płakać przez całe życie i którą czasem widzi siedzącą w dużym frontowym pokoju, daleko na północy; ojca, którego była kiedyś oczkiem w głowie, a który w złości wysłał za nią rycerzy i którego ręki tak się boi, że budzi się ze strachu zlaną potem w głębokiej ciszy pogrążonej we śnie wioski pod skałą.

Wie, że w zmęczonym ciele znowu nosi dziecko.

II

ROUEN

1

W jasny jesienny dzień roku 1070 w portowym mieście Rouen przychodzi na świat dziewczynka. Tego dnia ulice wypełniają okrzyki biczących się żołnierzy, monotonne inkantacje i modlitwy, trzaskanie bicz po gołych plecach, dudnienie psalmów, wołanie kobiecych głosów, wleczenie łańcuchów po ulicznym bruku i ich brzęk, ponure walenie w wielki bęben, bezustanne skargi wydawane przez *rommelpot* utykających pokutników. Tę przygnębiającą, budzącą współczucie procesję tworzą tak kiedyś bezlitośni wojownicy Wilhelma Zdobywcy, osławionego potomka wikingów, których biskupi zmusili do odbycia pokuty za barbarzyńskie, okrutne czyny, jakich dopuścili się przed czterema laty podczas bitwy pod Hastings. Ojciec dziewczynki sam jest potomkiem jednego z Normanów, którzy półtora wieku wcześniej zawładnęli tą okolicą poprzez wyprawy łupieskie, grabieże i podpalenia, a ostatecznie osiedlili się nad brzegami Sekwany, w gęstych lasach przy meandrującej rzece.

Choć przywłaszczyli sobie ziemię i domy, po pierwszych bestialskich latach następuje względny spokój. Osadnicy prowadzą bardziej higieniczny tryb życia, a w ciągu paru pokoleń dopasowują się do otoczenia. Robią też wrażenie na miejscowej ludności: pierwsze pokolenie mężczyzn goli brwi, maluje oczy kohlem, a włosy mocno związuje w kucyk. To wydaje się stać w sprzeczności z ich okrucieństwem i bitnością. Ich władza budzi trwogę i zwykle jest przyjmowana z pokorą. Wielu Normanów uprowadza i gwałci miejscowe kobiety. Powstają też jednak więzi emocjonalne. Coraz bardziej splatają się interesy materialne całych rodzin. Poszukuje się sposobu odbudowania starodawnego pokoju Bożego. Kiedy się okazuje, że zdobywcy, na których przecież nie ma rady, są gotowi nawrócić się na wiarę chrześcijańską, dostają prawo dziedziczenia swoich własności. Nazywa się ich Normandczykami. Po stu latach niektórzy prawnukowie pierwszych Normanów stają się nawet znamienitymi obywatelami, zaangażowanymi w życie intensywnie rozwijającego się miasta. Kimś takim jest Gudbrandr, ojciec dziewczynki. Jej matka pochodzi z zamożnej rodziny z Arras, jest daleką krewną hrabiów flandryjskich, którzy wówczas rządzą miastem.

Dziecko, które tamtego jesiennego dnia przychodzi na świat w patrycjuszowskim domu, zostaje nazwane staronorweskim imieniem Vigdis, co znaczy „bogini walki”. Ponieważ to pogańskie imię nie występuje w chrześcijańskim kalendarzu świętych, ksiądz podczas chrztu pyta, czy nie można by go zmienić. Ojciec odmawia; nawrócony Norman też ma swoją godność. W wyniku kompromisu dziewczynka w trakcie rytuału chrztu w miejscowym kościele otrzymuje drugie imię, które jest imieniem jej flamandzkiej babki ze strony matki: Adelaïs. Dziadek ze strony matki był pochodzenia frankońskiego. Anioł Stróż Vigdis Adelaïs to zapewne anioł o mieszanej krwi. W Normandii frankijskie i norweskie ptaki drapieżne o włos mijały się w locie przez złowrogie obłoki, każdy z zakrwawionym skrzydłem, tak swój zły sen opisał zakonnik z tamtej epoki.

*

Vigdis Adelaïs, o jasnych włosach i niebieskich oczach z leciutkim zezem, dorasta w bezpiecznym otoczeniu tego zamożnego miasta, w którym prowadzi się handel i gdzie duże statki z towarami takimi jak tkaniny, przyprawy, drewno i miedziane przedmioty cumują obok cuchnących łodzi rybackich. Nad brzegami Sekwany, gdzie dziewczynka bawi się z innymi

dziećmi, woda pieni się od wąskich snekkarów Normanów. Nawet cięższe statki, które przybywają z Anglii, mają jeszcze czasem na dziobie głowę smoka.

W pierwszej połowie jedenastego wieku rolnictwo nieco się rozwija. Klimat jest korzystniejszy, a zbiory obfitsze; bydło staje się zdrowsze i masywniejsze, chroniczne klęski głodu należą do przeszłości, dostępna jest bardziej zróżnicowana żywność. Po dekadach stresu milenijnego i inwazji grabieże powoli ustają, społeczeństwo zdaje się wracać do równowagi. Na przestrzeni jednego stulecia kobiety stają się średnio o kilka centymetrów wyższe. Krzywica występuje zdecydowanie rzadziej, a przeciętna długość życia wzrasta z niespełna trzydziestu do sześćdziesięciu lat. Vigdis może mieć nadzieję na życie nieco dłuższe od życia rodziców. Nic nie zapowiada katastrof, które będą znamionowały koniec wieku.

*

Od szóstego roku życia Vigdis Adelaïs pobiera lekcje w domu. Rodzice są zamożni i wykształceni. Niczego jej nie brakuje, jest otaczana wszelką troską. Czytania i pisanie przychodzi ją uczyć ksiądz. Nie żeby jej ojcu chodziło jedynie o pobożność: w tamtych czasach edukacja dziewcząt była dla patrycjuszki przede wszystkim symbolem statusu. Na im bardziej elegancką, elokwentną i znającą dobre maniery zostanie wychowana, tym atrakcyjniejsza będzie dla wysoko postawionych kandydatów na męża. Dlatego jej wolność jest ograniczana. Po dziesiątych urodzinach wolno jej bawić się tylko w domu w ciągu paru wolnych godzin popołudniowych, zanim zaczną się nieszpory. Musi nauczyć się milczeć, gdy nie jest pytana, i nie odzywać jako pierwsza. Nie wolno jej podnosić wzroku, kiedy idzie ulicą, ani nikomu się przyglądać. Musi nauczyć się stawiać małe eleganckie kroki. Jej rozkwitające ciało zostaje zasznurowane wytwornymi ubraniami, wykonanymi z kosztownych materiałów.

Pewnego wieczoru słyszy rodziców dyskutujących przy stole po posiłku. Zakrada się do pokoju i niezauważona siada na ławce pod ścianą.

Ojciec wyraził właśnie surową krytykę sposobu, w jaki papież Grzegorz VII uwikłał się w zenującą walkę o władzę z niemieckim cesarzem Henrykiem. Ciska gromy na kościelnych przywódców i w ostrych słowach potępia sprzedajność niektórych biskupów, systematycznie powołujących swoich krewnych na kluczowe stanowiska.

Matka podnosi głos i broni Kościoła oraz księży z gwałtownością, która napawa Vigdis lękiem. Mężowi zarzuca głoszenie heretyckich idei.

Ojciec prycha, wbija nóż w blat stołu i mówi, że narastająca wśród pospólstwa nienawiść do Żydów jest podsycana przez księży i że to mu się nie podoba, ponieważ zagraża to bezpieczeństwu miasta i powoduje bójki wśród mieszkańców.

Matka się zęga i syczy, że to w końcu Żydzi przybili Zbawiciela do Krzyża i że jej mąż jako potomek jednego z Normanów też chyba dobrze wie, co znaczy przemoc, on i ci wszyscy jego wujowie i kuzynowie zabijaki, czyż nie?

Ojciec się jej odcina, że Żydzi, podobnie jak Normanowie, chcą żyć w pokoju, ale to księża i zeloci często są skrytymi prowokatorami rozruchów.

Matka bąka obrażona, że Żydzi w każdym razie ponoszą winę za zniszczenie bazyliki Grobu Pańskiego w Jerozolimie, ponieważ wpuścili do miasta muzułmanów.

Ojciec rzuca ostro, że to całe podjudzanie do pieszych wypraw do Jerozolimy i odwetu na Wschodzie wychodzi mu bokiem.

Matka na to, że przecież Jerozolima musi zostać wyzwolona od szatańskich Saracenów i że zniszczenie bazyliki Grobu Pańskiego przez tych demonów Al-Hakima, siedemdziesiąt lat wcześniej to wstyd i hańba dla całego chrześcijańskiego świata.

Po czym ojciec wzdycha rozzłoszczony, że Święty Wolfram nazwał Normandię krajem, w którym różne narody stopią się ze sobą.

Wychodzi i szorstko prosi stajennego o konia.

Kiedy matka się odwraca, widzi siedzącą córkę z szeroko otwartymi oczami.

– Chodź tu – mówi, bierze dziewczynkę na kolana i głaszcze po włosach.

Vigdis niewiele z tego rozumie, ale po latach te rozmowy powrócą w jej wspomnieniach z jasnością, która ją zadziwi. Teraz z bratem Arvidem bawi się jeszcze na dziedzińcu króliczymi łapkami, kamiennymi kulkami i świńskimi kosteczkami, tańczy sobie w cieniu rzucanym przez oficynę, dopóki nie zostanie zawołana do środka na modlitwy i lekcję śpiewu.

2

Ma piętnaście lat, gdy pewnego dnia, wracając z matką z dużego kościoła, przechodzi obok synagogi przy rue aux Juifs. Chłopaka w jej wieku ściga handlarz, któremu ten najwyraźniej ukradł torbę. Mężczyzna biegnie, sapiąc i złorzecząc za prędko uciekającym złodziejaszkiem, i szybko musi się poddać. Chłopak chce właśnie zniknąć za rogiem, kiedy z niewielkiej bramy wychodzi młody rycerz. Łapie go za kołnierz i pyta, co się dzieje. Młodzieniec miota się żelaznym uścisku, upuszcza torbę i zaczyna kopać napastnika. Ten wymierza mu tak mocny cios w głowę, że chłopak osuwa się na ziemię jak gałgan. Natychmiast pojawia się kilku gapiów, którzy zaczynają przeklinać. Ktoś bierze zamach i z całej siły kopie młodzieńca w twarz. Głowa w hukiem opada do tyłu, jakby kark został złamany. Gruby handlarz nadbiega zdyszany, łapie leżący kamień i ciska nim w krwawiącą głowę. Chudy mężczyzna kopie chłopaka w brzuch i zachowuje się, jakby zwariował; ty brudny Żydzie, woła, ty brudny, śmierdzący żydowski bękarcie. Nie przestaje go wyzywać i kopać. Rycerz rozdziela teraz małą zgraję i każe im przestać. Podnosi chłopaka. Okaleczona głowa luźno opada do tyłu, a krew szybko i obficie kapie na ziemię. W tym momencie przechodzi Vigdis z matką. Dziewczyna nie może oderwać wzroku od pokiereszowanej twarzy, zakrwawionej bryły, jaka po niej została, strużki śluzu z jednego oka, wystającego między wargami napuchniętego języka, krwi, która przesiąka kaftan ze zgrzebnego płótna na wysokości brzucha. Rycerz dostrzega je, z przepaszającym spojrzeniem lekko kłania się przed matką i jej młodą córką, po czym znika w bramie z martwym chłopakiem. Vigdis jest wstrząśnięta. Dostaje spazmów, dygocze na całym ciele i jest bliska omdlenia. Matka mówi do niej, podpira ją i uspokaja, ale dziewczyna zdaje się jej nie słyszeć. Osuwa się na ziemię, matka próbuje ją podnieść, Vigdis krzyczy coś niezrozumiale i gwałtownie potrząsa głową. Potem wymiotuje na brokatową suknię.

3

Dwa lata po tym wydarzeniu naczelny rabin Narbony, cieszący się wielkim autorytetem Rex Iudaeorum, Ryszard Todros, wysłał swojego syna Dawida do miasta Rouen na nauki u paru najwybitniejszych uczonych.

Okres studiów Dawida zbiega się w czasie z wielką dyskusją. Kilkadziesiąt lat wcześniej rabin Gerszom ben Jehuda wydał edykt zakazujący poligamii Żydom północnej części Europy, aszkenazyjczykom. Zakaz ten wynikał z surowej, dosłownej interpretacji Tory. Sefardyjczycy, Żydzi z południowej Europy i hiszpańskiego świata muzułmańskiego, interpretowali teksty szerzej, a poza tym byli bardziej otwarci na świat. Trzymali się prawa do ograniczonej poligamii. Tu i tam dyskusja rozpaliała umysły.

W jesziwie, czyli uczelni rabinicznej w Rodom, jak wówczas nazywało się Rouen, wykładali później również najwięksi nauczyciele, tacy jak słynny Raszbam i Menachem Vardimas – mężczyźni, których komentarze do Tory po dziś dzień są miarodajne. Z bliska i daleka przybywali uczeni, żeby wysłuchiwać lub udzielać nauk, na przykład Ben Ezra z Andaluzji. Jesziwa w Rouen była jeszcze stosunkowo nowa; zbudowano ją około 1080 roku. Tymczasem gmina żydowska, która istniała tu od czasów rzymskich, bardzo zyskała na znaczeniu.

Kiedy Dawid Todros przyjechał do miasta, liczyło ono pięć tysięcy żydowskich mieszkańców, to mniej więcej jedna piąta całej populacji. Obok Narbony Rouen stało się najważniejszą „terra iudaeorum” tamtych czasów. Koło uczelni talmudycznej, do której przyjechał się uczyć i dyskutować młody Todros, znajdowały się synagoga i rytualna rzeźnia. Cała żydowska dzielnica mieściła się pomiędzy dzisiejszymi rue du Gros Horloge i rue aux Juifs. Można odnaleźć ślady bytności Dawida; nazwisko Todros występuje w żydowskich archiwach Rouen.

Podczas spacerów w centrum miasta Vigdis Adelaïs często widziała cieszący się poważaniem budynek jesziwy; dzielnica chrześcijańska znajdowała się w pobliżu. Żydowski rabuś został skopany na śmierć o rzut kamieniem od szkoły. Zdarzało jej się już zamienić kilka słów z paroma uczniami. Niektórzy ją pozdrawiają, choć towarzyszący dziewczynie opiekun lub guwernantka nie pochwalają tego, mimo że chodzi tylko o skinienie głową lub kilka przelotnych słów. Być może tam, przez tę okrutną śmierć chłopaka, jej uwaga zostaje zwrócona na tę grupę ludności, o której w końcu mało wie i z którą nie ma żadnego kontaktu. Ponieważ jednak dzielnice chrześcijańskie graniczą bezpośrednio z dzielnicą żydowską, wręcz nieuniknione jest to, że w pewnym momencie Vigdis Adelaïs dostrzeże młodego Dawida Todrosa, syna naczelnego rabina Narbony.

*

Stary rabin ostrzegał syna przed niebezpieczeństwami tej podróży w celu pobierania nauk. Chrześcijanie z każdym rokiem stają się coraz mniej tolerancyjni wobec Żydów, ale przez to, że ci ostatni płacą spore podatki, żeby móc odprawiać swoje święte nabożeństwa, zwykle zostawia się ich w spokoju i zazwyczaj kończy się na agresywnej wymianie słów. Żydowscy uczeni w Piśmie odpowiadają: jak to, ich wina? Czy śmierć Jezusa na Krzyżu nie była wolą i planem samego Boga, czy Bóg nie posłał Go na ziemię właśnie po to, żeby odpokutował za ludzkie

grzechy? Tak jest przecież napisane w chrześcijańskiej Biblii? Jeżeli więc Żydzi przyłożyliby rękę do Jego śmierci, czy nie wypełniliby woli Boga? Cóż można im zarzucać?

W jesziwie Dawid dowiaduje się o szokującym świadectwie żydowskiego uczonego Jakuba Jekutiela sprzed kilku pokoleń. W 1007 roku normandzki wojownik Robert zaproponował Żydom dobrowolne nawrócenie się na chrześcijaństwo. Sugestia dobrowolności świadczy o cynizmie: jeśli się nie nawrócą, położą głowę pod miecz. Po naradzie Żydzi zdecydowali, że pozostaną wierni Torze, po czym wielu z nich rzeczywiście zamordowano albo całymi rodzinami zdecydowali się utopić się w Sekwanie.

– Bądź ostrożny – powiedział stary Todros do syna, gdy ten wiosną 1087 roku z kilkoma innymi uczniami udawał się w długą drogę na północ.

Nie mógł przypuszczać, że syn wróci z Narbony z zupełnie innym problemem.

4

Mewy szybują nad Sekwaną, poranne słońce oświetla dachy Rouen. Jest wiosna 1088 roku. Dawid ma około dwudziestu lat, Vigdis Adelaïs siedemnaście.

Zachodni świat staje się coraz bardziej niespokojny. Przez kraj ciągną prorocy nieszczęść, żebracy i heretycy, głoszą nowiny, które podburzają wierzący naród i wywołują w nim zamęt. Krytykują księży, twierdząc, że prawdziwej wiary nie należy już szukać w Rzymie. Tu i ówdzie jakiś człowiek zostaje zlinchowany, jakiś chłop obity, zagroda podpalona, rachunek wyrównany tęym nożem albo siekierą. Stan rycerski ma na wsi swobodę działania i krótko trzyma lud, który przez wieki cieszył się względną wolnością. Panowie zamków świętują, jedząc to, co zabiorą chłopom. Normanowie mają wszystko na oku, kiedy zanosi się na zbiegowisko, a tym utrzymywaniem porządku zyskują poważanie zarówno wśród ludu, jak i szlachty.

Liczenie listków, liczenie godzin, liczenie dni, liczenie księżyców. Vigdis Adelaïs, skandynawsko-flamandzka dziewczyna, ten rozkwitający pąk, wraca z guwernantką z targu. Jej włosy, natarte masłem i gładko zaczesane przed skręceniem w koczek, w który wplecione są perły, mocno błyszczą. Ma ostrą twarz po przodkach ze strony matki. Cienki prosty nos, lekko cofniętą brodę, napięte policzki, wysokie czoło. Wygląd uduchowionej – kobiety, która w naszych czasach byłaby intelektualistką albo słynną aktorką kina niezależnego. Zgodnie z modą ówczesnej epoki jej jasne brwi są w dużej mierze wydepilowane, tak jak to znamy z obrazów flamandzkich prymitywistów czy widzimy u słynnej Madonny Jeana Fouqueta; kto chce wyobrazić ją sobie w jej naturalnym stanie, powinien myśleć o wczesnych Ewach Lucasa Cranacha. Na ulicy jej jasnoniebieskie oczy niemal zawsze są spuszczone. Nosi – widoczne na przemian przy każdym kroku – eleganckie, lekko spiczaste pantofelki z brązowoczerwonej skóry, które dyskretnie kontrastują ze szmaragdem sukni i granatem płaszczyka. Jej starsza towarzysza jest ubrana na czarno; to wdowa, którą ojciec Vigdis przyjął do opieki nad córką na czas dorastania. Przed nimi idzie parobek z osiołkiem z kupionymi produktami żywnościowymi. Jest chłodno jak na tę porę roku.

Przed bramą uczelni talmudycznej kilku młodzieńców rozmawia przytłumionymi głosami. Milkną, gdy młoda kobieta z opiekunką ich mijają. Vigdis na moment podnosi wzrok. Jej spojrzenie napotyka dwoje iskrzących się oczu, widzi chłopaka wyglądającego na południowca, który bezwstydnie jej się przygląda. Nosi on, do czego w tamtych czasach Żydzi często byli zobowiązani, mały żółty spiczasty kapelusz. Jego usta układają się w uśmiech. Zanim dziewczyna się zorientuje, odwzajemnia uśmiech i oblewa się rumieńcem aż po szyję. Żydowski chłopak, myśli, żydowski chłopak, który się do mnie uśmiecha. Na ułamek sekundy powraca wspomnienie potwornie zniekształconej, krwawiącej głowy małego złodzieja. Dziewczyna czuje się głupio i niezręcznie, przez cały dzień jest rozdrażniona i mrukliwa.

*

Rodzice niewątpliwie mieli plany dotyczące jej zamążpójścia. Również bracia na pewno jej pilnowali; gdyby udało się znaleźć dobrą partię, wiano byłoby znaczne, a dobrobyt i szacunek stałyby się udziałem całej rodziny. Vigdis wyrażała się kulturalnie i skromnie. Uczyla się łaciny, pobierała lekcje śpiewu, grała na nowoczesnej na tamte czasy pięciostrunowej wioli, lubiła żartować z młodymi rycerzami, którzy nieustannie krzątali się wokół stajni, i uwielbiała

wspaniałe konie – choć jazda konna była jej formalnie zabroniona, nauczyła się jej od kilku chłopców stajennych. Zaprzestała, gdy się okazało, że jeden z nich nie potrafi dłużej trzymać rąk przy sobie. Uczy się prząść, tkać, oporządzać kuchnię; lubi ucinać sobie pogawędki z wiejską ludnością w oficynie, mimo że matka tego nie pochwała. Wypytuje ojca o skandynawskich bogów, pogańską naukę dalekich przodków.

W towarzystwie guwernantki chodzi na lekcje śpiewu. Odbywają się w pobliskim kościele, to zaledwie kilka ulic dalej. Ale zamiast wracać do domu przez Decumanus, który później będzie się nazywał rue du Gros Horloge, prosi kobietę, żeby zrobiły sobie mały spacer i przeszły rue aux Juifs.

Wczesnym wieczorem następuje to, na co miała nadzieję: przy uczelni talmudycznej chłopak znowu rozmawia z towarzyszami. Dziewczyna czuje, że dyszy z emocji. Zbliży się, jest oddalona już tylko o parę kroków od grupki. Musi podnieść wzrok, koniecznie, musi. Robi to i spogląda mu prosto w oczy. Przez mieszaninę wahania i bezpośredniości w jej spojrzeniu on przeżywa większy szok niż ona. Jakby przewiercała mu oczy, czuje, że tym spojrzeniem sprawia mu ból. Dziwna rozkosz tej świadomości na moment czyni dziewczynę potężną i okrutną, podczas gdy pod pięknie wyszytym ubraniem serce bije jak oszalałe. Chłopcy nie tylko milczą, z odrobiną zaskoczenia patrzą na młodego Dawida Todrosa, który przerywa w połowie swojego wywodu, przełyka ślinę i mruga oczami.

Tymczasem Vigdis Adelaïs zniknęła już za rogiem.

W ciągu następnych tygodni jej codzienna przechadzka wiedzie Decumanusem. Nie wie, co ma ze sobą począć. W końcu pewnego wieczoru wyznaje guwernantce, że jest chora z pragnienia, by znowu ujrzeć tego chłopaka. Kobieta, pogrążona w smutku z powodu własnego utraconego małżeństwa, ma wystarczająco dużo życiowej mądrości, żeby nie zawieść zaufania podopiecznej. Ostrzega ją, że ta tęsknota za żydowskim chłopakiem stanowi tabu, że jest nie do pomyślenia. Ponieważ Vigdis zaczyna płakać, a z bólu i frustracji rwie włosy z głowy i jest zupełnie wytrącona z równowagi, guwernantka prowadzi ją do łóżka. I rozmyśla – tamtej nocy – sama rozdarta, nie wiedząc, co robić.

5

Podejmowanie ryzyka, na jakie ta dziewczyna się waży, jest w tamtych dniach kompletnie nieodpowiedzialne. Nie ma prawa rozporządzać własnym losem. Dawid nie może jej też oficjalnie poprosić o rękę. Młodzi rycerze posuwali się czasem do uprowadzenia dziewczyny swoich marzeń, żeby w ten sposób zmusić rodziców do udzielenia zgody; jeśli dysponowali bogactwem i cieszyli się poważaniem, kupowali pozwolenie dużym wianem. Zawarcie związku małżeńskiego wbrew rodzicom było wręcz niewyobrażalne, nieuchronnie prowadziło do przemocy i zabójstwa.

Małżeństwo chrześcijanki z Żydem wykraczało poza mentalne horyzonty stanu wyższego. Mimo to zakazana miłość jest wszechobecna w umysłach – zawsze była. W tamtym błogosławionym roku 1088 przyszedł kochanek z najgłośniejszego zakazanego romansu, Piotr Abélard, jest dziesięcioletnim chłopcem i bawi się na ulicach Nantes. Jego piękna Heloiza jeszcze się wtedy nawet nie urodziła. Stworzą najszlachetniejszą i najtragiczniejszą parę miłosną pełnego średniowiecza. Mistrzowi Abaelardusowi udawało się przez jakiś czas ukrywać w tajemnicy swoją miłość do młodej przeoryszy: teolog i jego kochanka znajdowali schronienie w domu jej wuja, gdzie mogli się miłować. Vigdis Adelaïs stoi ze swoim zakazanym zakochaniem dosłownie na ulicy.

*

Jak i gdzie w końcu dochodzi między nimi do rozmowy, nie da się ustalić. Formy towarzyskie tego nie ułatwiały, ale ukradkowe spotkania też nie były wykluczone. Świat nie został jeszcze tak zdominowany przez czas zegarowy jak teraz, w skradzionych chwilach udawało się niezauważenie wymknąć. A ponieważ centrum miasta właściwie było niewielkie, kościół i synagoga zaś znajdowały się blisko siebie, na zatłoczonych ulicach łatwo można było wdać się z kimś w rozmowę, nie od razu podlegając kontroli.

Po wielu tygodniach unikania synagogi i jesziwy Vigdis, zachęcona przez guwernantkę, ponieważ z dziewczyną nie można już było dojść do ładu, ponownie idzie starą rue aux Juifs. Mija szkołę, widzi wąskie okna jesziwy i myśli o Dawidzie, który tam, w środku, siedzi pochylony nad manuskryptami. Dziewczyna obawia się, że z miejsca zemdleje.

Jest młoda, tęskni do wolności, do świata innego niż przytłaczające życie mieszczańskie i zamążpójście, które ją czeka. Ubiera się bardziej świadomie niż dotąd. Podczas codziennych przechadzek obok synagogi i jesziwy sprawdza, szybko podnosząc i opuszczając wzrok, czy dostrzeże Dawida. W końcu pozdrawianie Żydów nie jest zabronione, nawet jeśli jest to komuś nie w smak.

Ich pierwsza rozmowa zapewne nie przebiegła zbyt łatwo. Pierwsze prawdziwe pozdrowienie Vigdis było formalne i sztywne; jego – południowe i mające nieco więcej gracji. Jego akcent *langue d'oc* zderza się z jej północnym *langue d'oïl*. Rozumieją się z trudem, stoją przed sobą bardzo zmieszani. Jąkanie się i chichotanie, seria nieporadnych urywanych zdań, machanie rękami, wszechogarniające poczucie własnego ograniczenia, tortura młodości wywołująca uzależnienie. Jest w tym coś komicznego i bolesnego, lecz dla nich to sprawa śmiertelnie poważna.

Sztuka uwodzenia w tamtych czasach była skomplikowana; zachowanie flirtujących spowijały kłęby przerośni i uwodzicielskich dróg okrężnych. Nie czyniło jej to bardziej pruderyjną czy nudną, wręcz przeciwnie: kulturalne napięcie powodowało wzmogoną siłę przyciągania. Niemniej Vigdis Adelaïs i Dawid żyją sto lat przed tym, zanim kultura dworska zaistnieje w szlacheckich kręgach.

Dawid nie odpowiada też za bardzo obrazowi wojowniczego młodego rycerza, dominującemu na chrześcijańskim Zachodzie.

Żydowski chłopcy żyją dosłownie na innej planecie: planecie starych pism, uczonych erudyków, introwertycznej nauki. Tradycja, w jakiej dorasta Dawid, nie wykazuje sprzeczności między bitością a pobożnością; jego świat jest spokojniejszy i bardziej ponadczasowy. Jego sposób uwodzenia jest obcy kulturze chrześcijańskiej niezamężnej szlachcianki. Musi korzystać z prastarych formuł i rytuałów: „O, moja żydowska narzeczona, pozwól mi się poprowadzić do ołtarza, tak jak Mojżesz wyprowadził naszych praojców z Egiptu”. Musi obiecać jej szczęście Sukot – spełnienie Święta Szalasów, zrywanie owoców wielu lat. Dawid Todros zapomina języka w gębie. Dziewczyna nie rozumie połowy tego, co do niej mówi. Ale uważa, że to egzotyczne i trochę zwariowane – choć z kulturowego punktu widzenia ironiczna kategoria „trochę zwariowane” jest nie do pomyślenia i nie istnieje. Szukamy po omacku w kuszącej ciemności.

*

Czy dziewczyna zdaje sobie sprawę, na co się waży? Oczywiście, że nie, nie może. To ona będzie musiała zmienić planetę, a nawet rachubę czasu. Skacze w nieznane, ślepa i podniecona, lekkomyślna i nieświadoma. Robi to dla tych oczu i tej bródki, dla tego uśmiechu i tej dziwnej atmosfery, dla tego żółtego kapelusika na jego czuprynie, dla nieznannej i fatalnie ją wciągającej przygody, dla tego obłoku oślepiających błyszczyków w swojej zmęczonej głowie. Zobaczyła białego jednorożca i spieszy przez las starych zakazów.

Rodzice Dawida są daleko, on sam mieszka w bursie należącej do jesziwy i może sobie pozwolić na pewną swobodę. Oczywiście jest pilnowany, dbają już o to znajomi naczelnego rabina z Narbony. Ale istnieje również czas wolny, można się śmiać, pić, w wolne dni wymykać się na pola, właściwie różne rzeczy można. W mieście są lupanary i mroczne oberże. Nawet zamożni mieszczaństwo dyskretnie utrzymują tak zwane domy kobiet, zamknięte domy dla dziewcząt, które zrobiły niewłaściwy krok i stają się kurtyzanami. Są tam odnajdywane, a następnie wysłane do klasztoru albo pozostają przy lekkich obyczajach. Dlaczego młodzi mężczyźni mieliby nie odwiedzać tych zamkniętych przybytków, jeśli tylko nie dadzą się publicznie poznać jako Żydzi? Jedyne osoby, które bez wątpliwości mogły ustalić ich tożsamość, były same dziewczęta, które właściwie lubiły takich obrzezanych chłopaków. A one nauczyły się milczeć. O dziewczynach młodzi studenci marzą tak czy owak, rozmawiają o tym i żartują. W pewnej chwili Dawid Todros traci ochotę na żarty, markotnieje, popada w roztargnienie podczas rozmów, nie chce już chodzić do karczmy, obsceniczne dowcipy uważa za niestosowne, podczas studiowania Tory jest nieobecny myślami, w sali do nauki na pierwszym piętrze stoi przy wąskim oknie, wpatrując się w ulicę, stracił apetyt, a na porannej modlitwie pojawia się niewyspany.

*

Pozostanie tajemnicą, jak udało im się nawiązać prawdziwą relację, mimo wszystko jednak do tego dochodzi. Pewnego jesiennego dnia umawiają się na placu targowym. Niepostrzeżenie

przemykają do domu jednego z przyjaciół Dawida i rozmawiają ze sobą, jękając się. Ponieważ rozmowa przyprawia ją o tak gwałtowne łomotanie serca, że ledwo może się wysłowić, Vigdis ucieka. Zapłakana wraca do czekającej na nią stroskanej guwernantki. Trzy dni później umawiają się po raz drugi. On obiecuje, że następnego dnia w południe niezauważenie usiądzie przy niej w opuszczonym kościele, ukrywszy przed wścibskim wzrokiem wszelkie oznaki swojej żydowskiej tożsamości.

W chłodnym cieniu kościoła ona szepcze mu podekscytowana, że chce się nauczyć hebrajskiego. On patrzy na nią zdumiony. Chce ująć jej delikatną upierścienioną dłoń; dziewczyna cofa ją i chowa pod kosztownym płótnem skrywającym jej młodą postać. Jest tak zmieszana, że kręci jej się w głowie. Błóżnierstwo w obliczu Matki Boskiej, podczas gdy płomyk Ducha migocze w tabernakulum – co też jej przyszło do głowy; Boże, wybacz moje grzechy, ale inaczej nie mogę. Żydowski młodzieniec jest jej słowami zmieszany, lecz zarazem rozczulony. Dawno stracił głowę dla tej panny, która niemal ryzykuje życie, żeby z nim porozmawiać. Obiecuje, zacinając się, że będzie jej udzielał lekcji.

*

Przez najbliższe miesiące starają się niepostrzeżenie spotykać o wcześnie zapadającym zmierzchu. Dawid rozmawiał o dziewczynie z jednym z rabinów i przedstawił ją jako prozelitkę. To zadziałało; nawróceni byli mile widziani w świecie żydowskim, granica między Żydem a nie-Żydem była mniej rygorystyczna niż obecnie. Kto się chciał nawrócić, mógł być w pełni postrzegany jako Żyd i nie pozostawał do końca życia gojem. Dlatego za każdym razem, gdy Vigdis podejmuje ryzyko i zawołowana wślizguje się do żydowskiego domu, w którym się spotykają, może w miarę bezpiecznie rozmawiać. Poprzez Dawida nawiązuje kontakt również z innymi żydowskimi studentami. Ci dziwnie na nią patrzą. Wszyscy szybko się dowiadują, że ta młoda prozelitka w ścisłej tajemnicy pobiera nauki u syna naczelnego rabina Narbony i znajduje się pod jego ochroną. I że coś więcej jest na rzeczy.

Pewnego dnia – siedzą pochyleni nad zwojem i on uczy ją hebrajskich liter – następuje to, co nastąpić musiało. Ich ręce się dotykają, ich twarze zwracają ku sobie, zwój spada na kafelki, w pokoju jest za mało tchu na to, czego bez tchu pragną. Dawid w przestachu podnosi zwój, musi go natychmiast pocałować, bo został zbezczeszczony przez zetknięcie z podłogą, ale Vigdis przybliży usta i zamyka oczy. Na Sekwanie statki plaskają w jesiennym sztormie, jest koniec listopada, rybacy wyciągają na brzeg szalupy, jaskółki już dawno odleciały na południe, niebo znowu się zaciąga, ludzie się spieszą, żeby zdążyć do domu przez zmrokiem. Z wypiekami na twarzy Vigdis Adelaïs chwiejnym krokiem wraca rue aux Juifs do domu, gdzie musi stawić czoła rozzłoszczonej matce, która pyta, gdzie się podziewała, tak całkiem sama. W kościele, matko, odpowiada dziewczyna, po prostu w kościele, i drżąc w środku, cierpliwie wytrzymuje podejrzliwe spojrzenia.

6

Rozmowy z młodym żydowskim intelektualistą stopniowo uświadamiają jej, że istnieje religijna alternatywa dla niepokoju i przemocy chrześcijańskiego świata. To ogromna zmiana perspektywy, która wytrąca dziewczynę z równowagi, a zarazem ją fascynuje. Widzi przed sobą inny świat, również inną historię – która nie zaczyna się męczeńską śmiercią i ukrzyżowaniem. Poczucie czasu, którego nie zaklinają iluzje takie jak Apokalipsa i strach milenijny, powrót budzącej lęk Bestii, piekło, diabeł, udręka czy grzech pierworodny, lecz o wiele starsza rachuba czasu, która zaczyna się od twórczego czynu, początku samego życia: od chwili, w której Bóg stworzył świat. Ta myśl przynosi jej spokój, pęknięcie w historii znika. Jednocześnie nocami w wąskiej alkoce rozmyśla o słowach z Tory, które porównuje z tym, czego uczyli ją księża. Czuje strach przed tym wszystkim, co sobie skrycie myśli; ledwo ma odwagę spojrzeć na zmieniony świat, to właściwie oznacza największą herezję. Nie mówi guwernantce, a tym bardziej rodzicom o narastającym w niej zmieszaniu i wątpliwościach. W kościele, podczas łacińskiej mszy, kornie pochyla głowę, odmawia z innymi chrześcijańskie modlitwy, wciąż jeszcze odczuwa kojące oddziaływanie wspólnego śpiewu i monotonnego dźwięku. Jej włosy są mocno związane. Pod luźno zarzuconym szalem lśnią od aromatycznego olejku, którym natarła je służąca. Jasnozielona suknia z delikatnej tkaniny jest ciasno zasznurowana i wyszywana małymi szklanymi perłami. Kozuszek z lisiego futra elegancko opada na ramiona, dyskretnie zasłaniając młody biust. Dziewczyna odnajduje spokój w czasie nabożeństwa, czuje się przyjęta do bezpiecznego świata, który zna, który od najwcześniejszych wspomnień jest jej bliski. Błaga Matkę Boską o wsparcie, prosi o wybaczenie tego, co myśli. Ogarnia ją rozpacz, lecz zaraz czuje się wzmocniona monotonnym spokojem modlitw i litanii. Jej oczy płoną i szczypią, gdy śpiewa stare kościelne hymny. Jest tak, jakby jej świadomość, a wraz z nią wiedza doznawały przyspieszenia. Za sprawą nagłego intymnego poczucia wyobcowania mimowolnie staje się młodą intelektualistką; wrywa się z oczywistości znanego sobie świata. Tymczasem ma też wystarczająco dużo duchowego bagażu, żeby samodzielnie zastanawiać się nad targającymi nią wątpliwościami. Łaciny nauczyła się w ramach chrześcijańskiego wychowania i przez msze święte w kościelnej łacinie; po frankijsku mówiła w domu, lecz niezupełnie obcy był jej też flamandzki. Kto wie, może znała również parę słów po duńsku czy norwesku, wpojonych jej przez ojca w czasie zabaw. Przez kontakt z Dawidem wkrótce poznaje *langue d’oc*, ponadto młodzieniec daje jej lekcje hebrajskiego. Później, w Narbonie, w rodzinie składającej się głównie z Żydów sefardyjskich, szybko przyswoi sobie trochę hiszpańskiego. Na razie jednak musi nauczyć się trzymać w ścisłej tajemnicy wszystko, co tak ją zżera i wywołuje w niej taki zamęt – ogromny wysiłek dla jej młodego ducha.

W ciągu minionych tygodni wielokrotnie odmawiała noszenia ozdobnych mieszczkańskich strojów, które co rano są dla niej przygotowywane. Zamiast nich prosi o ciemną suknię, którą założy na prostą spodnią szatę. Pyta nawet guwernantkę, czy może dla niej zostać uszyta czarna suknia bez jakichkolwiek ozdób z odpowiednio dobranym płaszczem z kapturem. To pytanie samo w sobie jest już nadzwyczaj podejrzane. To tak, jakby dzisiaj córka z chrześcijańskiej rodziny oznajmiła, że od tej pory będzie nosić chustę na głowie. Usłyszawszy prośbę córki, matka wpada do panińskiego pokoju i podniesionym tonem żąda wyjaśnień. Vigdis pochyla głowę, milczy, czeka, aż matka skończy swoją tyradę, po czym wolno podnosi głowę, patrzy na matkę tępych wzrokiem, nic nie mówi.

To niewzruszone puste spojrzenie i krnąbrne milczenie powodują, że wieczorem matka mówi o tym ojcu. Ten następnego dnia wzywa dziewczynę do pokoju frontowego na rozmowę w obecności księdza. Wypowiadane tam słowa są bezładne; dziewczyna za żadne skarby nie może wyjawić swojej tajemnicy i bąka coś pod nosem. Ksiądz nakazuje jej zrobić znak krzyża; Vigdis wykonuje polecenie, ale z takim lękiem w oczach, że ksiądz zaczyna perorować o licznych niebezpieczeństwach dla zbawienia duszy młodej kobiety. Kreśli przed nią wizje piekła i diabła; dziewczyna odwraca głowę i zamyka oczy. Ojciec nie daje się wywieść w pole. Parska, rzuca na stół myśliwską rękawicę, bez ceremonii ogłasza córce, że przez najbliższy miesiąc ma zakaz wychodzenia z domu, a jeśli jej zachowanie się nie poprawi, zostanie na pół roku wysłana do żeńskiego klasztoru. Ona tupie nogami, w rozpacz kręci głowę, zaciska pięści, ale nadal nie odzywa się ani słowem. Idzie do ogrodu, gdzie siada, zanosząc się płaczem; rodzice rozmawiają o tym jeszcze tego samego wieczoru. Vigdis zostaje bezceremonialnie zaniesiona do swojego pokoju. Nadasana siedzi w przydzielonych jej pomieszczeniach i obserwuje żarzące się czerwienią brzegi chmur o zmierzchu.

Zaraz po zapadnięciu zmroku po raz pierwszy wymyka się z domu przez kuchnię i niewielką bramą na tyłach ogrodu – za wiedzą guwernantki. Z bijącym sercem idzie w stronę parafii Saint-Lo, mija Dom Bonneiego, potem synagogę, przechodzi obok żydowskiej łaźni i rzeźni w kierunku jesiwy. Od strony ulicy jest tylko jedno małe okno, nie może przez nie nic zobaczyć. Pierwsze z dwójga ciężkich drzwi są jeszcze otwarte. Schodzi po schodach do drugich drzwi i stuka w nie. Żadnej reakcji. Poza miauczeniem kota panuje głucha cisza. Przez chwilę stoi na schodach, bezradnie rozglądając się w ciemności. Sierp księżyca ledwo oświetla ulicę; serce dziewczyny wali jak oszalałe. Nie rozumie, że kobiety mają absolutny zakaz wchodzenia do jesiwy. Wraca, nic nie wskórawszy, siada na starej ławce w ogrodzie, żeby uspokoić serce, i myśli, potem z rosą na rzęsach z powrotem wkrada się do domu, siedzi w alkwie, nie mogąc zasnąć, i czuje w ciele coś, co pali, rozrywa i łomocze.

Przez miesiąc nie opuszcza przydzielonych jej pomieszczeń, próbuje się modlić, cały czas myśli o nieprzejednaniu obu światów, stara się odcyfrować kilka zwojów pism, które Dawid jej powierzył, później wraca do wędrówek i przechadzek z guwernantką do kościoła i z powrotem, na rynek, wzdłuż brzegów Sekwany, ślepa na wszystko, w skrytości wypatrując tylko, czy przez ułamek sekundy zobaczy gdzieś swojego dziwnego ukochanego.

Umarł król Wilhelm Zdobywca, jego następca jest raptusem, Vigdis słyszy to od ojca zaniepokojonego przyszłością kraju. Co ją to, na Boga, może obchodzić.

*

Niewiele później ich tajemny związek zaczyna wychodzić na jaw. Krążą plotki i pogłoski; kościelny widział, jak trzymali się za ręce. Vigdis ponownie otrzymuje areszt domowy. Teraz naprawdę zostaje na pół roku wysłana do klasztoru w okolicy. Kiedy ktoś o zmierzchu zauważa Dawida przy zgromadzeniu, robi się rwetes. Wprawdzie wbrew swojej woli, ale na prośbę księdza rabin nakazuje przeszukanie jesziwy. Zostaje znaleziony pergamin wykaligrafowany jej ręką, wierszyk o złotych motylach w ogrodzie. Leżał na półce przeznaczony na zwoje Tory, pod rzeczami Dawida Todrosa. Dziewczyna słyszy, że zostanie w klasztornej celi, dopóki ojciec nie znajdzie jej odpowiedniego kandydata na męża. Dawid dostaje kazanie od rabina, który grozi, że odeśle go do Narbony za nieroztropne zachowanie. Chłopak obiecuje poprawę, okazuje skruchę, żal. Ale następnego dnia wczesnym rankiem znowu jest widziany w pobliżu klasztoru, z kawałkiem cennej tkaniny pod pachą. Rabin pisze list do starego Todrosa w Narbonie i prosi o zabranie syna do domu na jakiś czas.

To jest kluczowy moment w ich życiu. Dla niej wszystko wygląda jednak o wiele bardziej dramatycznie niż dla niego. Gdy wysoko urodzona dziewczyna osiągała wiek dziewiętnastu lat, zwykle dawno już zapadła decyzja o jej losie albo sama o nim zdecydowała, przyjmując kandydata na męża. Tymczasem Vigdis odtrąciła już trzech konkurentów; bracia patrzą na nią podejrzliwie, najstarszy przyjeżdża do klasztoru, żeby jej powiedzieć, że wkrótce ojciec wskaże rycerza ze swojego najbliższego otoczenia na jej przyszłego męża. Dochodzi do dyskusji, sypią się groźby, wybucha kłótnia. Dziewczyna próbuje mydlić rodzicom oczy, mówiąc, że zostanie zakonnicą, jeśli narzucą jej małżonka. W klasztornej celi leży na zimnej kamiennej podłodze i stara się nie myśleć o żydowskich modlitwach, których nauczył ją Dawid. Asceza, pokuta, żadnego katharsis. Głód, bezsenność, chwile mistycznego uniesienia i paniki, zawroty głowy i skurcze, menstruacja i samookaleczenie. Modlitwa, ale do kogo.

Po kilku tygodniach następuje mały cud: przez ogrodnika, który już od jakiegoś czasu patrzył na nią z pożądliwym uśmiechem, do klasztoru zostaje przemycona wiadomość od Dawida Todrosa. Ogrodnik jest niepiśmienny; przekazując liścik, ma nadzieję wkraść się w jej łaski. Wiadomość jest niezwykle krótka i rzeczowa: godzina i miejsce, na tyłach klasztornej ogrodu. Żadnego imienia. Ale ona rozpoznaje pismo, litery z dziwnym zawijaszem.

Jest jedenasta wieczorem, kiedy drżąc w lekkim ubraniu, wychodzi na zewnątrz przez tylne drzwi obszernej klasztornej kuchni. Mija obory, dociera na otoczony murem dziedziniec, uderza lewą stopą o rządę szorstkich kamieni wokół ogródka ziołowego. Na wycucie szuka drzewiczek prowadzących na łąki. Są zamknięte na klucz. Cisza. Nocna sowa; pies w oddali. Nie ma księżycy, żadnego światła. Dyszenie i szczękanie zębami. Potem słyszy swoje imię po drugiej stronie. Do zamka zostaje włożony nóż, po krótkim zgrzytnięciu i szarpnięciu drzwi się otwierają. Dziewczyna widzi przed sobą ciemną postać. Słyszy swoje imię. To nie jest głos Dawida. Potyka się o niewielki próg, zostaje złapana, brakuje jej tchu. Mężczyzna mocno chwyta ją za ramię i rzuca krótko: idziemy. Trawa chłodno pachnie pod ich stopami, mech i goryczel, rozdeptane pokrzywy. Milcząca mężczyzna prowadzi ją do stojącego w pobliżu domu nad wodą. Tam otwierają się tylne drzwi, ktoś przyświeca im małą pochodnią. Prowadzą ją do izby, nikt nie odzywa się ani słowem. Zostawiają ją samą. Drzwi zostają zamknięte na klucz. Leży na wąskiej pryczy i słucha odgłosów w nieznanym domu. Jeśli teraz zostanie wydana, czeka ją najsurowsze osądzenie, może przesłuchanie z torturami. Przed jutrznią musi stąd zniknąć, bo wtedy odkryją, że jej cela jest pusta. Drzwi do wolności otwierają się z rozmachem, ale to pułapka.

Nie ma drogi odwrotu.

III

UCIECZKA

1

W południe pojechałem z Brukseli autostradą w kierunku Tournai i Lille, i dalej do Rouen. Dojeżdżam pod wieczór. Jest koniec marca, po opuszczonych placach hula przenikliwy wiatr. Wjeżdżam przez rue du Massacre, fotografuję tabliczkę z nazwą ulicy. Po chwili jestem na rue aux Juifs – długiej, prostej ulicy, dwa urzędowe budynki naprzeciw siebie. Te po prawej stronie to Palais de Justice. Podczas wybierania ziemi pod budowę podziemnego parkingu w 1976 roku buldożer natrafił na duży kwadratowy kamień ze słabo widoczną inskrypcją. Kierownik budowy natychmiast wstrzymał prace i kazał ostrożnie kopać dalej. Stopniowo odsłaniany duży budynek. Badania archeologiczne wykazały, że to fragment żydowskiego domu z jedenastego wieku. Synagoga? Żydowska szkoła? Dom patrycjuszowski? Wyszło na jaw, że w Rouen istniała kwitnąca gmina żydowska. Amerykański uczoney Norman Golb zagłębił się w ten temat i napisał dobrze udokumentowaną książkę. Budynek okazał się żydowską szkołą – jesziwą.

To tutaj chcę rozpocząć swoje poszukiwania. Podróż, która zawiedzie mnie, podobnie jak zaprowadziła Vigdis Adelaïs i jej żydowskiego ukochanego, daleko od domu.

Następnego popołudnia jestem umówiony z Annie Lafarde, pełną entuzjazmu kobietą, która na życzenie oprowadza zainteresowanych po pozostałościach jesziwy. Chce opowiedzieć wszystko naraz, przez godzinę więzi dziesięć osób, które się zjawiły, w małej sali naprzeciwko fasady Notre Dame – ten widok mnie rozprasza. To ta katedra tak zafascynowała Claude'a Moneta, że namalował ją prawie trzydzieści razy, za każdym razem w innych odcieniach w zależności od ulotnego światła, które chciał uchwycić – wzruszająca pasja, bo światło na starych zabytkach nie jest ani przez moment stabilne. Podobnie jak nasze spojrzenie na historię.

Grupa wychodzi za rozgadaną przewodniczką na zewnątrz.

Idziemy na dziedziniec Pałacu Sprawiedliwości, do prawego rogu, gdzie strzeżone szklane drzwi prowadzą do świątyni. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że tysiąc lat temu miasto znajdowało się mniej więcej dwa metry niżej. Schodzimy po schodach i nagle mam wrażenie, jakbym dostał obuchem w głowę. Tam, pod ziemią, w wilgoci i parze, między betonowymi ścianami a metalowymi belkami wspierającymi, w wątłym neonowym świetle, tam leżą one: zaskakująco dobrze zachowane ruiny jesziwy w Rouen. Muskam szorstkie, oszronione wilgocią mury i myślę: Dawidzie Todrosie, ponad tysiąc lat później dotykam kamienia, który ty znałeś. Dość szybko odnajduję inskrypcję, w której ten dom został nazwany *maison sublime* – wspaniały, wzniosły, ponieważ każda jesziwa odsyła do Świątyni Jerozolimskiej, która została na zawsze zniszczona przez Rzymian w 70 roku, podczas wojny żydowskiej opisanej przez Józefa Flawiusza. W przeciwieństwie do chrześcijan, którzy nieustannie odbudowywali swoje duże kościoły, Żydzi po zburzeniu Świątyni nigdy więcej nie wzniesli jednej centralnej budowli. W istocie katastrofa ta jest wspominana poprzez niezliczone synagogi na świecie, rozproszone jak sama diaspora – przez co wszystkie domy modlitwy odmawiają architektoniczny kadisz za Świątynię, która zniknęła na dobre.

Gdzieś przed fasadą tego *maison sublime* Vigdis i Dawid spotkali się po raz pierwszy. Widzę, jak Dawid Todros nadchodzi, lecz teraz mam przed oczami konkretne detale budynku. Widzę okrągłe dziury w murze centralnego pokoju, w których znajdowały się belki wspierające półki ze zwojami Tory. Jesziwa miała dwoje drzwi: na górze, od strony ulicy, i na dole, przy

schodach koło wejścia. To musiały być ciężkie drzwi. Świadczą o tym, ile cennych rzeczy tu chroniono. Są ślady dużego pożaru, wywołanego w czasie pogromu w 1096 roku – gdy Dawid żył już z Vigdis w mojej dalekiej wsi na południu, Vigdis miała inną tożsamość, a jednak przeznaczenie ich tam znalazło. Tu na północy płonęły wtedy synagoga i jesiwa, co przyniosło kres epoce pokojowego współżycia w Normandii. Widzę babilońskie ornamenty i kolumny przy wejściu do budynku: zdeptany lew, symbol pokonanego zła, a po drugiej stronie smok, symbol życia i walki, oba jeszcze wyraźnie rozpoznawalne w wytartym kamieniu. Wąskie przejście prowadzi na pierwsze piętro, gdzie zapewne również studiowano. Wszystko jest o wiele bardziej intymne, niż sobie wyobrażałem. Przychodzą mi na myśl wysokie wąskie domy w prowansalskiej wsi, o których ktoś mi kiedyś powiedział: Żydzi, ponieważ dostawali tak wąskie parcele, wynaleźli wysokie budownictwo. Norman Golb twierdził nawet, że być może znajdowało się tu trzecie piętro, co dość wyjątkowe w tamtych czasach. Annie Lafarde śmieje się, słysząc tę sugestię.

Nie wiem, nie szkodzi. Dziwię się, jak silne jest wrażenie, którego tutaj doświadczam; oprócz mojej wsi na południu i synagogi w dalekim Egipcie jest to jedyne miejsce, co do którego mam pewność, że Vigdis Adelaïs tu była. Z bijącym sercem spacerowała przed bramą, wiedząc, że wchodzenie do środka jest jej surowo zabronione. Tu się ociągała i czekała.

Ponieważ znam historię jej życia i jego tragiczny koniec, chciałbym móc ją ostrzec przed tym, co ją czeka. Idź stąd, dziewczyno, wybierz innego mężczyznę, uniknij tego losu, uciekaj, zanim cię dotknie. Lecz nie: ona tak bardzo się zakochuje, że zostawia za sobą cały swój świat. Znowu ją widzę, jak schodzi z prowansalskiego wzgórza przy Monieux, ze zwichniętą kostką i w pobrudzonym ubraniu, i wtedy dociera do mnie, że żadna z dziewięciu pozostałych osób obecnych w tej krypcie z napisami i zdjęciami nie zna mojej tajemnicy. Czuję, że jestem daleko od obecnego dnia, głęboko zanurzony w historii, jakkolwiek chcę się włączać do rozmów, które – trzeba przyznać – w miarę jak mija popołudnie, stają się coraz ciekawsze i coraz bardziej wnikliwie.

Kiedy znowu wychodzimy na powierzchnię, trudno mi znieść rzesze ludzi. Spaceruję wzdłuż Sekwany, zaczął się wieczorny szczyt, oddycham samymi spalinami. Mewy krążą nad wodami portu.

2

O brzasku ponownie słyszy zgrzytnięcie zamka. Stoi przed nią Dawid. Na chwilę bierze ją w ramiona, nie mówi ani słowa. Przyniósł dla niej ubranie – prostą czarną suknię, której nie dostała od matki. Tylnym wyjściem opuszczają dom na skraju miasta. Jest szósta rano; bramy miejskie są strzeżone, ale mniej więcej o tej porze otwiera się je dla chłopów, którzy zaopatrują handlarzy.

Młoda para przechodzi przez wschodnią bramę Saint-Ouen, podając się za biednych kupców, którzy muszą odebrać towary tuż za miastem. Stamtąd, ciągnąc ręczny wózek z pewną ilością prowiantu i ubraniami, które dostali, długo idą wzdłuż lewego brzegu Sekwany, docierają do pól i zagonów w Saint-Étienne-du-Rouvray i kierują się dalej, aż do Pont-de-l'Arche – nazywanego wtedy jeszcze łacińskim określeniem Pons ad Archas. Są to opuszczone tereny, zamieszkane przez kilku chłopów, poza tym jak okiem sięgnąć nie widać żadnego domu, chmury wiszą nisko nad ziemią. Przed południem ścieżkę idących przecina parę lisów i dzikie psy, deszcz smaga pola i twarze. Przy Pont-de-l'Arche jeden z przyjaciół Dawida załatwił im przeprawę promową. Czeka na drugim brzegu ze skromnie osiodłanym mułem, którego mogą prowadzić za uzdę. Życzy im dobrej drogi; przyjaciele się obejmują.

Vigdis zostawia tam za sobą całe bezpieczeństwo, swoją fortunę, prestiż, przyszłość i dobre imię, ponieważ żydowski mężczyzna przyrzekł ją poślubić, gdy tylko dotrą do jego rodzinnej Narbony. Dawid nieustannie musi ją uspokajać i pocieszać; dziewczyna co rusz wpada w panikę, ze strachu dostaje ataków płaczu, stale robi znak krzyża, modli się do Boga z dzieciństwa, błaga o przebaczenie, myśli o Bogu żydowskim, Adonaj Dawida, niczego już nie wie, zaciska oczy, kręci jej się w głowie, spada z muła, na którym długo gnali przez pola. Nie jest w stanie podnieść się bez pomocy, ma stłuczony nadgarstek i cała jest ubłocona. Nie wolno jej się więcej modlić do świętych, bo oni już nie istnieją. Na początku było Słowo. Zostało jej zabrane, a ona drży na całym swoim młodym ciele.

*

Jedyny dokument mówiący o ich życiu znajduje się w słynnym na cały świat zbiorze manuskryptów Uniwersytetu Cambridge, znanym jako Cairo Genizah Collection. Jest to liczący prawie tysiąc lat dokument hebrajski, a ja po długiej wędrówce będę go trzymał w rękach. Podaje między innymi, że Dawid i Vigdis jeszcze w 1090 roku przybyli do Narbony. Dziewięćset kilometrów w poprzek ówczesnej Francji, z niezliczonymi przeszkodami i niebezpieczeństwami na drodze. Właściwie jest to zuchwałość dwojga ściganych młodych ludzi. Wiedzą, że rycerze natychmiast ruszą za nimi, żeby ich wysłedzić i pojmanych sprowadzić z powrotem. W tej chwili ich życie nie jest już nic warte: jego spotka kara śmierci za uprowadzenie, ją życie w klasztorze o surowej regule, o ile nie zostanie oskarżona o diabelskie praktyki. Wtedy czeka ją stos. Ryzykują jednak – tak jak zawsze robią to uciekinierzy: ponieważ nie została im już żadna inna możliwość przeżycia.

*

Kiedy wyjeżdżam z Rouen, nad małym portem fruują jaskółki. Na dużym moście na Sekwanie panuje wzmożony ruch. Niekończący się sznur samochodów ciągnie w kierunku Évreux i Orleanu. W ten przejrzysty wiosenny ranek próbuję sobie wyobrazić, jak dwoje ludzi,

którzy musieli uciekać w najgłębszej tajemnicy, przepравиło się przez szeroką rzekę, bo ta stanowiła ich pierwszą przeszkodę. A potem – co za niekończąca się droga, pieszo lub konno. Teraz wzdłuż brzegów pędzą samochody. Nie ma niczego, co dawałoby mi jakąkolwiek podpowiedź.

Parkuję na jednym z pierwszych parkingów przy drodze szybkiego ruchu w kierunku Évreux i z małego wzniesienia patrzę na drogi, podmiejskie dzielnice i długi sznur ciężarówek. Na lewo od siebie widzę w oddali spory las. Jadę aż do brzegów Sekwany.

Życie tutaj jest spokojne; kobieta siedzi z dzieckiem na placu zabaw nad rzeką. Z nastrojowej patrycjuszowskiej kamienicy z dużym samochodem przed wejściem roztacza się widok na mętą wodę nurtu. Rzeką jest tu płytką; czy swobodnie przez nią przeszli? Jakkolwiek bezsensowne to się wydaje, chcę zobaczyć otoczenie własnymi oczami, chłonąc detale, możliwe widoki. Chcę odnaleźć to, co po tysiącu lat jeszcze mogłoby być widoczne. Prawie niczego takiego nie ma – poza krajobrazem tu i ówdzie. Z trudem udaje mi się wyobrazić, jak przebiegała ich podróż, choć istnieją historyczne źródła, które mogą mi w tym pomóc. Muszę jedynie wykreślać, usuwać, sprowadzać do sedna: żadnego mostu, drogi szybkiego ruchu, żadnych zabudowań, utwardzonego pobocza, dźwięku, niemal żadnej ludzkiej obecności. Wszystko muszę ostrożnie usunąć jak archeolog i dotrzeć do leżącej odłogiem ziemi. *Tohu bohu, tohu wa-wohu* to po hebrajsku: wszystko jest jeszcze bezładem i pustkowiem. Chmury i drzewa, rzeki i wzniesienia, wczesne miasta, bezkresne lasy. Wygumować: stacje benzynowe, supermarkety, ruchliwe przedmieścia, osiedla, zabudowę wsi, pola i zagony. Nawet większość lasów nie daje już wyobrażenia tego, jak wtedy było. Pusta okolica, gdzieś zagubiony dom, ulepiona z gliny chata chłopów bez grosza przy duszy, ślady wozu z wybojami i garbami, żadnego drogowskazu, żadnej osłony. Niskie wieże kościoła jako jedyna wskazówka w krajobrazie. Nocą zupełnie nic nie widać. Orientowanie się według słońca. Jedzenie tam, gdzie je można dostać; czasem niemożność znalezienia dachu nad głową przed zachodem słońca i nocowanie w rowie, z narażeniem własnego życia.

Zwierzęta w tamtych czasach: niedźwiedzie i wilki, dzikie psy, budzący lęk żbik europejski. Lecz także inne nocne istoty: kłusownicy i złodzieje, włóczędzy i oszuści, mierzwa ludzka. W ciągu dnia tułacze, kaznodzieje, pseudorycerze działający na własną rękę, handlarze w złej wierze, jasnowidze szantażyści, zaślepińcy, wystarczająco dużo odrażających typów, żeby w czasie długiej podróży zachowywać jak największą czujność. Prawie nikogo, komu mogliby zaufać; wiadomość o poszukiwaniach wyprzedziła ich przez posłańców ojca i przeoryszy klasztoru. Niemożliwość schronienia się w klasztorach, kościołach czy u księży, w zamkach czy pałacach, z trudem u mieszkańców miast. Najbezpieczniejsze są szopy nieświadomych ubogich chłopów.

Musiąco im to zająć co najmniej półtora miesiąca, zakładając, że maksymalna średnia wynosi dwadzieścia kilometrów dziennie, gdy nie dysponuje się szybkimi końmi – a w pierwszych tygodniach na pewno nie mogli z nich korzystać, to za bardzo przyciągałoby uwagę. Ponieważ tylko gdzieś mogą anonimowo zastukać do drzwi z prośbą o nocleg, by znaleźć chwilę wytchnienia czy ukryć się przed napotykanymi rycerzami, podróż trwa o wiele dłużej, powiedzmy, jakieś trzy miesiące. Z pewnością dopóki nie miną Orleanu, nie mogą rzucać się w oczy; od żydowskiej pary w okolicach Évreux dowiadują się, że rycerze już tamtędy przejechali, wzywając każdą żydowską rodzinę, by natychmiast przekazywała, czy widziano tych dwoje; za udzielenie im schronienia lub zatajanie informacji grożono spaleniem domów.

Obecnie odcinek Rouen–Narbona można niemal w prostej linii pokonać francuskimi drogami szybkiego ruchu. Kiedy po najdrobniejsze szczegóły badam mapę pod kątem możliwych starych dróg, dochodzę do wniosku, że wiodące tą trasą główne szlaki, z wyjątkiem kilku, nawet w tamtych czasach były dość oczywiste. Najbardziej komfortową drogę, która najszybciej mogła ich zaprowadzić daleko od Rouen, stanowił trakt rzymski zwany Chaussée Jules César. Biegł wprost przez Bois de Vexin i wciąż jeszcze intensywnie go używano. Przebiegał jednak w kierunku południowo-wschodnim do stolicy, a to narażałoby ich na duże niebezpieczeństwo. Gońcy pędzili tą drogą tam i z powrotem między Rouen a Paryżem. Roilo się na niej od osób, które mogłyby ich rozpoznać. Nie ma wręcz innej możliwości jak ta, że zbiegli kochankowie trzymali się okolic na zachód od Paryża, wiejskich regionów Normandii i Eure-et-Loir. Szli z Rouen przez Chartres do Orleanu, gdzie mimo wszystko znaleźli schronienie u Żydów, którzy odważyli się ich przyjąć, i gdzie po raz pierwszy zaznali chwili odpoczynku, przez kilka dni mogli nabrać sił. To już cały etap: do Chartres jest ponad sto trzydzieści kilometrów, do Orleanu prawie dwieście pięćdziesiąt – jadąc samochodem małymi lokalnymi drogami, przy niespiesznej prędkości pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, pokonuję tę trasę w pół dnia. Wtedy, przy średniej prędkości najwyżej dwudziestu kilometrów na dzień, trwało to zapewne jakiś miesiąc i to zakładając, że dzień po dniu posuwali się naprzód równie sprawnie, a po jakimś czasie dostali jednak do dyspozycji niewielki kryty wóz z koniem i mogli pozostawić swojego muła.

Ile rzek muszą przejść na tej niekończącej się trasie, jeśli nie chcą ich za każdym razem obchodzić? Z grubsza licząc, między Rouen a Narboną jest ich pięćdziesiąt, wzięwszy w rachubę wszystkie mniejsze strumienie. Mosty stanowią ryzyko, to wąskie gardła. Ledwo przeprawili się przez Sekwanę przy Pont-de-l'Arche, a kawałek dalej znowu czeka ich następna rzeka: Eure, która w tej okolicy wpada do Sekwany.

Stojąc na piaszczystym brzegu, ponownie mam wątpliwości odnośnie do ich drogi ucieczki. Dlaczego nie mieliby zostać przemyceni z miasta właśnie tym wijącym się nurtem Sekwany, w niepozornej łódce miejscowego żydowskiego rybaka, który został wtajemniczony? Zdemaskowanie i zdrada były możliwe w każdej chwili. Wyobrażam sobie, że ich prześladowcy skrupulatnie sprawdzają rzekę. Również drugi brzeg Sekwany, po północno-zachodniej stronie w kierunku ujścia do morza w Honfleur, jest gruntownie przeszukiwany małymi, szybkimi snekkarami. Ojciec Vigdis ma bowiem równie wiele powodów przypuszczać, że córka z tym Żydem z południa mogła popłynąć morzem z Rouen do Bordeaux, a stamtąd podróżować dalej lądem – zakładając, że sam wymyślił, iż chłopak uprowadza ją do Narbony. Hebrajski manuskrypt z Genizah Collection w Cambridge, na którym opieram tę opowieść, mówi mi w każdym razie, że rycerze ojca ścigali ją aż do Narbony.

*

Dała się w to uwikłać, myśli czasem. Słowa Tory owijają się wokół modlitw z jej młodości jak tefilin. Rabin czy ksiądz, obaj napawają ją strachem, gdy o tym myśli, widzi grożącą rękę ojca nad swoją głową. Nie ma w pobliżu doradcy, który by jej powiedział, jak powinna się zachować, jak ma się tego podjąć. Rozpieszczano ją w czasie wychowywania, ale teraz, kiedy uległa przyływowi namiętności i postawiła na swoim, jest bezradna. Jedyne, co może ją uratować, to jej wola, jej osobowość. Twarde wikińskie cechy jej charakteru uwidaczniają się po kilkudziesięciu dniach. Kiedy koń stąpa po opuszczonych drogach, ona stopniowo odnajduje równowagę. Drzenie serca przechodzi w napiętą siłę woli. Kiedy ją to przerasta, zaciska zęby i patrzy na czujnego chłopaka obok siebie. Stale chcą się spieszyć, ale to przyciągnęłoby uwagę

przechodniów; nieufni chłopcy szybko wyłapują pogłoski z miasta: córka prominentnego mieszczanina dała nogę z Żydem! Nie chodzi więc o to, żeby uciec jak najszybciej, tylko jak najbardziej niepostrzeżenie. Podróżują więc w przebraniu, ostrożnie się rozglądając, przeważnie o wczesnych godzinach rannych. Przekradają się drogami, nikomu nie ufają i naciągają kaptury na głowę, gdy na wiejskiej drodze spotykają jeźdźców. Nadkładają drogi, żeby unikać miejsc, w których domyślają się lub obawiają posterunków.

Pewnego popołudnia postanawiają przejść dłuższy odcinek z grupą ludzi, która ich mija w całym swoim barwnym błazeństwie. To pochód z dziwnymi mesjaszami i aspirantami do roli świętych, którzy zgrają biedaków i nędzarzy podjudzają przemowami i kazaniami. Cytują urywki Apokalipsy Świętego Jana, krzyczą, że nadchodzi Bestia o dziesięciu rogach, że Antychryst już jest wśród nich, że świat zginie od ognia i miecza. Ubodzy reagują jak szaleńcy, krzyczą i gwizdzą, tańczą w kółko i wybiegają kawałek do przodu, żeby w małych wioskach bębnić w drzwi. Tam gdzie przechodzi procesja, ludzie wszędzie opuszczają nędzne domostwa i przyłączają się do niej. Zostawiają dom i dobytek, ich żony i dzieci idą z nimi. Wykrzykując z innymi hasła o zbliżającym się końcu czasów, mają nadzieję na lepszy los. Marzą o łupach, bezczeszczeniu i przygodzie. Nie mają nic do stracenia, niczego też nie zyskują, ale poczucie przynależności skutkuje u nich brawurą. Piją prymitywny rodzaj piwa, wszczynają między sobą bójkę. To tu, to tam ktoś pada ranny przy drodze. Zwykle po prostu się go zostawia. Dawid i Vigdis idą z tłumem, z głęboko naciągniętymi kapturem; to pożądana osłona przez rycerzami, bo nikomu nie przychodzi do głowy przeszukiwanie czy przepytywanie tej bandy zaślepieńców. Siedzą cicho, najchętniej między kobietami i dziećmi. Od czasu do czasu ktoś podsuwa im kawałek chleba albo trochę mleka. Nikt ich o nic nie pyta. Śpią pośród innych. W nocy rozpala się ogniska, które mają chronić całą grupę. W ten sposób pokonują fragmenty najniebezpieczniejszej trasy, pierwsze kilkaset kilometrów. Pewnego ranka budzą się jednak i zauważają, że ich mały koń zniknął. Muszą zostawić wóz, biorą na ramiona to, co nie jest zbyt ciężkie do niesienia, wolno ciągną dalej, widzą ruchliwą zgrają znikającą w oddali.

*

Kiedy po pierwszym gorączkowym tygodniu docierają do Évreux, Vigdis Adelaïs może w końcu odetchnąć. Ponieważ zaskakuje ich wczesny ulewny deszcz, wierzchnie ubrania nieprzyjemnie pachną od schnięcia na pocącym się ciele. Znajdują schronienie u Żydów, którzy są spokrewnieni z jednym z przyjaciół Dawida z jesziwy. Po raz pierwszy dostają coś solidnego do jedzenia, mogą się wykapać; zostaje dla nich przygotowana świeża lniana bielizna. Vigdis otrzymuje nierzucające się w oczy rzeczy, wierzchnie ubranie w postaci obcisłego kubraczka i powiewnej sukni. Na to zakłada płaszcz z kapturem z szarego prostego materiału. Ich własne ubrania zostają wyczyszczone i rozwieszane na strychu do wyschnięcia. Po raz pierwszy śpią razem w dusznym pokoju z tyłu, na wołokowym łóżku, ale prawie wcale się nie dotykają. Leżą obok siebie z otwartymi oczami i płonącymi ciałami w bieliźnie. Patrzą błędnym wzrokiem, nie dowierzając. Ich głowy huczą od myśli.

Zmęczeni i z dziwną mieszaniną euforii i paniki słyszą około wpół do piątej rano pierwsze wrony. Vigdis łowi uchem wypowiedane obok niej po cichu słowa, których nie rozumie. *Mode ani lefanejcha, Melech chaj we-kajam, sze-hechezarta bi niszmati be-chemla. Raba emunatecha.* Potem Dawid wstaje. W półmroku dziewczyna patrzy na rytuał, o którym słyszała. Mężczyzna owija jeden tefilin z siedmioma smokami wokół ramienia, drugi wokół głowy; młoda kobieta wpatruje się w dziwne pudełeczko na jego czole i wstrzymuje oddech. Chłopak recytuje poranną modlitwę w pustym, cichym pokoju. Dziewczyna przygląda się spod szorstkiego przykrycia.

Myśli o chrześcijańskim credo, które jej ojciec często recytował w porannej godzinie. Jest wolna i w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

W żaden sposób nie może przypuszczać, że po tragicznej śmierci męża zabierze tefilin i zostawi je w genizie egipskiej synagogi, gdzie osiemset lat później zostaną znalezione przez rabina Solomona Schechtera i starannie przechowane jako jeden z rzadkich przykładów średniowiecznych tefilin. W internecie krąży niewyraźne szare zdjęcie tych przedmiotów z cichego, chłodnego pokoju tysiąc lat później. Diaspora rzeczy.

3

Za Évreux znajduje się równina, która rozciąga się aż po horyzont. Idą przez wioski i szybko posuwają się naprzód, okolica jest tu płaska i łatwa. Docierają do miejsca dzisiejszego Nonancourt, gdzie droga się wznosi. Bez trudu wchodzą na wyżej położoną równinę. Kiedy oglądają się za siebie, widzą drogę, którą przebyli – rozległy widok z chmurami i stadami szpaków. Łąki, zarośla, parę błotnistych kałuż z czarną stojącą wodą, od czasu do czasu jakiś dzik napędzający im strachu, zadrapania od jeżyn, przez które czasem muszą się przedrzeć, zmęczenie, zniechęcenie. Atak płaczu o zmierzchu; głód i pragnienie, podejrzliwość nielicznych mieszkańców kilku niskich domów, do których stukają.

Gdzieniedzie uprawia się orkisz. Poletka są małe, zaniedbane i nieregularne. Przy wale pod wysokimi starymi dębami chodzą chude ciemne świnie, zapalczywie ryjąc pyskami w ziemi. W Bois de Saint-Vincent, tuż pod Blévy, Dawid i Vigdis wkraczają w czarujący spokój przyjaznego boru. Ortolany, dzierzby, gajówki, wilga, głuchy stukot dziecięcia. Szum liści, pęki wysokich paproci, kokoryczki, ulotna nadzieja. Zbierają jagody. Dawid, który jako dziecko nauczył się łowić ptaki siatką, łapie kilka gołębi, jednym pociągnięciem przecina im gardło. Skubie je i czyści, obmywa wodą z odrobiną soli, pozwala im się wykrwawić przez całą noc zgodnie z regułami *kaszrut*. Następnego ranka piecze je nad małym ogniem. Bzyczące muchy przy ścierwie młodego lisa, skłonność Vigdis do pomodlenia się do jakiegoś świętego. Zamęt, nocny strach. Delikatny wiatr o świcie. Natychmiast ruszają w drogę, po południu docierają w okolice dzisiejszego Méréglise. Nagle, gdzieś na skraju młodego lasu, on ogarnięty troską i zwątpieniem bierze ją w ramiona. Ona próbuje go od siebie odepchnąć, on ją przyciska. Jest tak, jakby ich ciała przeszył płomień. On pociąga ją w trawę, dysząc, wyplątuje ją z ubrań. Jest spocona, a zapach jej skóry sprawia, że kręci mu się w głowie z pożądania. Ona nie wie, co się dzieje. Płonie i czuje, że robi się wilgotna, pożądanie nie do zniesienia, on jest już na niej, zanim zda sobie sprawę, jest już w niej, twardy jak skała, lecz ją przepelnia czysta błogość. Widzi gołębie trzepoczące skrzydłami, na jej twarz padają cętki światła, zapach suchej trawy jest oszałamiający. Dawid całuje ją w szyję, głaszcze dziko i nieporadnie, szepcze słowa, których ona nie rozumie, ich ciała uderzają o siebie i falują ku sobie, euforia miesza się ze strachem i drżeniem, popędza ich. Ona czuje, że coś gorącego spływa między jej nogami. Drozd śpiewa w kołyszącej się młodej brzezynie. Wszystko się zaciera, jest tylko ta bezkresna przestrzeń w jej ruchach, nagle znika, jego przesywa wstrząs, płacze, ona go głaszcze, długo łapią oddech, spływa po nich pot, zaczynają od nowa, zaciekle i bez słów, teraz trwa to prawie pół godziny, ona czuje coś tak gwałtownego, że kręci jej się w głowie. Palcami czepia się trawy, potem jego ramion, mieszają się zapachy ich miłostnego oddechu. Brzęczące pszczoły w ich uszach, mrówki w trawie pod nią, czuje, że gryzące kwasy przenikają do jej ciała. To jeszcze bardziej ją podnieca, poruszają się jak szaleni, ona szlocha i czka, całuje, gryzie i liże, wszystko zaczyna się od nowa po tym, gdy dopiero co ustało. Wiele godzin później leżą w końcu spokojnie, on ciągle jeszcze ciężko na niej, ona pod nim, śniąc, patrząc na jelonka rogacza, który brzęczy nad ich głowami, Vigdis wybucha śmiechem – jest w niej zwariowana, niedorzeczna radość – i mówi:

– Teraz jestem twoją żoną.

To prawda. Według żydowskich zwyczajów tamtych czasów przez to odurzenie na małym poletku na skraju lasu stali się mężem i żoną po kres swojego krótkiego życia. Podnoszą się

dopiero, gdy się zmierzcha, chwiejąc się na nogach. Chcę jeszcze, śmieje się Vigdis, jakby była pijana. On ją podpira, ona stoi przez moment naga w pełnej krasie na tle lasu, w oddali za nimi gonią się dzikie psy. Osłania ją swoim płaszczem, chroni przed wiatrem i światem, ponownie wciska nos w jej niesforne jasne loki, w szyję. Ona chichocze, milczy, wpatruje się w niego, z powrotem siada w trawie, on pomaga jej się ubrać. Zapadają w sen tam, gdzie siedzą, budzą się dopiero następnego dnia rano wraz z pierwszym światłem i oszłamiającym śpiewem słowików. Ponownie się całują, bawiąc się językami, gryząc sobie nawzajem wargi. Znowu falują w sobie gwałtownie i długo, ona czepia się jego szyi, on zagrzebuje się w ciepło jej poruszającego się podbrzusza, zupełnie się w sobie zatracają, trwa to, dopóki słońce znów nie zacznie dawać ciepła, a oni ponownie zaczną się pocić, rajski zapach ich pragnienia siebie nawzajem. Potem bez ruchu leżą objęci, łapiąc oddech i słuchając odgłosów w poszyciu za nimi. Miejsce, w którym się znajdują, będzie się później nazywało Illiers; jeszcze później zostanie dodana nazwa Combray, okolica, w której młody Marcel będzie w rozmarzeniu spędzał swoje mityczne letnie miesiące przy wysoko wyrośniętym żywopłocie z głogu, Proustowskie miejsce pośrodku żółtych pól, pod bezkresnym niebem, na które czas zdaje się nie mieć wpływu.

*

W ciągu kolejnych dni posuwają się naprzód systematycznie, choć wolniej, zatrzymują się co ileś godzin, żeby zanurkować w wysokiej trawie, popędliwi i zmęczeni, ociążali i gotowi godzinami całować się i kochać. Miłość ich wyczerpuje i dodaje nieznannej energii; upojenie całkowicie ich pochłania, zapominają o głodzie, śpią pod gwiazdami i przestali szukać schronienia. Choć okolica wygląda bezpiecznie, w tych dniach narażają się na największe ryzyko: wystarczy, że natknie się na nich paru odrażających włóczęgów, a z powodu lepszych ubrań i sakiewki przy pasku Dawida będą zgubieni. Leżą bez ochrony, wieczorny wiatr wieje po ich spoconej skórze, od czasu do czasu słyszą wycie wilkopsa. Pewnego dnia widzą niedźwiedzia brunatnego na skraju lasu. Śmieją się i wzruszają ramionami, trochę stracili poczucie rzeczywistości, bujają w obłokach, to znów przedzierają się dalej. Orientując się według słońca, kontynuują kurs na południe, ale po pewnym czasie okazuje się, że jednak trochę zboczyli na wschód. Po kolejnym tygodniu widzą w oddali Orlean, trzymają się parę kilometrów za zachód od miasta, docierają do piaszczystych brzegów Loary, piorą ubrania, kąpią się, kochają w wodzie, aż płaskodenną łodzią nadpływa mężczyzna. Przypatruje się im, widać, że ocenia swoje szanse. Dawid prostuje się w wodzie, nie przestaje patrzeć, dopóki mężczyzna ich nie minie. Halką Vigdis, którą związał w sieć, przez godzinę łowi ryby; kiedy ma trzy, jedną zjadają na surowo, dwie pozostałe zostawiają do zmierzchu, gdy rozpalą ognisko i je upieką. Śliskie od tłuszczu palce przesuwają po swoich ciałach. Postanawiają tego wieczoru udać się do Orleanu i zgłosić do znamienitego żydowskiego kupca, znajomego ojca Dawida, u którego chłopak nocował również w drodze do Rouen.

4

Gmina żydowska w Orleanie była w tamtych czasach pokaźna – większa niż w Paryżu. Kroniki mówią o ponad tysiącu żydowskich mieszkańców około 1090 roku. To oczywiste, że tam szukali schronienia, ale wejście do miasta przez strzeżoną bramę nadal było ryzykowne. Gdyby powiedzieli, że są Żydami, naraziliby się na dyskryminację, zniewagi lub wymuszenia. Gdyby Vigdis wyjawiała, że jest chrześcijanką, mogliby ją zacząć podejrzewać z uwagi na węszących wszędzie rycerzy: blondwłosa kobieta w podróży z wyglądającym na południowca Żydem szybko rzuciłaby się w oczy. Lecz społeczności żydowskie także intensywnie komunikowały się ze sobą. Istniała siatka mogąca wysłać wcześniej posłańca pod zaprzyjaźniony adres. Podejmowano wówczas środki bezpieczeństwa; ktoś wychodził po nich poza bramy miejskie i ukrywał w wozie, żeby przemycić do miasta. Możliwości istniało równie wiele co zagrożeń.

W Orleanie dom rabina służy jako jesziwa. Dawid spotyka tam słynnego Rasziego z Troyes – barwnego uczonego, który przyszedł dyskutować o uprawie ogrodu, kwestiach językowych we francuskim, hebrajskich transkrypcjach i obrzezaniu. Mogą przenocować w domu żydowskiego kupca. Vigdis dostaje nowe ubrania. Odpoczywa, siedząc przy studni, czuje miłość płonącą w jej ciele – daleko od rodziców, cisza domu, jej pierwsze bojaźliwe kroki, gdy mijala jesziwę w Rouen. Wieczorem spaceruje z Dawidem nad rzeką. Na brzegu bawią się dzieci, w płytkich miejscach rybacy brodzą z małymi sieciami. Mężczyzna gra na prymitywnej szałamai, inny uderza w mały bęben. Nad wodą leży sfera psów, pijak załatwia swoją potrzebę tuż obok miejsca, w którym usiedli, koń z wozem wlecze się przez kurz. Komary, chrząszcze, gzy. Chaos życia dokoła. Cięży im brak snu, swędzenie, podniecenie. Śpią w osobnych pomieszczeniach, które kupiec kazał dla nich przygotować. Rano Dawid zakrada się do jej pokoju, rzuca się na nią jak wygłodniały, zostają przyłapani przez służącą. Ta chichocze i chce się dołączyć, Dawid ją powstrzymuje, Vigdis leży nagle cicho i myśli: dlaczego widzę w świetle tyle ciemnych plam?

W domu kupca dostaje pierwsze lekcje o *kaszrut*, przepisach określających, jak należy przygotowywać koszerne jedzenie. Uczy się, że przeżuwające zwierzęta o parzystej liczbie kopyt można jeść, a nieparzystokopytnych nie można; że zakazane jest gotowanie koźlęcia w mleku jego matki. Uczy się, że są dwie misy, jedna na mięso, druga na mleko, i dwa zestawy sztućców. Poznaje też dziwny nowy przedmiot: dwuzębny widelec, rzadkość w tamtych czasach świadcząca o tym, że rodzina, do której trafiła, jest zamożna i dystyngowana. Śmiejąc się, nakłuwa kawałek koziego sera, unosi go do ust. Zaraz potem robi się jej niedobrze, musi przytrzymać się brzegu stołu, zostaje wciśnięta w krzesło. Kobiety wokół niej szepczą coś pod nosem i kiwają głowami.

Później z kilkoma Żydówkami mija romański kościół w Orleanie. Czuje kłujący ból, chce wejść do środka, żeby się pomodlić w chłodzie katedry. Jedna z kobiet mówi:

– Tam chodzą *gojim*.

Sama widzi wizerunki świętych w kamieniu, próbuje nie myśleć.

Skoro zaczęły o chrześcijanach, kobieta mówi:

– Kiedy moja babka była jeszcze dzieckiem, spalono tu żywcem dwunastu heretyków; to było pierwsze publiczne spalenie pod zarzutem kacerstwa, całe miasto do dziś o tym mówi.

Ta historia jest nadal żywa również w społeczności żydowskiej. Chodziło o wysoko postawionych duchownych, a dyskusja podczas trybunału zdawała się uczona i burzliwa. Pobożność i godność oskarżonych spowodowały zamieszanie. Być może to właśnie ich dziwna gorliwość wiary wywoływała największe obawy. Ich przekonania musiały się opierać na argumentach późniejszych katarów. Dawały dowód teologicznej racjonalności: według nich przemiana chleba i wina w ciało Chrystusa nie była dosłowna, lecz symboliczna, podczas chrztu Duch nie mógł spływać na człowieka, przebaczenie po morderstwie i zabójstwie nie wchodziło już w grę. Podobnie jak katarzy, nie uznawali boskiej zgody na chrześcijański ślub. Najciekawszy wydawał się jednak ich wegetarianizm: jedzenie zwierząt uchodziło w ich uznaniu za nieczyste i zabronione. Niczego nie przecuwali, uważali, że wnoszą wkład w teologiczną dyskusję. W końcu oskarżeni przyznali się do swoich heretyckich idei. Tłum na zewnątrz ryczał, że muszą zostać straceni. Zostali zamknięci, a po kilku dniach wyprowadzeni za miasto na skraj lasu, gdzie wsadzono ich do drewnianej klatki, którą następnie podpalamo. Widok krzyczących i konających wysoko postawionych członków Kościoła wywarł na ludności ogromne wrażenie. Prominentni obywatele żydowscy są też od tamtej pory ostrożniejsi, świadomi tego, że wyrozumiałość może się bardzo łatwo obrócić w nienawiść i nagonkę.

Vigdis Adelaïs zastanawia się nad własnym losem; opowieść ją przeraziła, prosi o więcej objaśnień, kobiety wzruszają ramionami, mija ich mężczyzna z lirą korbową. Świat wydaje się dziewczynie groźny, a zarazem dobrze znany, bliski i obojętny. Ale właściwie nie wie, co to znaczy „obojętny”. To nie są terminy, w jakich myśli. Dla rodziców jest teraz heretyczką. Dla przysłego męża nawróconą.

– Tak trudno jest oduczyć się modlitw – mówi nagle.

Inne kobiety patrzą na nią zaskoczone i pytają, czy potrafi odmówić żydowską modlitwę. Jąka się i zacina, łapie powietrze. Jedna z kobiet stwierdza, że nigdy nie będzie prawdziwą Żydówką, druga bierze ją pod ramię i proponuje:

– Już późno, wracajmy do domu.

Nagle Vigdis uświadamia sobie, że jest tylko jeden człowiek na świecie, który może ją uratować: mężczyzna, przez którego czuje się tak rozpaczliwie.

*

Po trzech dniach muszą iść dalej. Słyszeli, że w mieście byli rycerze, którzy o nich rozpytywali – na szczęście tylko wśród chrześcijańskich rodzin, ale nigdy nie wiadomo, czy ktoś ich nie widział nad brzegiem Loary i nie domyślił się, że odpowiadają podanemu opisowi. Zaopatrzeni w muła, nowe ubrania i koce, bukłak z winem, torbę z suszonym mięsem, mace i mąkę ponownie ruszają w drogę, niespokojni i ścigani, uważni i blisko siebie spieszą zakurczonymi traktami. Daje się im we znaki pierwszy czerwcowy upał, obierają drogę w kierunku położonego dalej na południe Bourges, miasta za mokradłami Sologne. Zanim tam dotrą, zostają wielokrotnie pogryzieni przez owady. Nacierają skórę balsamem, który podarowała im żona kupca, błyszczą od niego, mikstura cuchnie i nie pomaga. Drapią się jak szaleni w ciepłe noce pod gołym niebem, leżąc bezsennie i wsłuchując się w nawoływania małych dzikich zwierząt, przy ostrym zapachu odchodów w pobliżu. Nasłuchują przede wszystkim, czy w ciemności nie dobiega ich odgłos kłusujących koni. Z powodu upału nie rozpalają ogniska dla odstraszenia zwierząt; poza tym to zbyt niebezpieczne. Dawid zrobił wokół ich legowiska krąg z zaostrzonych kijów, na których rozwiesił zwierzęce skóry. Otaczają ich jak mały bezpieczny zamek, ale Dawid i Vigdis zasypiają dopiero po pierwszym porannym chłodzie. W młodym brzuchu Vigdis Adelaïs rośnie coś, czego ona jeszcze nie pojmuje.

*

Przez wiele dni: zalesione tereny, małe skupiska wody, czaple przy stawach, pod dostatkiem ryb. Jedzą porzeczkę, bardzo słodkie poziomki, twarde dzikie wiśnie. Vigdis nauczyła się piec płaskie chleby na gorących kamieniach. Oczyszcza ryby rękami, które zrobiły się szorstkie, cała wygląda jak młoda chłopka. Ma ogorzałą twarz, w ciągu dnia zapada czasem w sen tam, gdzie stoi, a pewnego dnia zwraca wszystko, co w sobie miała. Potem czka, jej ubranie jest spryskane kwaśną breją, musi się wysikać, znowu wymiotuje, podpierana przez Dawida kładzie się na trawiastym poboczu, chłopak narzuca na nią lekkie przykrycie. Ona śpi, aż późnym popołudniem przenika ją pierwszy chłód. Później nadciąga burza, w jednej chwili z czarnego jak noc nieba zaczyna padać i lać, wszędzie wokół nich uderzają pioruny. Ona krzyczy, robi znak krzyża, myśli, że ten Bóg więcej jej nie pomoże, mocno czepia się Dawida. Muł staje dęba i szarpie za lejce, zrywa się, ucieka kłusem w ulewę. Deszcz jest letni i tak obfity, że wydaje się, jakby siedzieli pod wodą. Vigdis ma wrażenie, że nie może już oddychać, piorun uderza blisko nich, nigdzie żadnego schronienia. Wtuleni w siebie czekają na koniec burzy. Boże, myśli Vigdis, Boże mojej młodości, jakże brakuje mi modlitwy. Modli się w ciszy, po łacinie, podczas gdy David szepcze hebrajskie teksty.

Kiedy burza przesuwana się na wschód, widzą, jak opalizująca wilgoć wzbija się nad pustą, parującą ziemią. Od którego boga to znak? – zastanawia się. Tak mocno ściska ramię młodego mężczyzny, że ten się zrywa i podnosi na nią rękę, po czym przerażony własnym zachowaniem bierze ją w ramiona. Trudno coś powiedzieć. Pierwsze gwiazdy pojawiają się na bladym, jasnoniebieskim niebie. Są sami jak palec, gdzieś w okolicach Vierzon, niebędącym w tamtej chwili niczym więcej niż zlepkiem domów. W parujących ubraniach docierają do oberży ze starym słomianym dachem, przy ciemnym stole piją kwaśny moszcz i jedzą twarde chleb z kozim serem, który postawił przed nimi oberżysta; pokój, w którym śpią tej nocy na worku słomy, szeleści i chrobocze od popielic, szczurów i myszy.

*

Jadę ich śladem, po godzinie oglądania map i studiowania Google Maps, z Rouen także prosto na południe, bocznymi drogami w kierunku Évreux. Wiejska Francja jawi się w całym swoim wczesnoletnim powabie. Pęki dzikich róż na starych ogrodzeniach, sadzawki z dostojnie sunącymi łąbiedziami, targowy dzień pod kwitnącymi lipami; niebieskie chabry w zbożu, kwitnące drzewa owocowe, dalekie widoki, ogródki warzywne i stare werandy. Betonowe wąskie drogi, zdające się nie mieć końca, na których z naprzeciwka nie nadjeżdża żaden pojazd. Co dziesięć kilometrów odnotowuję zmianę w krajobrazie, stale świadomy tego, że prawie nic nie pozostało takie samo. W pobliżu Montigny-le-Chartif kręcę się trochę po tym, co zostało z lasu, w którym Dawid i Vigdis po raz pierwszy się kochali. Motocyklista tak głośno przemyka obok cichego letniego lasu, że na moment serce mi staje. Również teraz są tu jagody, zastanawiam się, co jedli, czy szli szybko, czy spacerem.

Po południu chodzę spokojnymi ulicami Illiers-Combray. Po raz pierwszy odwiedziłem to miejsce dwadzieścia lat temu. Ponownie myszkuję w domu Léonie, ciotki Prousta. Wchodzę do ogrodu, znajduję tam parę chwil ciszy. Pamiętam, jaki byłem zaaferowany za pierwszym razem, kiedy tu przyjechałem, kolorowymi plamami, które słońce rzuca przez witraże w małych oknach na płytki starej podłogi, i że stanowiły dla Prousta powód do rozważań nad światłem i czasem. Teraz szukam innego światła i innego czasu, ale coś z jego pragnienia intymnych doznań drży w popołudniowym słońcu, kiedy idę do samochodu. Możliwie jak najwolniej jadę do Orleanu.

W wieczornym słońcu ja sam stoję nad brzegami Loary. Widzę płaskie łodzie, piękne dziewczyny, które namiętnie całują brzydkich chłopaków, spokój tych gorączkowych czasów. W

mojej głowie piosenka Dawida Crosby'ego: „Orléans, Beaugency, Notre-Dame de Cléry, Vendôme...”.

Potem czeka mnie trzysta kilometrów czarnej opuszczonej autostrady, ulice w blasku reflektorów, jakby początkowe napisy filmu ciągnęły się w nieskończoność, muzyka Gregoria Allegriego i boskiego Josquina. Wpatruję się we własne wyobrażenie czasu: mroczna dal, plama światła, która przesuwa się przede mną do przodu. O drugiej w nocy wracam do swojego domu pod północnym niebem i myślę: czy przez ostatnie dni więcej się nauczyłem albo zobaczyłem niż teraz, w ciemności, podczas tej nocnej podróży w swoim wewnętrznym świecie? Iluzja i pragnienie, żeby naprawdę poczuć jakąś obecność tej kobiety, przerodziły się w świadomość, że poza moją wyobraźnią nigdzie jej już nie ma.

*

Letni poranek, środkowa Francja. Stukot końskich kopyt, turlających się beczek, uderzeń młota w kuźni, bicie dzwonów, żółte proporce przy surowej twierdzy. Dawid i Vigdis przez chwilę patrzą na młyn wodny, woda kipi i skrzy się, kapie, spływa i biegnie pod ich stopami na błotniste ulice, które parują w słońcu. Dawid kupuje muła, małe i silne zwierzę wierzchowe, jest w nim coś orientalnego. Mężczyzna twierdzi, że ktoś przywiózł go z Jerozolimy.

– Jerszalajim – mówi Dawid, patrząc przed siebie z rozmarzeniem.

Vigdis opowiada mu o swoim bracie Arvidzie w Rouen, który stale tańczył na wewnętrznym dziedzińcu i wołał: Później pojedę do Jerosolimy, Jerosolimy, a matka poprawiała go ze śmiechem: Tak, potem później pojedziesz do Jerozolimy, Świętego Miasta chrześcijan, a ja pojedę z tobą. Na co Dawid stwierdza:

– Nie tylko waszą bazylikę Grobu Pańskiego tam zniszczono, również naszą Świątynię, o wiele wcześniej.

Nagle odzywa się do niej jak do obcej, mówi „wasza”, nieoczekiwanie znowu zalicza ją do świata jej ojca. Vigdis milczy i myśli: jeszcze nigdy nie czułam się taka samotna.

*

Świat, w którym są zbiegami, przechodzi gwałtowne, rewolucyjne zmiany, w szybkim tempie rozwijają się nowe idee. Nie mam pojęcia, co już wiedzieli na ten temat. Czy student Dawid miał świadomość, że wielki filozof Awicenna jako pierwszy opisał działanie chorób zakaźnych? Czy słyszał o stomatologicznych poglądach arabskiego lekarza Abulcasisa? Czy w ogóle rozmawiał z nią o takich sprawach? Wiersze Omara Chajjama nie dotarły jeszcze na Zachód, liryka dworska też jeszcze nie istniała, ale jako wykształceni młodzi ludzie być może rozmawiali ze sobą o poezji. Nie wydaje się też nieprawdopodobne, że Vigdis potrafiła już odczytywać muzykę w zapisie nutowym opracowanym pół wieku wcześniej przez Gwidona z Arezzo. Pierwsze śpiewy wielogłosowe rozbrzmiewały w kościołach w czasach jej młodości, potem pojawiła się polifonia. Architektura przymierzała się właśnie do przejścia ze stylu romańskiego w gotycki, budowanie coraz wyższych kościołów było w pełnym toku; świat pokrywał się, jak napisał mnich Rudolf Glaber, białym płaszczem kościołów.

5

Z Orleanu mogli szybciej posuwać się naprzód, choć Loiret przekroczyć trudniej niż Loarę – jest wprawdzie węższa, ale bardziej porywista, z małymi wirami to tu, to tam. W Bois de Sologne owady brzęczą nad bagnami. Są tam duże obszary wyrosniętego młodego lasu na zmianę ze szczerym polem i moczarami. Nad brzegiem Ardoux zjadam bułkę i na chwilę zapadam nad wodą w sen. W ciągu wieków teren został wydrenowany; wtedy prawdopodobnie był bardziej bagnisty i często niełatwy do przejścia. Następna rzeczka, Cosson, biegnie obecnie tuż za siedemnastowiecznym zamkiem La Ferté Saint-Aubin, książęcą, jasną i niezwykle przyjemną rezydencją. W obszernych piwnicach korpulentna kucharka co dwie godziny prowadzi warsztaty gotowania w historycznie urządzonej kuchni, w której na haku wisi wypchany dzik. Długo spaceruję po wielkich pokojach, klatce schodowej, klasycystycznym ogrodzie, w uspokajającej i cicho wołającej o pomstę do nieba atmosferze, w której szlachta była obsługiwana przez całą podziemną obrotność sutereny.

W dni, w które Dawid i Vigdis mogli się zatrzymywać u żydowskich mieszczan, zapewne odżywiali się wyśmienicie. Kiedy nocowali u chłopów, Dawid objaśniał, z czego Vigdis będzie musiała zrezygnować po nawróceniu się. Ludzie średniowiecza, również niższe warstwy, spożywali prawie wszystkie małe ptaki, zwykle w postaci pasztetów albo pieczone w całości, bo wtedy również kostki stawały się miękkie i jadalne. Regularnie serwowano bażanta, przepiórkę i drozda. Przepisy z lepszych kuchni zawierały na przykład rosół z jaskółczych języczków. Ludzie średniowiecza, kiedy mieli na to środki, jadali obficie – dziesięć jaj na osobę w jednogarnkowym daniu nie stanowiło w lepszych domach żadnego wyjątku. Każda zamożna rodzina dysponowała płonami kilku poddanych i chłopów pańszczyźnianych, którzy mieszkali na ich gruntach. Żyli z tego również panowie feudalni, lecz ich dochody były wielokrotnie wyższe. Menu zawierało liczne dania z mięsa wieprzowego, od tego Dawid na pewno jednak trzymał się z daleka. Vigdis dopasowała jadłospis do nowej wiary. Kiedy między dwoma miastami lub miejscami, w których udzielano im pomocy, szli przez pola i lasy, mieli prowiant ze sobą – skórzane, wodoszczelne worki z winem i wodą, suszone mięso, mace, twarde chleb i ser. Owoce znajdowali wszędzie, trwało lato – w bród jagód, jeżyn i malin, nawet pierwszych jabłek i gruszek, choć często były to twarde owoce z niekultywowanych, dzikich drzew owocowych. Z warzyw jedli marchewki, groszek, dużo grochu i buraków, szalotki i szczypiołek, w jedenastowiecznym menu znajdowały się nawet por i rukiew wodna. W stawach i potokach mogli łowić ryby.

Ludzie średniowiecza byli też zagorzałymi zielarzami. Prawie każde zioło na coś pomagało, istniały opasłe lecznicze herbaria, rozmaite wyciągi polecano i stosowano na najbardziej rozbieżne dolegliwości. Hildegarda z Bingen, która przychodzi na świat w 1098 roku, kiedy Vigdis Adelaïs wraca z Egiptu, jako pierwsza napisze obszerny podręcznik lecznictwa. Zapewne mieli przy sobie mały zapas lekarstw na drogę, woreczki z ziołami, zbożami i maściami.

*

Przez jakiś czas idą wzdłuż rzeczki Rère, wijącej się przez arkadyjskie leśne tereny. Kąpią się, odpoczywają, drzemią. On uczy ją *Szma Israel*. Ona śpiewa mu stare flamandzkie pieśni,

których nauczyła ją matka.

Są w Berry, okolicy, która mnie kojarzy się z George Sand i Chopinem. Podróżują dalej, aż docierają do najstarszej znanej winnicy Francji, Menetou-Salon, o której kroniki wzmiankowały już w 1063 roku. Ponieważ Dawid wyciąga z sakiewki złotą monetę, są mile widziani u *seigneur* de Menetou, który jest znany dzięki szlacheckim archiwom: wspaniałomyślny i wielkoduszny człowiek, bogobojny, ale o szerokich horyzontach. Regularnie przekazywał swoje wino zakonom z okolicy, zwłaszcza opactwu Saint-Sulpice w pobliżu Bourges. Daje młodej parze wszystko, żeby odzyskała siły; jego kwitnący ogród warzywny jest rozkoszą dla oczu, zamknięty dla innych mały raj z kwadratowymi grządkami na zioła, kwiaty i jarzyny. Przebywają w winnicy pięć dni, wieczorami rozmawiają z *seigneur* de Menetou, który jest im przychylny i udziela rad na drogę. Przy pożegnaniu z uśmiechem oddaje im złotą monetę.

Ja jednak, niczym prześladowca, któremu się spieszy, pozostaję tam jedną noc. Tuż przed północą błędę jeszcze po ogrodzie. Księżyc jest w pełni i rzuca blask na słono-słodką wodę stawu otoczonego wysokim bambusem. W dzisiejszej posiadłości światło świeci się jak to na obrazie René Magritte'a.

*

Aby podróżując z północy, wejść do miasta Bourges, muszą przeprowić się przez trzy rzeki: Moulon, Yèvre i Yévrette. Brzegi dwóch pierwszych w ich czasach łączył już most; na trzeciej pojawi się on dopiero niecałe sto lat później, ale na pewno będzie jakaś przeprawa promowa.

Nie wiem, u kogo się zatrzymują – ślady ówczesnej społeczności żydowskiej zostały całkowicie wymazane – ale otacza ich bezpieczne, mieszczańskie życie miasta. Za dziesięć lat Bourges zostanie podniesione do rangi miasta królewskiego. Wszędzie biją dzwony, echo niesie się z kościołów, dźwięczą wysoko z katedry, dzwonią na dziedzińcu klasztoru. Katedra jest jeszcze romańską, wczesnośredniowieczną budowlą. Jak to wtedy było w zwyczaju, figury świętych są pomalowane na jaskrawe kolory. Wejście do kościoła sprawia przez to niemal orientalne wrażenie; barwne piękno, które zaskakuje nawet Dawida.

To tam, w Bourges, natychmiast rozpoznaję ją w podwójnej rzeźbie w katedrze Świętego Szczepana, gdzie para małżonków modli się naprzeciwko siebie – ręce nabożnie złożone, przed każdym z nich modlitewnik, obok różaniec. Siedzą skamieniali, wpatrując się w siebie w najwyższym skupieniu, dwie postaci zdające się wykonywać performance. Jeśli o mnie chodzi, kobieca postać po lewej, wykonana z różnych rodzajów marmuru, stanowi wierne odzwierciedlenie dziewczyny z Rouen – choć wiem, że przedstawia Joannę d'Armagnac, księżną Berry z piętnastego wieku. To jest ta twarz, ta ekspresja, którą miałem w myślach już w Rouen, nie, nawet wcześniej, kiedy zobaczyłem, jak schodzi ze wzgórza i kulejąc, dociera do górskiej wioski w Prowansji. Ten rodzaj pięknych szat prawdopodobnie i ona nosiła w młodych latach w Rouen – mimo że sugestia sutego brokatu bardziej pasuje do zamężnej szlachcianki siedzącej tu przede mną. Marmur jej wierzchniej szaty zdobią delikatne wzory; drobna plisa elegancko podkreśla małe piersi; niepokryty farbą kamień, z którym stykają się mankiety koronkowej spodniej szaty, świadczy o dużym wyrafinowaniu kulturowym. Złożone ręce są nieruchome i spokojne, przyciśnięte do siebie delikatne kciuki sugerują koncentrację na modlitwie. Lśnią spiczaste czubki palców. Wysoki kołnierz zamykający się wokół szyi, wystający nad płaszcz prawie aż po małżowiny uszne, skrywa i podkreśla kruchą siłę szyi i głowy, siłę woli i całkowite ukierunkowanie na nadzieję płynącą z modlitwy. Po stronie pleców widnieje duży pas z szeroką klamrą. Skórzany pasek z gracją zwisa aż po tren płaszcza.

Nie jestem pierwszą ani jedyną osobą, którą porusza ta realistyczna rzeźba; kiedy Hans Holbein odwiedził ten kościół w 1524 roku, wykonał dokładny szkic wizerunku modlącej się

Joanny. Również on czuł intensywność tej postaci, tak jak ja mam ochotę jej dotknąć, położyć rękę na jej szczupłym ramieniu. W ten sposób Vigdis Adelaïs klęczała w kościele w Rouen; te wręcz dystygowanie wyglądające szaty zamieniła na prosty żydowski strój, w którym wkroczyła do świata innej szlachty.

Patrzę na grę porannego światła i cienia w tej oszałamiającej przestrzeni z podwójnymi bocznymi nawami, wielki spokój płynący z perspektywicznej iluzji ogromnych kolumn – jak majestat tej architektury pobudza do życia jej bezgłośną modlitwę, szeptaną w głębi ducha. Przez wysokie witrażowe okno pada owalna plama światła, która niczym błyszczący kurz skrzy się na starej podłodze. W mojej głowie eteryczna muzyka Hildegardy z Bingen.

6

Z żalem opuszczają Bourges. Gospodyni gorąco poleca im zachowywać ostrożność. Przytakują, zapewniają, że będą uważali. Ruszają wijącą się piaszczystą ścieżką i wdychają powietrze lata; pokonali prawie połowę drogi do Narbony.

Ale tym razem, gdzieś pod laskiem z nieprzeniknionymi zaroślami na południe od Bourges, wszystko idzie nie tak. Nagle spomiędzy krzaków jeżyn i pokrzyw wyskakuje niesamowita postać, zagradzając im drogę. Nędzny, nieobliczalny dryblas z szalonym ogniem w oczach, wielki, imponujący dzikus w zbieraniu śmierdzących gałganów, w kapturze na gburowatej głowie – wymachuje ciężkimi pięściami, jękając się, gulgocząc i plując.

– Samule – warczy – no, no, Samule. – Śmieje się szyderczo i wyciąga grubo karbowany nóż. – Samule, eio, eio, Samule.

O co mu, na Boga, chodzi? Chichocze jak obłąkany. Pod kapturem widzą dwoje lśniących oczu. Diabeł, myśli Vigdis, to czart z piekła, który przyszedł po mnie. Widzi jego ubłocone, wielkie, bose stopy w brzdach drogi, którą im zastawił. Stoją jak skamieniali. Vigdis chwyta Dawida za rękę, ten natychmiast ją cofa, jego dłoń sięga po sztylet.

– Samule, eio, eio – woła mężczyzna; brzmi to jak zwierzęca skarga.

Rzuca się na Dawida. Ten mocno się schyla, skacze do brzucha napastnika, który w ten sposób dostaje szansę, żeby szybko wbić nóż w ramię Dawida. Vigdis krzyczy, z krzaków wyskakuje dwóch innych mężczyzn, chwytają ją, od razu zaczynają targać na niej ubranie i sięgać jej między nogi. Ich oddech cuchnie zepsutą rybą, przechodzi jeszcze dziewczynie przez myśl. Kiedy się szamocze, dostaje cios, już leży na ziemi, krwawi z nosa, czuje, że jej ubranie jest odsuwane i targane, piekący ból, nie za bardzo wie gdzie, słyszy ryk olbrzyma, który przewraca się do tyłu z rękami na brzuchu, krew kapie spod sterty łachmanów. Drugi bandyta, który się na niej wił, upada na nią jak głaz, z na wpół zmiądzoną głową. Trzeci ucieka. Vigdis widzi paniczne spojrzenie Dawida nad sobą, który dwukrotnie wbija sztylet głęboko w plecy umierającego na niej zbira, obok słyszy rżenie olbrzyma, Samule, jęczy, eio, eio, Samule, z jego ust wypływa gęsta krew, znowu się podnosi, chce się rzucić na Dawida, chybia, chwieje się. Dawid szybko dosięga jego krtani, przecina ją jednym ruchem, olbrzym upada na Vigdis i mężczyznę, który jeszcze na niej leży w konwulsjach. Dziewczyna czuje, jak ogromny ciężar odbiera jej dech. Dawid szarpie olbrzyma, który dusi się własną krwią, z przeciętej krtani wypływa struga ciemnej cieczy. Nie ma już siły, by odepchnąć kolosalne ciało. Vigdis grozi zmiążdżenie, traci przytomność, Dawid szarpie i ciągnie, olbrzym w przedśmiertnych drgawkach w końcu się z niej stacza. Został jeszcze konający, przewracający oczami gwałtownik. Vigdis odzyskuje świadomość, chce krzyknąć, ale daremnie, wreszcie ruchem bioder zrzuca z siebie umierającego. Ten stacza się w suchą trawę obok, rozchodzi się zapach odchodów. Dawid krwawi z trzech kłutych ran, jego twarz jest blada jak płótno i wybrudzona, drży na całym ciele i upada. Dziewczyna nie może wstać, żeby mu pomóc. Leżą tak półtora metra od siebie. Ona szlocha, on dyszy. Nad nimi śpiewa drozd na drzewie, szumią liście, gdzieś niezbyt daleko bije kościelny dzwon, potem Vigdis nic już nie wie.

Wokół nich panuje całkowita ciemność, jest środek nocy. Wielka Niedźwiedzica ześlizgnęła się z nieboskłonu. Słychać gdzieś samotne pohukiwanie sowy. Kilka gwiazd niewyraźnie migocze między cicho szumiącymi liśćmi. Coś porusza się niedaleko od niej, jest jej zimno i

cała drży. Potem ktoś, zataczając się, staje nad nią, ciemny i chwiejny. To moja śmierć, myśli Vigdis. Słyszy dyszenie. Dopiero później rozpoznaje Dawida. Chłopak ponownie upada obok niej, chwytają się za ręce, leżą tak do rana.

Budzi ich ziąb. Okaleczone zwłoki w pobliżu sprawiają, że choć otumanieni, próbują się podnieść. Pieką klute rany młodego mężczyzny; po napaści ból rozrywa i pali ciało młodej kobiety. Drżąc, stoją w rosie; utykając, odchodzą parę metrów od tego okropnego miejsca. Ich muł i tobołki zniknęły. Sakiewka ze złotymi monetami wisi jeszcze u pasa Dawida. Ponownie osuwają się na ziemię, leżą, dopóki słońce nie zacznie ich ogrzewać.

– Ciepło rosy – odzywa się Dawid po długiej chwili. – Po hebrajsku jest to imię dziewczyny, Chamutal. To będzie twoje nowe imię, kiedy przyjmiesz judaizm: Chamutal, ciepło rosy.

Próbuje ją objąć, ona z głośnym szlochem wykręca się z jego ramion. Milczy i patrzy na przepływające chmury. W głowie rozbrzmiewa jej stara modlitwa, której nie ma odwagi wypowiedzieć na głos. Wokół ogromnego cielska już brzęczą niebiesko lśniące muchy.

W ich sercach coś pękło. Bez środków do życia i wyczerpani wloką się do dużej zagrody, w której ich rany zostają opatrzone ziołowym balsamem, a gospodarz udostępnia im twarde prycze do spania. Na pytania chłopca odpowiadają kilkoma słowami, nie są w stanie składnie się wyrażać. Kiedy ten słyszy, kogo Dawid zabił, trzykrotnie się żegna i bąka pod nosem coś niezrozumiałego, w czym pobrzmiewa słowo Samule. Dawid pyta, co chce przez to powiedzieć, ale chłop gwałtownie kręci głową, przytyka do ust wykrzywiony palec wskazujący i ostrzegawczo patrzy na oboje wielkimi oczami.

Siedzą na pryczy, wpatrując się przed siebie, dopóki nie zapadnie zmierzch. Nagle na polu przed gospodarstwem jakby nigdy nic pasie się ich muł, z przywiązаныmi nietkniętymi jeszcze torbami.

Vigdis męczą koszmary. Następnego dnia dostaje gorączki i drży na całym ciele. O infekcjach, z medycznego punktu widzenia, nie ma pojęcia, ale wyraźnie czuje, że w podbrzuszu coś ją pali. Mijają dni, zanim nastąpi pewna poprawa; Dawid czuwa przy niej, jego rany się goją, tylko rana po pchnięciu nożem w nadgarstek nadal ropieje. Dogląda Chamutal. Przemycają się wyciągami z ziół, które gospodyni zbiera według ich wskazówek. Piją rosół i jedzą kurę; Vigdis wszystko zwraca.

Po tygodniu Dawid znajduje ją płaczącą, ogarniętą obawami i oddającą się modlitwom z młodości – jej delikatna koronkowa bielizna jest brudna od nędznej pryczy, krwotoków i nieustających uderzeń potu – ze złożonymi trzęsącymi się rękami, różańcem na szczupłych nadgarstkach, klęczącą obok twardego posłania: chce wrócić do domu, to niemożliwe, za wiele tego, nie chce wypierać się swojego Boga, to wszystko niemożliwe, to pycha i została surowo ukarana za zdradę Boga rodziców, właściwie zasługuje na śmierć, musi wstąpić do wspólnoty klasztornej, żeby odpokutować za grzechy, diabeł ją znajdzie. Dawid się nie odzywa, klęczy obok niej, szepcze żydowską modlitwę, zamyka oczy, siedzi tak przy niej. Potem mówi:

– Nie ma drogi powrotnej. Zostaniesz skazana za herezję, gdy wrócisz do Rouen.

Ona wstaje bez słowa, kładzie się na twardej pryczy, prostuje się i leży bez ruchu jak rzeźba na gotyckim grobie, z rękami wzdłuż słabego ciała. Ledwie oddycha. Zamyka oczy.

*

Przeszli ponad połowę drogi. Pola są suche, północne zapachy stopniowo zostają zastąpione przez suchsze południowe. Zabudowania są małe, pokryte prymitywnym łupkiem albo grubą warstwą słomy, gdzieniegdzie nawet ogrodzenie, plecionka z wiotkich gałęzi wierzby, za którym biegają kozy i owce lub parę świń. Tu znowu nie ma zupełnie niczego oprócz pól, drogi pełnej dziur i kolein, starego klonu, pod którym można odpocząć, ruin z warczącym psem. Potem wylaniają się ciemno zalesione wzgórza Owernii. Niemal bez ostrzeżenia robi się wilgotno i zimno w cieniu na drodze. Szukają płaskich traktów w dolinach, czasem jednak przychodzi im wspinać się na strome zbocza i schodzić z nich, a koń musi wtedy na wycucie szukać drogi. Przy kościółku w Saint-Éloy uciekają do środka przed olbrzymim dzikiem, który węsząc, ryje w ziemi, zdziwiony podnosi ślepią i wściekle rzuca się w ich stronę.

Droga opada i wije się. Rozciągający się dalej przełom rzeki Sioule jest groźny, wisi nad nim lekka mgła. Po kolejnym dniu droga pod ich stopami czernieje od pyłu wulkanicznego. To tu, to tam natykają się na menhir, nie wiedzą, co to oznacza. Idą dalej. Małe kościoły często

stanowią ostoję dla wątpiącej kobiety, która stała się milcząca. Potem, pewnego dnia, widzą położone w oddali dwa romańskie kościoły Clermont, padają sobie w ramiona i nabierają otuchy.

8

Pod wieczór wjeżdżam do miasta Clermont-Ferrand. Panuje jeszcze parny upał, tłumy wylegają z hal targowych i supermarketów, trudno zaparkować, jestem głodny i zmęczony. Kiedy wychodzę z parkingu na górę, wyrasta przede mną czarna, wyrzeźbiona w lawie wulkanicznej katedra Wniebowstąpienia Najświętszej Maryi Panny. To, co widzę, nie jest jednym z romańskich kościołów, które zobaczyli uciekinierzy. Sto lat przed ich przybyciem tutaj wikingi przodkowie Vigdis zniszczyli święte miejsca; w chwili gdy Vigdis i Dawid docierają do miasta, w miejscu tej katedry znajduje się już trzeci z kolei kościół, tym razem zbudowany na polecenie biskupa Stefana II. Katedra, która stoi tu obecnie, powstała trzysta lat później, ale krypta starego kościoła z dziesiątego wieku okazuje się nienaruszona, choć nie mogę do niej wejść: zwiedzanie ograniczono do jednej godziny w środę, stary Bóg wie dlaczego. W wysokim pomieszczeniu jest za dużo ludzi. Wychodzę na zewnątrz. Spomiędzy kamieni brukowych wyrastają metalowe pomniki Wercyngetoryksa i papieża Urbana II.

Szukam bazyliki Notre Dame du Port, znajduję ją na małym, otoczonym budynkami placu. To, że kościół jest tak stary, wynika już z faktu, że trzeba pokonać w dół więcej niż dziesięć stopni: leży znacznie niżej niż poziom ulicy. Wchodzącego do środka czeka niezwykle przeżycie. Wnętrze jest zaskakująco jasnożółte, jasne, a mimo to ciężkiej budowy. Wieczne słońce oświetla przestrzeń, jakby była nowa i nieważka, jest w niej coś bizantyjskiego. Podstawowa konstrukcja pochodzi z szóstego wieku, ale w jedenastym, po spaleniu przez Normanów, kościół odbudowano. Dla Vigdis musiało to być znaczące, wzruszające miejsce, które na nowo rozpało w niej wszystkie sprzeczne uczucia. Kościół jest tak wyjątkowy, że w 1998 roku został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Stoję i patrzę jak osłupiały na krótkie, niezgrabne kolumny u góry w centralnej kopule, kontrast między masywnymi kolumnami a alegorycznymi scenami reliefowymi w szarym kamieniu, które je wieńczą. Nisko wiszą proste świeczniki w sześciolistnym kształcie, wręcz przywodzące na myśl synagogę. Stare witraże w oknach są nietknięte i filtrują światło w mistyczny, spokojny sposób. Pod jedną ze ścian stoi stara kropielnica, tak masywna i ciemna, że ponownie mam nadzieję, że dotykam czegoś, czego dotykała również Vigdis.

Uczucie, że znajduję się w fascynującym kluczowym miejscu, ogarnia mnie bez reszty, gdy schodzę do krypty. To tutaj młoda uciekinierka przyszła się po raz ostatni pomodlić, prosić o wybaczenie za zmianę wiary. Wiedziała, że jej „żydowski chrzest” już się zbliża, a powrót nie jest możliwy. Dawid czeka na zewnątrz, w mieście jest wystarczająco wielu Żydów, których poznał w drodze na północ. Wie, że Vigdis ma tu do załatwienia pewną sprawę sama ze sobą. Chamutal musi tutaj powoli żegnać się z Vigdis Adelaïs.

Absolutnie nie może wiedzieć, że w tej krypcie siedzi dokładnie w miejscu, w którym wiele lat później przyjdzie się modlić papież Urban II w dzień przed wyjazdem na pola za Clermont, tam gdzie obecnie królują supermarkety i stacje benzynowe, na których dokona historycznego wezwania do pierwszej krucjaty. Tym samym na dobre zniszczy również jej życie w dalekiej wiosce Vacluse. Po jesziwie w Rouen ta krypta z ponadtysiącletnimi kolumnami jest drugim miejscem, w którym tak bardzo przybliżam się do czegoś, co także Vigdis widziała i czego dotykała. Jedna budowla jest żydowska, druga chrześcijańska, ale obie z tej samej niezłomnej epoki, zbudowane w tym samym duchu, na długo przed wysokimi, imponującymi gotyckimi

kościółami – ta mroczna, prymitywna intymność, która w dziwny sposób pociesza i chroni przed śmiercią z rąk zabójców, fanatyzmem, buntem, biedą i nędzą na zewnątrz, przed wszelkim plugastwem życia, które i ją zhańbiło, przed smrodem i zgnilizną, przed całym tym gwałtownym, ulotnym i niepowstrzymanym życiem, które przywiodło ją do tego miejsca – tu zamiera, tu kamień bazyliki podaje rękę kamieniowi jesiwy z Rouen i uświadamia Vigdis, jak bardzo kieruje nią miłość, namiętność do mężczyzny, który czeka na nią gdzieś w mieście. Zapomina o czasie, zatapia się w myślach, czuje, jak wszystko stopniowo się uspokaja. Godzinę później wychodzi na górę w blasku wieczornego słońca. Idzie kilka metrów przede mną, nosi czarne legginsy, jasnoniebieską koszulę i białe sneakersy, widzi tłum, czuje odurzenie dzisiejszym dniem. Wchodzi do wysokiego ciemnego budynku, podaje rękę swojemu mężczyźnie i nabiera odwagi. Przed nimi jeszcze kilka tygodni drogi do Narbony. Zmierzch jest krótki i ciepły.

*

Nocuję w starym pałacu za Clermont, Château des Martinanches, mrocznym i poniekąd ponurym zamku, częściowo pochodzącym z jedenastego wieku. Jest położony w lesistym zagłębieniu terenu, otoczony fosą, której pewne fragmenty zostały wzmocnione kamieniami z wcześniejszej zabudowy. Lasy Owernii są ciemne i samotne.

9

Tymczasem Dawid i Vigdis dotarli do Cantal. Niekiedy Dawid nazywa ją pieszczotliwie Chamutal, choć jej oficjalne żydowskie imię będzie brzmiało inaczej, gdy przystąpi do żydowskiej kąpieli rytualnej. Kiedy tak ją nazywa, Vigdis kręci głową, na wpół się śmiejąc, figlarnie przykładając palec do ust:

– Do Narbony jeszcze daleko – mówi.

Saint-Flour widzą jako wzmocnioną twierdzę na wyżynie. Coś im mówi, żeby nie wchodzić do tego miasta, choć nie wiedzą, że kilka dni wcześniej przejeżdżało przez nie trzech normandzkich rycerzy, którzy przekazali ich rysopisy. Chmury motyli: rusałki pawiki, rusałki admirały, zawisaki, modraszki. Stada żołą pszczołojadów skracające pod światło, przez ich skrzydła prześwituje ciepły błękit.

Przez jakiś czas trzymają się brzegu Alleuze, docierają do przełomu rzeczki Bès, pokonują go. Pod wieczór znajdują się na wysokości klasztoru Nasbinals. Jako uciekinierzy mogą domagać się noclegu u zakonników od Świętego Wiktora z Marsylii. Następnego dnia przechodzą przez Aveyron i mijają wzgórze Sewera, zawdzięczające swoją nazwę rzymskiemu właścicielowi z szóstego wieku. Horyzont ponownie staje się rozległy; teraz z każdym dniem posuwają się coraz szybciej.

Niewiele później stają u zbiegu rzek Tarn i Dourbie, tuż przed wejściem do Millau. Gromadzą prowiant, przekraczają Tarn, pokonują wzgórze, gdzie droga znowu się wznosi. Muszą nadal iść dokładnie na południe. Kierują się położeniem słońca, południe przesypiają czasem gdzieś pod dębem, upał nasila się z każdym dniem.

Prawie dziesięć wieków później przejeżdżam spektakularnym mostem wysoko nad Millau. Ma się wrażenie lotu samolotem nad doliną. W dole, maleńcy jak robaczki, Dawid i Vigdis trudzą się dalej, za doliną Millau szukają swojej niełatwej drogi przez Causses. Łąki są najeżone skałami i kamieniami, ostre światło i palące słońce, małe białe chmury, szybko przepędzane wiatrem po wschodzie słońca, sucha trawa, niskie zarośla; palmy, krzewy jałowca, dzikie morele, poszycie. Zbliżają się do Hérault i Dawida ogarnia podniecenie. Nie podróżują już w południe, ale od rana, od brzasku do mniej więcej jedenastej. Potem odpoczywają i jedzą, śpią do późnego popołudnia, pod wieczór ponownie ruszają w drogę i idą, dopóki się nie ściemni. W okolicach Larzac zakonnicy taszczą wielkie kamienie. Trwa budowa klasztoru albo szpitala. We wsi Lunas, nad brzegiem Orbu, zaznają kilku dni odpoczynku. Tuż nad wioską stoi kościółek z szóstego wieku, poświęcony Świętemu Jerzemu. Siadają na paru rzymskich kamieniach. W dole nad rzeką jest budowany kościół dla Świętego Piotra; słychać kamieniarzy pracujących w ospałym, znużonym rytmie. Vigdis opowiada o kościołach z dzieciństwa, o tym, jak wiara chrześcijańska budziła w niej respekt. Dawid kładzie rękę na jej rękę. Ma tu dalekiego kuzyna, u którego znajdą schronienie na kilka dni. Zbierają siły, wszystko staje się teraz ekscytujące. Od Lunas do Bédarieux, gdzie krajobraz staje się naprawdę krajobrazem południa, trzymają się mniej więcej biegu Orbu. Chmury kolorowo uskrzydłonych świerszczy odfruwiają na parę metrów przy każdym kroku przez wyschniętą trawę. Tuż przed Bédarieux przechodzą pod wielkim rzymskim akweduktem, który w tamtych czasach jest jeszcze w użytku. Dawid tryska radością, z ulgą przyjmuje ciepło południa, w tym klimacie czuje się jak w domu. Młodej kobiecie z północy coraz trudniej posuwać się naprzód. Nie zna jeszcze przenikliwego krzyku cykad, wiele rzeczy jest dla niej obcych, zapachy tymianku i rozmarynu są drażniące i ostre. Po

raz pierwszy wacha i kosztuje dzikiego kopru włoskiego, coś na kształt tęsknoty za domem miesza się z ekscytacją i oczekiwaniem.

*

Francja za bardzo mnie oczarowuje, zostaję w tyle. Ponieważ chcę uniknąć dużego korka, dojeżdżam w końcu do cienistej doliny Allagnon, skręcam w jeszcze mniejszą drogę i trafiam do maleńkiej wioski Blesle. Czas znowu się zatrzymuje. Woda szemrze za małymi ogródkami warzywnymi, cmentarz ma swoje jaszczurki, które czuwają nad duszami, stary kościółek jest otwarty. Chłód, niebieski blask. No proszę, to właśnie powinienem był zobaczyć; zbaczając z trasy, z powrotem trafiłem na właściwą ścieżkę, ich prastary ślad pod moimi stopami. Jest tam leciwy kołodziej, który na pewno ma dla nich w rezerwie kryty wóz. Kupują go za bezcen, mężczyzna zaprzęga do niego ich niechętnego konia, najpierw jednak zostają zaproszeni do stołu, warzyw i chleba w bród, czysta woda, mogą odetchnąć, podobnie jak ja. W opactwie Saint-Pierre, żeńskim klasztorze, znajdują nocleg za opłatą; nikt nie pyta o ich tożsamość.

Znowu przemierzam uliczki ich śladem, oddycham głęboko. Historia leży na ulicy, jest rzeczą płochliwą, czymś jak plama światła o ludzkim zarysie, otoczona niejednym mrocznym, straconym życiem. Patrz, Dawid zadrapał sobie rękę o gruby stary mur; nic poważnego, ale puchnie i boli. Odjeżdżają nowym wozem, podskakując na wybojach i dziurach starej drogi. Wyprzedzają mnie o pół dnia. W tamtych czasach pokonywali mniej więcej tę samą odległość co sznur samochodów posuwających się upalną autostradą.

*

Kilka dni później, na wysokości dzisiejszej miejscowości Octon, śpią pośrodku zaniedbanej winnicy w czymś na kształt stodoły, dużym budynku otwartym od strony południowej, tam gdzie teraz znajduje się jezioro zaporowe Salagou. Może po nim wiać chłodzący wiatr, przez dziury w dachu widzą gwiazdy, moszczą się w starej słomie. Zapadają w drzemkę przy wyciu wilkopsów w oddali. W środku nocy słyszą głosy. Vigdis natychmiast się budzi i potrząsa ramieniem Dawida. Głosy brzmią grubiańsko, pijacko i wesoło i coraz bardziej się przybliżają. Dawid robi coś, co wydaje się kompletnie bezsensowne, a co gromadzi się w nim przez strach, jaki czuje. Zaczyna ochryple i głośno szczeakać jak dziki pies, warczy i ujada jak opętany, siedząc prosto, robi coraz bardziej przeraźliwy hałas. Jakby diabeł go opętał. Kiedy przestaje, słyszy, że mężczyźni, rozmawiając półgłosem, odchodzą. Opada na słomę, Vigdis kładzie rękę na jego łomoczącej piersi. Minęło dużo czasu, ale ostrożnie, z wahaniem zaczynają się kochać, wolno, cicho i powściągliwie poruszają się w sobie, na wpół obnażeni, z niezręcznie zsuniętymi ubraniami.

Następnego dnia, kiedy w wieczornym słońcu przejeżdżają na zachód od Béziers, zmierzch zapada szybciej, niż się spodziewali. Chwilę później panują całkowite ciemności – nie ma już długich północnych zmierzchów z jej młodych lat. Trudno im prędko znaleźć dach nad głową, kierują się w stronę ogniska w oddali, trafiają do grupy pijanych rybaków. Jeden z głosów wydaje im się znany z poprzedniego wieczoru.

– Ha – odzywa się wysoki chudy mężczyzna – ślicznotka. Czy to nie ta jasnowłosa suka, o którą przedwczoraj pytało tych dwóch rycerzy?

Wykrzykując plugastwa, wskazują im drogę do stodoły. Mijają ją w obawie, że mężczyźni przyjdą nocą za nimi. Idą jeszcze parę kilometrów, docierają do opuszczonego szałas z trzciny,

gdzie śmiertelnie znużeni zapadają w sen, podczas gdy przez szczeliny wieje ciepły wiatr. Szelest w sosnach dokoła. Wiatr jest słony i letni.

O świcie budzą się przerażeni rykiem dzikiego osła tuż obok szałas. Dzisiaj, Vigdis czuje to całym ciałem, dotrą do celu. Podekscytowani ruszają w drogę, jeszcze tego samego dnia mijają Oppidum i Ensérune. Również tam, tak blisko celu, muszą zachować ostrożność. Mówi się o porachunkach między zwolennikami Rajmunda Berengara a burgrabiami Carcassonne. U władzy jest w tym czasie burgrabina Ermengarda. W okolicy panuje napięcie, narzucony pokój Boży jest regularnie burzony, uciekinierzy unikają kontaktu z miejscową ludnością. Konflikt, który rozpoczął się w latach sześćdziesiątych poprzedniego stulecia i wywołuje dyskusje od Narbony po Barcelonę, nie jest Dawidowi obcy. Jego podniecenie tylko przez to wzrasta: zna okolicę, w ciągu kilku godzin będzie w domu i przedstawi chrześcijańską jasnowłosą narzeczoną z Normandii swojej żydowskiej rodzinie. Ale zamiast być coraz radośniejszy, staje się coraz bardziej milczący, zamyślony, spięty, kiedy mocno ją obejmuje za każdym razem, gdy na chwilę odpoczywają, jakby chciał ją ochronić przed tym, co ich czeka. Po kolejnych dziesięciu kilometrach kąpią się przy brzegu Aude. Są blisko celu. Każdy rycerz w oddali sprawia, że chowają się za drzewem. Powoli ukazują im się wieża kościelna na równinie, drżąca w słonym, ciepłym powietrzu. Cykady krzyczą w suchych gałęziach nad nimi.

Sprzedają kupcowi małego czarnego konia. Prom przewozi ich przez wolno płynącą Aude. Na drugim brzegu czeka inna, mniejsza łódź, którą miejskim kanałem dostaną się do centrum starego miasta. Tam, na nabrzeżu przy rynku, kiedy rozgrzana i zmęczona na chwiejnych nogach wysiada z łódki, Vigdis Adelaïs po raz pierwszy widzi słynnego naczelnego rabina Ryszarda Todrosa, *le Roi aux Juifs de Narbonne*, mężczyznę, który zostanie jej teściem. I w chwili, gdy go dostrzega, wie, że ostatecznie stała się Chamutal.

IV

NARBONA

1

Nigdy nie wyobrażałem sobie Narbony; może dlatego to miasto tak mnie zaskakuje i urzeka. Spokojne miejsce dziesięć kilometrów od morza, skąpane w śródziemnomorskim świetle, założone kiedyś przez Rzymian, przecięte kanałem miejskim, z cienistymi alejami i uliczkami, domostwami patrycjuszowskimi i obszernymi dziedzińcami. Żółty kamień, błękitne niebo. Intensywność, którą człowiek północy czuje w kolorach południa.

Dom Ryszarda Todrosa, w prostej linii potomka biblijnego Dawida, znajdował się zaledwie sto metrów od dzisiejszego canal de la Robine, odpływu Aude łączącego miasto z morzem.

W połowie sennej ulicy handlowej znajduje mały zaułek: impasse Jussieu. Jussieu stało się tymczasem regularnie występującą nazwą we Francji, ale pierwotne znaczenie tego słowa jest oczywiste: „żydowskiego pochodzenia”. Ten zaułek zapewne stanowił serce ówczesnej dzielnicy żydowskiej. Znajduje się w samym środku historycznego centrum. W jedenastym wieku Narbona jeszcze się kształtowała, a zamożna społeczność żydowska mocno zaznaczała swoją obecność. Trafiało tu wielu hiszpańskich Żydów, którzy uciekali przed nasilającymi się niesnaskami w mauretańskiej Hiszpanii. Dzięki nim hiszpańskie i mauretańskie ślady są widoczne w piśmie hebrajskim. Następujący po sobie arcybiskupi zachowywali się tolerancyjnie, a nawet opiekuńczo – niewątpliwie z uwagi na wysokie opłaty fiskalne, jakich mogli żądać od żydowskich pożyczkodawców. Żydowscy intelektualiści w Prowansji często byli znakomicie wykształceni, przywieźli ze sobą elegancję hiszpańskiej kultury dworskiej. Mieli otwarte umysły i żyli na dobrej stopie z chrześcijańskimi sąsiadami. Ponadto prowansalskie kobiety ogólnie cieszyły się wysokim statusem społecznym; ich sytuacja była lepsza niż tych w większości innych gmin. Wyobrażam sobie bardzo światłą rodzinę, do której domu ma trafić normandzka młoda kobieta; ich syn przybywa z chrześcijanką. Aby odpowiednio na to zareagować, niezbędne są otwarta mentalność, dialog i tolerancja.

Dzień po ich przybyciu ojciec zaprasza oboje do synagogi. Vigdis, która możliwie jak najlepiej próbuje stać się Chamutal, potyka się o rąbek sukni i niemal upada na duży świecznik. Stary rabin ujmuje ją za łokieć, podtrzymuje przez chwilę. Dziewczyna czuje się niezręcznie; serce jej wali. Potem udają się do szkoły talmudycznej, jesziwy, która została kiedyś zbudowana z inicjatywy Karola Wielkiego. Ustalają, jak przygotować oficjalne nawrócenie Vigdis. Najpierw musi się jeszcze wiele nauczyć, jej kształceniem zajmie się przyszła teściowa. Inne kobiety w domu pokażą jej, jak powinna się zachowywać w towarzystwie i radzić sobie z prowadzeniem domu. Przez pierwsze miesiące po ślubie para będzie mieszkała w obszernym mieszczańskim domu.

Napady paniki i rozpaczy mieszają się z wywołującą zamęt nową siłą, która płynie we wnętrzu Vigdis. W nocy dziewczyna próbuje przywyknąć do myśli, że oprócz całej przeszłości zostawia teraz za sobą swoje piękne imiona.

Śni. Mężczyzna z długą brodą rzuca jej kij; łapie go, kij zmienia się w węża. Rzuca węża do wody, ten z powrotem staje się kijem. Woda się rozstępuje. Księżyc zmienia się w chłopaka, który macha, stojąc na brzegu.

Budzi się przerażona, wygląda na zewnątrz, nie rozpoznaje pokoju; blask słońca ją oślepia, niemal zapiera jej dech. Tego dnia zostaje jej przydzielona kobieta do towarzystwa. Jest pół

Greczynką, pół Żydówką, ma na imię Agata; elegancka kobieta z Aleksandrii, która nosi na palcach duże złote pierścienie w kształcie małych węży.

*

W Narbonne schodziły się dwie duże rzymskie drogi – biegnąca na zachód Via Aquitania i prowadząca na wschód Via Domitia. Z tego względu miasto leżało na ważnym skrzyżowaniu szlaków i szybko się rozwijało. Przez wieki Arabowie uważali je za swój najodleglejszy główny punkt w Galii. Niechętnie rezygnowali z Narbony. Jeszcze w dziesiątym wieku arabski geograf Al-Zuhri pisze, że chrześcijanie powinni szykować się do odwrotu, jeśli nie chcą zostać ścięci, i że choćby walczyli do końca swoich dni, miasta nie odzyskają. W tamtej chwili była to raczej kwestia nostalgii, myślenie życzeniowe i intymidacja niż realistyczne sprawozdanie. Ale dzięki Al-Zuhriemu wiem też, że przez spokojny kanał – nad którym w piękne niedzielne popołudnie, kiedy tam spaceruję, odbywa się kolorowy targ – był wtedy przerzucony duży most.

W przeciwieństwie do Rouen nie da się określić, gdzie dokładnie znajdowała się tu jeshiva. Miejsce starej synagogi jest znane: tuż za rogiem ulicy handlowej, przy rue de l’Ancien Port des Catalans. Dawid i Chamutal mieszkali w pobliżu. Podobnie jak w Rouen katedra wznosiła się parę kroków od dzielnicy żydowskiej; wierni obu wyznań codziennie się mijali.

Na końcu impasse Jussieu natrafiam na kilka stopni i furtkę. Za nimi ogród, a pod łukiem zieleni brama, prawdopodobnie boczne wejście do kościoła, który się za nią znajdował. Chłód ulicznych kamieni późnym rankiem; dźwięk trzepoczących gołębic skrzydeł na nieskazitelnym niebie. Cisza. To tutaj chrześcijańska córka wikinga Vigdis Adelaïs stała się sefardyjską synową naczelnego rabina Todrosa z południowej Francji. Tu poddała się żydowskiemu rytuałowi konwersji, „umarła dla swego poprzedniego życia”, jak mówiła modlitwa podczas chrztu prozelitów. Tu zeszła do żywej wody żydowskiej łaźni, mykwy. Rytuał określa nawet ilość wody: czterdzieści sea, a każda sea zawiera około czternastu litrów. To daje ponad pięćset litrów wody, którą doprowadzano tutaj z miejskiego kanału albo nawet z rzeki Aude; woda musiała pochodzić z żywego źródła.

Inaczej niż podczas oczyszczania się po menstruacji, przyszła prozelitka nie może sama dokonać rytuału zanurzenia; niezbędna jest obecność trzech rabinów jako świadków. Dawid stoi obok ojca i odczytuje modlitwę. Dziewczynie towarzyszy Agata, która pomaga jej zdjęć wierzchnie odzienie, a lekkie, spodnie ubranie zachowuje. Poprzedniego wieczoru oznajmiła, że wybierze imię Sara. Wyszykowała się, krótko przycięła paznokcie u stóp i rąk, jak tego wymaga rytuał oczyszczenia. Słyszy wypowiedane błogosławieństwo, *Baruch ata, HA-SZEM, Elohejnu Melech ha-olam...* Siada na kamiennym siedzisku, palcami stopy dotyka szorstkiego stopnia z wapienia pod wodą, jeszcze nigdy nie czuła się taka samotna, przeraża ją zimno, które na moment zapiera jej dech; drży na całym ciele; zamyka oczy, waha się. Odbija się. Kiedy się zanurza, przez chwilę myśli, że dna nie ma. W synagodze słychać delikatny szloch, coś jak stłumiony krzyk, pluśnięcie wody. Potem dziewczyna znika; zanurza się głęboko, czuje, jak na sekundę serce jej zamiera z powodu lodowatego zimna; wstrzymuje oddech, pozostaje z głową pod wodą przez dziesięć sekund, które wydają się jej wiecznością. Otacza ją mrok; czuje, że teraz szorstkie dno mykwy ociera jej kolana. Na powierzchni ciemnej wody unosi się wachlarz jej jasnych włosów. Pojawia się kilka pęcherzyków powietrza. Czy chce na dobre tu zginąć i zniknąć dla świata? Czuje, jakby połknęła ją macica, bezczasowa macica, która przeniosła ją ze świata w pozbawioną światła wieczność. W mgnieniu oka widzi przed sobą chrzcielnicę w kościele w Rouen, niewiele większą niż misa, w której mieści się niemowlę. Tu całym ciałem zanurza się w lodowatej głębinie, która ją zasysa, jakby przez dno miała przeniknąć do innego

wymiaru. Przez krótką chwilę głęboko w ciele ponownie czuje zhańbienie, dawno temu gdzieś pod lasem w pustej okolicy. Teraz ogarniają ją tak silne emocje, że musi zaszlochać, i zachłystuje się wodą. Wynurza się, parszkając i krztusząc się, odsuwa z oczu mokre włosy, zdziwiona rozgląda się dokoła i wzdycha; echo wznosi się do zdobnego sufitu, mijając świeczniki z płonącymi świecami, do plamy słońca, do świata, twarzy spoglądających na nią w wielkim skupieniu. Agata rozkłada ramiona, pomaga jej wyjść i usiąść na kamiennym siedzisku. Podaje jej ręcznik, w który dziewczyna pozwala się zawinąć jak dziecko. Siedzi, ociekając i dysząc; słyszy modlitwy, mruczące głosy mężczyzn uspokajają ją. Wydaje jej się, że przy plamie światła obok otwartej bramy widzi przechadzającego się białego gołębia. Delikatne zaokrąglenie jej ciążowego brzucha, widoczne pod mokrą bielizną, wystarczająco wiele mówi doświadczonemu Roi aux Juifs, by wiedział, że rytuał ponownego narodzenia zyskał podwójne znaczenie dla istnienia jego własnych przyszłych pokoleń; prozelitka, ponownie się narodziwszy, w pełni staje się Żydówką i może podtrzymywać ród. Dzieci zrodzone z tej obcej, jasnej kobiety będą jego wnukami w pełnym tego słowa znaczeniu.

Chamutal, która uroczyście zrezygnowała ze swojego normandzkiego imienia, szybko poczuła się bezpiecznie w erudycyjnej wspólnotce. Pięć tygodni po uroczystości konwersji, ściśle według przepisów, ponownie zanurza się w mykwie, aby odprawić rytuał oczyszczenia poprzedzający ślub. Już od tygodni jest oddzielona od Dawida i żyje w zamkniętych pomieszczeniach dla kobiet; przygotowała strój modlitewny, który ma mu ofiarować; odmawia żydowskie modlitwy. Uspokoila się, z wyjątkiem paru koszmarów, w których zdaje się błądzić przez opuszczoną okolicę z szorstkim wapieniem i za każdym razem znika w ciemnej dziurze, wołając o pomoc. W dniu ślubu pada deszcz; fale letniej wody smagają fasady domów i przemaczają jej ubranie, gdy w towarzystwie kobiet idzie do synagogi. Zostaje pchnięta do przodu, to przyjacielskie pchnięcie, duża dłoń w zagłębieniu pleców; widzi drzwi do małego bocznego pomieszczenia, gdzie czeka na nią narzeczony wraz z innymi mężczyznami z rodziny. Przechodzi przez niskie drzwi i widzi Dawida w tradycyjnym stroju, który poleciła dla niego przygotować. Idzie naprzód w lekkich pantofelkach z zamszu kremowego koloru; bursztynowa suknia szeleści wokół jej ciała jak skóra, która powoli się oddziela. Wspólnie odmawiają modlitwę przebłagalną, której nauczyła się na pamięć. Na marmurowej plincie leży ketuba, akt małżeństwa, który musi podpisać nowym imieniem Sara; jej ręka dotyka ręki męża, to dotknięcie jest jak nóż rozcinający jej skórę i powodujący, że wewnątrz krwawi. Dawid robi krok naprzód, zakrywa jej twarz lekkim welonem z gazy. Dziewczyna oddycha jak zwierzę w pułapce; jest delikatna i krucha jak listek na wietrze. Otoczona mężczyznami i kobietami, którzy niosą świece, zostaje poprowadzona pod baldachim przy wejściu do synagogi.

Dawidowi zostaje wręczony kielich; z wielką powagą go depcze. Dziewczyna ponownie słyszy recytowane teksty. Wszystko wydaje się takie nierzeczywiste; Chamutal zachowuje się jak we śnie.

Przyjęcie jest skromne, ale gustowne. Zjawia się na nim wielu hiszpańskojęzycznych intelektualistów żydowskich, mało rozumie z wysublimowanych rozmów, jest wyczerpana i czuje się niezręcznie, prawie nic nie je, pije słodkie soki, rozgląda się z lekkim zamętem w głowie, widzi, jak słońce chowa się za kołysanymi wiatrem eukaliptusami i krzewami mirtu przy murze przed starym domem. Jej nos jest spalony od słońca.

*

Bezustannie, również w tygodniach po ślubie, doświadczają odmienności świata, do którego trafiła. Musi się jeszcze przyzwyczaić do sennego upału w południe, który może się utrzymywać

do początków października. Stopniowo poznaje miasto. Chodzi na targ wraz z innymi Żydówkami, w towarzystwie męża spaceruje czasem nad miejskim kanałem. Wspomina mewy nad Sekwaną, wysoki, ciemny dom z młodości, matkę, miękki głos troskliwej guwernantki. Jakże zdradzone musiały się czuć te drogie jej osoby. Dopiero teraz, kiedy jej życie zaczyna się układać, ogarnia ją poczucie winy, które czasem ściska za gardło. To znów przepęnia ją wielka energia, aż ma ochotę, tańcząc, biegać po ulicach. Siedzi w środku, w chłodzie ogrodu i dużych pokoi, studiuje hebrajski, wraca do robótek, których nauczyła się od matki, pokazuje je kobietom w domu, od nich z kolei uczy się tkania innych motywów.

Pewnego dnia późną jesienią całą rodziną jadą lekkim krytym wozem do oddalonego o dziesięć kilometrów małego mola w Gruissan. Po raz pierwszy widzi Morze Śródziemne i ogarnia ją nieokiełznana radość. Morze jest dzikie i jaskrawofioletowe z białymi grzywami fal. Słońce pali niemilosiernie, a światło ją oślepia. Tramontana chłozczy parę krzywych drzew i krzewów. Na pieniających się białych falach kołysze się parę łodzi rybackich. Ściska rękę męża tak mocno, że sprawia mu ból. Dawid z uśmiechem rozluźnia jej chwyt i przelotnie całuje ją w szyję. Jakże inne jest to nieposkromione morze od wszystkiego, co pamięta z szarego ujścia Sekwany na północy. Niezgrabna wieża nad morzem jest masywna, wiatr wyje przez otwory strzelnicze: ponury dźwięk nie z tego świata w przepiękny dzień.

2

Na cours de la République, wzdłuż canal de la Robine, odbywa się wielki targ z ubraniami, najrozmaitszymi przedmiotami i bibelotami. Panuje miły nastrój, jest niewielu turystów, przechadzają się tu i kupują głównie sami mieszkańcy. Tuż za kanałem przy cours Mirabeau znajdują się hale targowe, w których odbywa się targ żywności – ludzie tłoczący się jak śledzie w becze, stragany, przy których już przed południem pije się lodowate rosé, mieszanina zapachów dziesiątków produktów żywnościowych, barwny przepych kuchni śródziemnomorskiej. Targi są ponadczasowe, są tradycją sięgającą doby daleko przed naszą erą. To zawsze tak musiało się tu odbywać: suszone ryby, szynki, stopy owoców, wina, oliwa, rozmaryn i tymianek, warzywa wszelkich kształtów i kolorów. Prastare święto życia.

Kiedy opuszczam targowisko po jego drugiej stronie, stoję oko w oko z kościołem Notre Dame de Lamourguier, którego budowa w czasach Chamutal jeszcze trwała. Teraz jest pusty, służy jako skład starych kamieni z czasów okupowania miasta przez Rzymian. Jestem zupełnie sam. Rząd za rzędem leżą drogie kamienie i fragmenty ułożone jedne na drugich, do wysokości trzech metrów. Światło pada przez wysokie okna, czuję, jakbym przebywał w pogańskiej świątyni. Ze wszystkich stron drwiąco spoglądają dionizyjskie głowy byków, *boukefalos*. Wszędzie oplakiwani zmarli na płaskorzeźbach i stelach, apolińskie krzyże słoneczne, tajemnicze kamienie wotywno, powykręcane motywy roślinne, niezliczone łacińskie inskrypcje, nawet otwarte grobowce i sarkofagi. Siadam na kamieniu, oszołomiony niedbale poukładaną, unikalną kolekcją. W folderze czytam, że trochę dalej budowane jest nowiutkie lokum dla tego *musée lapidaire*. Jest niewątpliwie *lapidaire*, czyli wyryte w kamieniu; chyba jestem ostatnim zwiedzającym, który jeszcze może obejrzeć ten zbiór w jego chaotycznym, historycznym kontekście. Potem te wszystkie kamienie zostaną przeniesione do eleganckiego mauzoleum, rzeczowo ponumerowane, oświetlone i opatrzone tabliczkami, martwe w zimnym ujęciu kolekcji, pozbawione całego minionego życia, które tutaj, w tym oszałamiającym niedbalstwie, wyczuwalnie na mnie spada.

Na placu przed Hôtel de Ville znajduje się inne nieprzemijające kamienne świadectwo: w zagłębieniu widnieje zachowany fragment Via Domitia. Duże, wypolerowane przez wieki i stopy kamienie, nierównej wielkości i gładkie. Dla koni o wąskich kopytach i szczupłych nogach to chyba był dramat. Przy tej olbrzymiej kamiennej drodze, liczącej setki kilometrów i łączącej Hiszpanię przez Nîmes i Apt z Gap i Sisteron, ciągnął się wyżej położony trotuar, na którym nawet z łatwością dało się usiąść. Patrząc na ogromne prymitywne płytki brukowe, wyobrażam sobie Rzymian, którzy po nich pędzili; w ten sposób możliwe było pokonywanie dużych odległości w kilka dni. Fragmenty route nationale N100 wciąż jeszcze biegą tym szlakiem. Dzieci bawią się na skraju tego osobliwego miejsca. Amerykański muzyk uliczny śpiewa *Oh, baby, baby, it's a wild world* Cata Stevensa. Ogródki kawiarniane pachną cappuccino i kremem do opalania. Czuję lekką, dziwną euforię: jakże mało oczywista wydaje mi się dzisiaj teraźniejszość. Jestem tak zatopiony w epoce Chamutal, że nie mogę się oprzeć wrażeniu, jakbym wehikułem czasu trafił do jej dalekiej przyszłości i właściwie nie wolno mi tu przebywać. Jutro pojedę przez Arles i Awinion na północny wschód w przedalpejskie góry.

3

Ponieważ Chamutal jest w ciąży, zostaje otoczona największą troską i jest rozpieszczana. Po ciepłej i łagodnej jesieni zima zalewa Narbonę wspaniałą jasnością, pięknem, które stało się kruche, rzeźkością morskiego wiatru, fioletowym porannym niebem, nagłym ciepłem o wczesnych popołudniowych godzinach, równie szybko nastającym zimnem o zmroku, migoczącym gwieździstym nieboskłonem, kometami o niepojętej trajektorii: znakami wyglądającymi na boskie, których nie rozumie żaden człowiek. Z daleka często docierają wiadomości o zamieszkach i utarczkach między chrześcijanami a żydami. Prawie w ogóle nie poświęcają im uwagi: szczęście pochłania ich całkowicie. Chamutal znowu nosi piękne stroje, zdążyła się serdecznie zaprzyjaźnić z Agatą z Aleksandrii, której w spokojne wieczory szczegółowo opowiada o swoim poprzednim życiu. Zima jest świętem białego światła i jasnych poranków. Wszystko zapowiada dobry obrót spraw, wiosna zbliża się wielkimi krokami, już w styczniu pojawiają się ciepłe chwile. To znów pada obfity deszcz i Narbona na wiele dni staje się tak szara i wilgotna jak Rouen. Chamutal, nucąc, siedzi przy oknie i z rękami na rosnącym brzuchu wpatruje się w niskie chmury.

Wtedy, jeszcze zanim wróciły jaskółki, pewnego popołudnia w czasie spokojnych godzin sjesty Agata w panice wpada do pokoju: była na targu, widziała tam trzech jeźdźców, którzy pytali o jasnowłosą kobietę z północy i każdemu, kto cokolwiek o niej słyszał, kazali natychmiast składać zeznania. Obiecali trzy srebrne monety temu, kto im pomoże tę kobietę znaleźć i pojmać. Wokół koni zgromadził się tłum, pewien mężczyzna krzychał: ja wiem, ja wiem, to ta jasna Żydówka u Todrosów!

Chamutal czuje kopanie dziecka w brzuchu; chwilę później do pokoju wchodzi Dawid, również powiadomiony przez damę do towarzystwa: muszą uciekać, natychmiast, nieważne jak ani dokąd. Stary Todros uspokaja wszystkich; mężczyźni właśnie byli w synagodze, wywiódł ich w pole, mówiąc, że kobieta już uciekła w pojedynkę w kierunku Hiszpanii. Słyszając to, jeźdźcy pospiesznie odjechali. To pewne, że w końcu wrócą, ale tymczasem jest chwila wytchnienia, może nawet kilka dni.

Tak czy owak, jeszcze tego samego wieczoru stary Todros pisze na odwrotnej stronie zużytego pergaminu, który starannie zdrapuje, list do zaprzyjaźnionego rabina Joszui Obadiasza z odległej i nikomu nieznannej maleńkiej miejscowości Moniou w Vaucluse, powołując się na ich wcześniejsze zażyłe stosunki. Szykowane są pakunki, czynione przygotowania, wszystko w największej tajemnicy – ryzykowne jest nawet zaprzęganie koni, będą musieli kupić je później gdzieś po drodze.

*

Jest bardzo wczesny ranek 15 marca 1091 roku, gdy Dawid i Chamutal rozpoczynają swoją drugą ucieczkę, około wpół do czwartej, kiedy miasto śpi, a Via Domitia jest opustoszała; zaledwie sto metrów od domu, w którym mieli nadzieję na szczęśliwe życie, szepcząca i zapłakana Agata w pośpiechu odprowadza ich do wyjścia. Za zamkniętymi drzwiami domu rodzice Todrosowie objęli dwoje wystraszonych uciekinierów, dali im sporo złotych monet na drogę i tygodniowy zapas prowiantu. Zapewnili ich, że chodzi tylko o czasowy pobyt w starej wiosce, że rabin zostanie uprzedzony przez posłańca, że niczego nie muszą się obawiać. Ojciec

Todros używa szczególnego słowa na ich ucieczkę, nazywa ją alija, ucieczką do wyżej położonego bezpiecznego miejsca, czymś w rodzaju wspinaczki – jest to zarazem słowo oznaczające powrót do Jerozolimy. Brzmi dziwnie, Chamutal nie rozumie jego zakresu, później będzie o nim często myślała, nie uświadamiając sobie, co stary rabin miał na myśli.

Muszą się spieszyć: Chamutal jest w siódmym miesiącu, potrzebują trzech tygodni na przebycie ponad dwustu pięćdziesięciu kilometrów w możliwie prostej linii. Mogliby podążać Via Domitia do Apt, ale wtedy musieliby nieustannie mieć się na baczności przed jeźdźcami. To zbyt trudne, a także zbyt niebezpieczne: szlak właściwie stanowi pułapkę, a wspinanie się na wzgórze Saint-Saturnin jest wyczerpujące. Stary rabin się zastanawia. Dochodzi do wniosku, że niepostrzeżenie uciekną tylko jedną drogą: przez morze. W największej dyskrekcji zostają zawiezieni krytym wozem do Gruissan, Chamutal w czarnym szalu ciasno owiniętym wokół jasnej głowy. Po południu wsiadają tam na łódź, która w półtora dnia zawiezie ich do ujścia Rodanu, stamtąd płaskodennym statkiem popłyną w górę rzeki do Awinionu. Trzy dni rozpaczy i szoku; wiatr jest słaby, statek wolno halsuje pośrodku nurtu bez pływów, prawie nic nie jedzą, a Chamutal siedzi w milczeniu, wpatrując się w drobne zmarszczki na wodzie. W tamtych czasach Awinion to niewiele więcej niż wzmocniona forteca, wspólnie zarządzana przez panów z Awinionu i Forcalquier. Dla uciekających ryzyko na tym terenie jest stosunkowo małe; żadnemu chrześcijańskiemu rycerzowi nie przysłoby do głowy, żeby szukać ich w tych stronach. Ale pamiętają jeszcze zagrożenie z poprzedniej ucieczki. Chamutal ma koszmary podczas nielicznych godzin snu na statku.

Schodzą na ląd przy zalanej łące, niewidoczni z wież strażniczych fortecy. Stamtąd udają się wietrzną równiną w stronę miasta Carpentoracte, niewielkiej otoczonej murami osady, w której mieszka żydowska społeczność. Przez kilka dni opiekuje się nimi rodzina powiadomiona przez tego samego posłańca. Dostają małe juczne zwierzę, muła, na którego zostaje zapakowany prowiant, kilka koców i ubrań, oraz przewodnika, który prowadzi zwierzę za uzdę. Stamtąd obierają trasę wiodącą w kierunku Malemort, późniejszej części hrabstwa Venaissin. Gdzieniedzie widzą przed sobą stare jak świat drzewa oliwne wśród kołyszących się twardych traw, dzikie drzewa owocowe o czarnej jak smoła korze, prymitywne konstrukcje z odłamków łupków, pod którymi śpią pasterze, a na wschodzie linię przedalpejskich gór Vallis Clausa – Vaucluse. Za nią wyłania się nagi szczyt Mons Ventosus, osamotniona góra wiatrów. Z Malemort przechodzą przez niezamieszkaną okolicę w pobliżu dzisiejszego Méthamis, następnie przemierzają górzysty las i opuszczoną równinę Saint-Hubert. Chamutal dokuczają ostre bóle w łądzwiach; stała się ciężka i powolna, zostaje usadzona na mule, którego parobek prowadzi za uzdę. Całymi dniami nie odzywają się ani słowem.

*

Tymczasem trzech jeźdźców wróciło do Narbony, gdzie obstepują dom Roi aux Juifs. Kopia w ciężkie drzwi, krzyczą, że ma ich wpuścić do środka, w przeciwnym razie spalą mu dom. Drzwi otwierają się z hukiem, jeźdźcy niespodziewanie stają oko w oko z suwerennym starym rabinem, który się im przygląda i pyta, czego chcą. Żądają dostępu do jego domu. Odmawia im bezceremonialnie. Ponownie grożą, ale z wahaniem. Rabin zaklina się, że poszukiwanej uciekiniarki nie ma w Narbonie i że on też nie wie, dokąd uciekła, przypuszcza, iż kobieta wybrała gęsto uczęszczaną drogę do Santiago de Compostela, by jako chrześcijanka odpokutować pielgrzymką za swoje grzechy. Ponieważ mu nie wierzą, dobywają mieczy, ale kiedy rabin, ironicznie się śmiejąc, pochyla głowę, uświadamiają sobie, że niczego nie zyskają, jeśli wywołają religijne powstanie, mordując naczelnego rabina. Jeszcze przez jeden dzień kręcą

się po mieście, naprzykrzają się kilku mieszkańcom swoimi pytaniami, rozglądają się po Via Domitia, wznosząc ramionami i odjeżdżają z powrotem na północ, żeby zameldować rodzicom w Rouen, że nie znaleźli żadnego śladu zbiegłej dwójki; że ta zapewne znajduje się już w Santiago albo nawet dalej, w mauretańskiej Hiszpanii, pośród wstrętnych Saracenów – na terenach, na które nie chcieli się zapuszczać bez dodatkowego wsparcia. Pod atlantyckimi chmurami ojca ogarnia nordycki szal berserka, a matka płacze, miotając staroflamandzkie złorzeczenia.

*

Jadę z Narbony przez Montpellier do Awinionu i tam podążam ich śladem. Poruszając się N100, przekraczam Rodan, gdzieś na wysokości Les Angles. Rzeka chwilowo się tam rozgałęzia na nurt zachodni i wschodni; w pobliżu rozciągają się teraz puste tereny parkingowe wokół stacji TGV. Przy bramie miejskiej na wysokości Pałacu Papieskiego z autokarów są wypuszczane tłumy turystów. Szeroką rzeką płynie kilka statków spacerowych.

Droga z Awinionu do Carpentras stała się tymczasem gęsto uczęszczaną czteropasmówką prowadzącą przez Le Pontet – kiedyś dosłownie mostek, teraz krzykliwe zbiorowisko dużych sklepów, przez co odnosi się wrażenie, jakby człowiek znalazł się na amerykańskim przedmieściu. Droga prowadzi przez bagniste tereny pełne komarów, które latem nękały uczestników festiwalu w Awinionie. Na wschód od Carpentras, za rzymskim akweduktem, okolica nabiera bardziej sielskiego klimatu. W mętliku światła i wspomnień powoli dojeżdżam do domu. Obecnie nazwy brzmią inaczej niż wtedy. Za Mazan wybieram południową drogę przez Blauvac do Méthamis. Przez kwadrans stoję tam na wysoko położonym *parvis* przed kościołem, spoglądając na krajobraz winnic i cyprysów. Potem jadę do dużego gospodarstwa Saint-Hubert osiem kilometrów dalej, w lesie tuż za nim spaceruję wzdłuż pozostałości muru, który miał chronić przed dżumą, prymitywnego i tajemniczego w opustoszałej okolicy. Zryta ziemia, ślady dzików; lśniąca skóra węża; puste wołanie ptaka drapieżnego. Zostawiam tam samochód i resztę trasy aż do La Plane przebywam na piechotę przez Bois du Défens. Końcowy punkt przy rozpadlinie skalnej znajduje się teraz po mojej lewej ręce. Mistral chłoszcze nagie, drżące na wietrze czubki dębów dziwacznie zniekształconych w oślepiającym świetle poranka; droga jest żółta i nierówna. Z tego miejsca po raz pierwszy widzą leżącą w oddali wyżynę Monieux; ale najpierw jeszcze błędzą, zbyt wcześnie schodzą do krętego wąwozu rzeki Nesque, tracą orientację, wymyślają przewodnikowi, przechodzą w bród rwący nurt. Na stromym stoku, na którym Chamutal nie może siedzieć na mule, skręca kostkę na dużym, płaskim odłamku skały, w popołudniowej ciszy wydaje okrzyk bólu, na moment osuwa się na kolana, zamyka oczy i kładzie rękę na brzuchu.

– Już chyba niedaleko – mówi Dawid, rozglądając się po wyglądającej na zdziczałą, opuszczonej rozpadlinie.

Równie dobrze mogli iść dalej korytem rzeki, ale nie jest to dla nich oczywiste. Znowu się wspinają, powoli i z trudem wdrapują się na wschodnie zbocze wąwozu; to wyczerpujący odcinek, pomyłka kosztuje ich prawie cały dzień. Śpią pod zimnym nocnym niebem. Wprost nad nimi drży biała jak lód Droga Mleczna, nad czarnym horyzontem wisi ubywający księżyc. Szelest wywoływany przez zwierzęta; strach i lekki sen, ból mięśni, niewygodne leżenie na gołej ziemi, dreszcze o brzasku. Budzi ich zimno, z trudem się podnoszą, zbierają się w milczeniu. Nad wzgórzami nastaje bledy świt. Wypijają po łyku, przewodnik mocuje torby na grzbiecie muła. Bezwiednie idą na południowy wschód, mijają wyżynę La Plane i w pierwszych promieniach słońca dostrzegają położoną w otwierającej się przed nimi dolinie wioskę, przyklejoną do skalnej ściany niczym ptasie gniazdo z kamieni. Wśród twardych, suchych

dębów fruwią małe ptaki. Cała trójka schodzi na urodzajny samotny płaskowyż, do wsi, z której oczami wyobraźni ujrzałem ich nadejście. W stanie wyczerpania, ale bezpiecznie docierają do Grande Porte. Dawid trzykrotnie stuka w nią laską. Drzwi się otwierają. Pieje kogut, pies szczeka im na powitanie. Wciąż jeszcze jest rok 1091. Świat zachodni powoli zmierza ku katastrofie, pęknięciu w historii, i nikt tego nie przeczuwa. Ludzie im współcześni o niczym nie wiedzą.

V

MONIOU

1

Niedługo po narodzinach Jakuba młodemu małżeństwu przydzielono we wsi dom, zwężający się od strony południowej budynek z piętrem. Kiedy stali przed jego ruderową tylną ścianą, Chamutal odczuwała takie wzruszenie i ulgę, że w końcu znowu będzie miała własny kąt, że w przyływie emocji przycisnęła usta do muru. Mąż spojrział na nią ze zdziwieniem, po czym wziął ją w ramiona.

– Pocałowałaś dom – stwierdził ze śmiechem.

To był stary budynek o szorstkich, grubych ścianach. Dawid systematycznie i cierpliwie go odnawiał, żeby w czasie najbliższej zimy mieli wygodne schronienie przed lodowatym wiatrem i zimnym deszczem. Dom miał obszerną piwnicę, w której znajdowała się głęboka studnia z dawnych czasów. Zaopatrywała ich w krystaliczną, czystą wodę pitną. Powoli do ich umysłów wracał spokój. Od czasu do czasu docierały do nich wieści z Narbony. Żyli w nadziei, że kiedyś wrócą do przestronnego domu w centrum miasta nad morzem.

Rok szybko minął. Nastąpiło lato 1092, a oni z jakiegoś powodu nie opuszczają wsi; czy obawiają się uciążliwej drogi powrotnej długości dwustu pięćdziesięciu kilometrów? Czy chcą oszczędzić małemu dziecku niedostatków? Czy z Narbony nadeszła wiadomość, żeby lepiej tam zostali, zachowując pełną anonimowość, ponieważ coraz więcej normandzkich rycerzy w drodze na zajęta przez nich Sycylię stanowi zagrożenie w pasie nadbrzeżnym? Chamutal przywykła już do trudów samotniczego życia tutaj. Z czasem nauczyła się czerpać przyjemność z wykonywania prostych zajęć. Niekiedy razem z innymi kobietami wyrusza z rana na targ w pobliskim La Loge, z którego wraca z rumieńcami i pełna energii. Pomaga dbać o synagogę, gdy w pomieszczeniu nie ma mężczyzn. Tka i reperuje ubrania, w prostych skrzyniach założyła ogródek z leczniczymi ziołami. O wczesnych godzinach porannych, kiedy Jakub jeszcze śpi, uczy się i czyta razem z mężem. Jej ciało stało się bardziej krzepkie, a palce grube i czerwone od pracy na dworze. Dawid patrzy przez okno w ciemną noc, gwiazdy są jaśniejsze niż kiedykolwiek. Nagle ogarnia go przerażenie, woła żonę, wskazuje palcem coś jasnego, co ze świstem mknie po nocnym nieboskłonie jak pędząca gwiazda. To wielka kometa, która w 1092 roku przesuwana się po niebie, napędzając strachu mieszkańcom całej zachodniej Europy. Głoszone są kazania i odmawiane modlitwy, zapowiadane któreś z kolei przyjście Antychrysta, chrześcijanie we wsi wierzą w powrót Gwiazdy Betlejemskiej. Powstaje poruszenie, szachruje się odpustami. Niektórzy szarlatani sprzedają maść z pokrzywy i kozich bobków na rany od diabelskiego ognia, który czeka każdego. Pasterzom trudno zapanować nad stadami niespokojnymi w dziwnym świetle komety. Dawid i Chamutal stoją obok siebie, nie czują strachu, ogarnia ich tylko zdziwienie. Nigdy nie wierzyli w przepowiednię o końcu świata, ale kobieta zastanawia się w ciszy, co ze słyszanych w młodości opowieści o powrocie Mesjasza po tysiącu lat było prawdą. Ale czy najpierw nad światem nie powinien zapanować Antychryst? Kładzie się na spoczynek i śni tej nocy, że rodzi się jej dziecko w żłobie, pod znakiem budzącej niepokój błakającej się gwiazdy; potem zrywa się przerażona i czuje się winna z powodu błuznierczego snu. Winna wobec kogo? Jaki bóg wysyła znaki, których nie rozumie żaden człowiek? Prosi Dawida, żeby zostawił ją samą. Przedziera się przez mrok w swojej głowie, następnego ranka wcześniej stoi przy łaźni. Przeszywające zimno wody na rękach dobrze jej robi.

Dwa lata później. Chamutal znowu jest w ciąży. Czuje się silna i zdrowa. Okolica, czyste chłodne powietrze, wspaniała cisza – to stopniowo leczy ją z wątpliwości i wewnętrznych udreń. Jest w piątym miesiącu, ciąża przebiega o wiele lżej niż za pierwszym razem. Dobrze się odżywia i chodzi z brzuchem wysuniętym do przodu. Wałęsa się po płaskowyżu, gdzie w popołudniowym słońcu nad jej głową szybuje parę ptaków drapieżnych.

Pewnego jasnego dnia pod koniec października wraca z trzyletnim Jakubem ze wzgórz Saint-Jean, gdzie zbierali dzikie owoce i pierwsze oliwki. Chłopiec idzie przodem z zaostrzonym kijem. Po drodze szukają jeszcze orzechów włoskich, pieprzników, maślaków i borowików i wkładają je do trzciniowego koszyka, który Chamutal niesie na plecach. Odpoczywają pod krzywym dębem. W oddali słyszą bicie dzwonów małego wiejskiego kościoła. Na łące poniżej pasie się kilka owiec z pasterzem. Jakub bawi się zaostrzonym patykiem; ściga nim jasną muszkę, która ciągle przelatuje z miejsca na miejsce, jakby czegoś szukała. Nagle wydaje się, jakby mocno zanurkowała ku ziemi. Zaraz potem odlatuje w prostej linii. Po kilku minutach rytuał się powtarza. Chłopczyk śledzi teraz muchę z większą uwagą, za każdym razem stawia czubek patyka tam, skąd odleciała, żeby widzieć, co robi owad. Kiedy mucha ponownie odlatuje w prostej linii, sprawiając wrażenie, że małąką trąbką właśnie ukłuła ziemię, chłopczyk grzebie w tym miejscu w podłożu. Ku swojemu zdziwieniu wyciąga dużą czarną bryłę i pokazuje ją matce. Chamutal natychmiast rozpoznaje, co znalazł. Zna moc tej czarnej, brzydkiej trufli i przypisywane jej uzdrowicielskie właściwości. Żydzi rzadko ją jedzą, gdyż chrześcijanie do jej wydobycia wykorzystują świnię lub psy, nieczyste zwierzęta, które nie mogą się stykać z pożywieniem. Ponieważ jednak chłopczyk wygrzebał trufkę własnymi rękami, Chamutal patrzy na niego, śmiejąc się i dziwiąc. Czekają, aż mucha znowu się pojawi. Jakub ponownie ją śledzi, za każdym razem stawiając czubek patyka w miejscu, do którego właśnie podleciała. Owad znowu odlatuje w prostej linii, dziecko grzebie w tym miejscu, znów wyciąga z ziemi znalezisko i tryumfalnie podaje je matce. W ten sposób, nie wiedząc o tym, odkrywa prastary sposób szukania trufli. W ciągu kolejnych tygodni wspólnie uczą się rozpoznawać krzywe dęby wydające trufle, zwracając uwagę na gołe, owalne miejsca, które otaczają takie drzewa, bo dąb wydający trufle jest drzewem chorym; trufla jest grzybem, niektórzy we wsi uważają ją za pokarm szatana, ponieważ ma ponoć kształt zniekształconego diabelskiego kopyta; jej wszystko przenikający zapach, którym przechodzą masło, oliwa i mleko, stanowi dla nich oznakę czarów. Dlatego Chamutal zaklina syna, żeby nie mówił nikomu we wsi o swoim odkryciu. Po powrocie drobno kroi jeden z bulwiastych owocników, cały dom nim pachnie, trufle są dobre na nieszczęście i chorobę, zapewnia Dawida, który drapie się po głowie i myśli, że żona ma jednak bardzo dziwne skojarzenia.

Nad wsią spiralnym lotem na chłodniejszych warstwach powietrza unosi się orzeł, niebo jest idealnie czyste, ale nad grzbieciem wzgórz tworzy się olbrzymia, dziwna chmura przypominająca ostrygę, różowa jak pępowina i ciemnofioletowa, pokryta żyłkami i pusta. Patrzą na nią zafascynowani, jakby była postacią, Zwiastowaniem Pańskim, dopóki chmura się nie rozejdzie, a jej mała pozostałość nie odpłynie jak muszla ku horyzontowi. Samotność płaskowyżu jest jak sen.

*

W nocy, kiedy Droga Mleczna niczym jasny pas przesuwa się po nieboskłonie, wydaje się, że sowy głośniejsz pohukują nad doliną. Przy ogniu jest ciepło, ale po plecach przechodzi ziąb, który przeciska się przez szczeliny domu. Żona rabina Obadiasza siedzi obok Chamutal i opowiada jej historię pasterza opętanego przez nawoływanie sowy. Pewnej księżycowej nocy odpowiedział gwizdem, ot tak, ponieważ wiedział, że sowy mogą się nawoływać przez całą noc.

Sowa natychmiast odwzajemniła się gwizdzącym dźwiękiem. Rozbawiło to mężczyznę. Odgwizdał jeszcze parę razy. Sowa nadal odpowiadała. Następnej nocy siedział przed swoim domkiem i zanim to sobie dobrze uzmysłowił, przez cały czas gwizdaniem odpowiadał ptakowi po drugiej stronie. Trwało to półtorej godziny, a kiedy chciał się położyć do snu, nadal nasłuchiwał. Zasnął dopiero po wielu godzinach. Wydawało się, że ogarnęło go coś dziwnego; przez kolejne noce siedział na dworze aż do brzasku i jak szalony odpowiadał za każdym razem, gdy sowa się odezwała. Żona się przeżegnała, opowiedziała kobiecie na targu o swoich obawach, że jej męża opętał diabeł. Próbowwała go przekonać, żeby na noc został w domu, chciała zaryglować drzwi, ale skończyło się to szarpaniną i wyzwiskami. Dzieci płakały i krzyczały, ponieważ ojciec każdej nocy błąkał się gdzieś na zewnątrz, a matka w strachu się modliła. Nikt nie mógł zasnąć; gwiazdy migotały złośliwie, owca wydała na świat potwora z brodą.

Po kilku tygodniach nocnego odgwizdywania pasterz doznał mistycznego natchnienia: to sam Bóg próbował przekazać mu wiadomość, został wybrany, i musiał nadal odpowiadać, żeby święta nowina stała się jego udziałem. Co noc aż do rana odpowiadał więc sowie. Chudł w oczach, jego spojrzenie stało się zamglone i płomienne jednocześnie. Prawie nic już nie jadł, nie chciał spać pod dachem i błędził po dolinie, gwizdząc jak opętany. Parę jego owiec się zgubiło, wilk przemykał chyłkiem wokół stada. Pasterz tego nie dostrzegał. Po półtora miesiąca nie wrócił do domu, błąkał się samotny i zdziczały, pogrążony w dziwnej ekstazie; bracia go unikali i zajęli się jego stadem.

Nadeszła jesień, noce zrobiły się chłodniejsze, wieczorami pasterz wchodził na drzewo, żeby stamtąd, siedząc wysoko, do brzasku utrzymywać mistyczny kontakt z sową.

Ponieważ boska wiadomość pozostawała niejasna, zdecydował pewnej nocy, że Najwyższy wzywa go na drugą stronę i że to tam zostanie mu objawiona nowina. Około piątej po południu ruszył w drogę, szedł ponad dwie godziny, o zmroku dotarł do lasów na drugim krańcu doliny. Począł, aż usłyszy pierwszy krzyk, przez krzaki i pole poszukał miejsca, z którego nawoływała sowa, podszedł jak najbliżej, uważając przy tym, żeby nie ominęła go żadna replika. Za każdym razem w napięciu czekał wśród liści i robił kilka kroków. Po pewnym czasie był na tyle blisko, że mógł zlokalizować drzewo, na którym siedział nawołujący ptak. Zakradł się cicho jak mysz, żeby sowa nie odleciała, i spojrzał w górę. Ku jego konsternacji nie siedziała tam sowa, lecz mężczyzna, który podobnie jak on sam pohukiwał na drugą stronę – tego wieczoru z pewną desperacją, ponieważ odpowiedź zdawała się dochodzić z coraz mniejszej odległości. Pasterz tak się rozgniewał, wpadł w tak wielki szal, że zaczął potrząsać drzewem i kopać pień, złorzecząc wystraszonemu mężczyźnie na drzewie; błagał go, żeby zszedł, doskakiwał do niego, chwycił kamień i cisnął nim do góry. Ośłupiały i wystraszony mężczyzna zsunął się z drzewa, ale kiedy zobaczył pasterza, wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Pasterz jednak, w rozpaczy, że niewłaściwie zrozumiał głos Boga, złapał mężczyznę za gardło, udusił go, po czym tłukł go dużym kamieniem w głowę, aż zostały z niej tylko miazga i krew. Potem wrócił do Moniou, przez całą dolinę, z pianą na ustach pobiegł stromą skalną ścieżką do miejsca, w którym znajdowała się wieża w budowie, podszedł na skraj przepaści i z impetem skoczył. W miejscu, w którym się roztrzaskał – naprawdę, mówi żona rabina – dwa dni później znaleziono nie ciało, lecz gniazdo sowy błotnej, otoczone piórami, kostkami i mysią skórą.

Chamutal śmiała się z tej opowieści, kiwając głową, ale tamtej nocy leżała, nie mogąc zasnąć, i słuchała nawoływania sowy tam, po drugiej stronie. Miała wrażenie, że może usłyszeć samotność samego czasu.

2

Ponad trzy miesiące później rodzi się jej drugie dziecko. Tym razem dzieje się to jakby samo z siebie, noworodek wyślizguje się z niej. Jest to dziewczynka i nazywają ją Justa. Doliną wędrują prorocy niespełna rozumu, mieszkańcy słyszą róg i piszczałkę ostro odbijające się echem od zbocza wzgórza, uderzenia w bęben, rytmiczne posapywanie *rommelpot*, inkantowanie złowróbnych modlitw. Przez okolicę ciągną jazgotliwie nawołujący kaznodzieje, którzy głoszą nadejście nieszczęścia, pokutnicy, żebracy i bandyci. Przetrzęsają wsie i trwożą mieszkańców. Ludzie nie wychodzą z domów. Jest dziwny miesiąc luty, z tym ukośnie padającym, wyglądającym na nadziemskie światłem, które z każdym dniem staje się coraz mocniejsze.

Pewnego późnego kwietniowego popołudnia Chamutal widzi czterech normandzkich jeźdźców wjeżdżających przez Grande Porte: natychmiast ich rozpoznaje po ekwipunku. Końskie kopyta zdzierają się na otoczakach. Mają władcze, nieznoszące sprzeciwu postawy. Schodzą z wierzchowców, zdają się negocjować z heroldem. Chamutal rzuca wszystko, nie udaje jej się tak szybko znaleźć Jakuba, nie ma czasu, żeby dotrzeć do Dawida w synagodze. W panice ucieka na wzgórze z małą Justą ukrytą w fartuchu. Siedzi na górze na skraju przepaści, wypatrując daleko w dole, czy przeszli obok jej domu. Wszędzie panuje spokój, ale ona o zmierzchu budzi się z przerażeniem pod lodowatym niebem. Słyszy ich głośnie śmiechy w wąskich uliczkach na dole. Z bijącym sercem rozpoznaje północny język z czasów swojej młodości. Dziecko leży cicho i bez ruchu zawinięte w szal. Czuje ukłucie obłędu przeszywające jej ciało i głowę – co ona tu robi, na miłość boską!

Księżyc już zaszedł, ale wszystko drży i żyje energią, której ona nie rozumie. Pustka gwiazd nad tą odludną, cichą wsią powoduje, że Chamutal trzęsie się ze strachu. Coś szeleści w wiosennym listowiu dębu. Czeką, aż znowu zapadnie cisza, a pijackie głosy znikną za zatraskującymi się drzwiami. Wtedy po omacku skrada się na dół stromą skalną ścieżką, w ciemnościach trwa to prawie pół godziny. Po drodze rozciera zmarznięte dziecko, sama drży na całym ciele. W domu otwiera jej mąż i patrzy na nią przerażony. Chamutal wsuwa się do środka, kładzie dziecko przy piecu, gdzie powoli dochodzi do siebie. Jest wytrącona z równowagi, wyładowuje strach w ataku płaczu, którego nie może powstrzymać. Potem zasypia z dzieckiem w ramionach w ciemnym łóżku, do którego z trudem doszła.

*

W ciepłe poranki w czerwcu chodzi z dziećmi kąpać się w szerokich jeziorkach, które Nesque utworzyła tu i ówdzie. Woda jest chłodna i uzdrawiająca, tu w zaroślach może się spokojnie umyć. Kiedy Jakub biegnie z powrotem do domu, a mała dziewczynka śpi na brzegu, ona zdejmuje całe ubranie, wchodzi głębiej do wody. Nie umie pływać, ale rozkoszuje się wodą, która sięga jej do piersi. Odchyła się do tyłu i przez moment unosi na powierzchni, jej długie włosy rozkładają się na lekko poruszającej się tafli. Potem znowu się prostuje i czuje coś dziwnego we włosach, gładki ciężar przeslizguje się jej po plecach w dół, to duży wąż wodny, gad albinos ponadmetrowej długości, który między jej nogami wije się z powrotem do wody i znika wśród kołyszących się wodnych roślin. Wyrzywa się jej krótki krzyk, widzi, jak zwierzę niknie w głębinie. Wychodzi z wody, ubiera się przestraszona. Między krzakami widzi śmiejącą

się szyderczo twarz mężczyzny, który ją podgląda. Nagle ogarnia ją szaleńczy niepokój o Jakuba. Pędzi do domu. Kiedy zdyszana dociera na miejsce, okazuje się, że wszystko jest w porządku. Chłopiec spogląda na nią zdziwiony, gdy bierze go w ramiona i tuli. Tej nocy wilk złapał synka pasterza na polu, na którym chwilę wcześniej oboje spali.

Na początku 1095 roku Chamutal stwierdza, że po raz trzeci jest w ciąży.

3

Stary rabin coraz więcej swoich zadań zleca młodemu Dawidowi Todrosowi. Ojciec Dawida w Narbonie otrzymuje wiadomości, że synowi zostaje powierzona troska o żydowską społeczność w Moniou oraz że postanowili nadal tu mieszkać. Zbudowali sobie tutaj byt, pisze syn, ich dzieci są zdrowe, mają solidny dom blisko synagogi, wiejskie życie w tej niewielkiej wspólnocie daje im dużo nieoczekiwanego szczęścia. Chamutal znalazła tu spokój, z dala od tego całego hałasu i fermentu ich epoki. Nie zagrażają im tu normandzcy rycerze, pisze; wielu z nich przejeżdżało przez Narbonę, ale prawie nigdy przez tę dolinę. Chamutal nawet nie chce myśleć o tym, że po powrocie do Narbony zostałaby jeszcze rozpoznana i zabrana siłą, oddzielona od męża i dzieci. O rycerzach, którzy niedawno byli we wsi, roztronie milczy.

Kilka lat wcześniej niezwykle utalentowany duchowny z Szampanii, Odo de Châtillon, po wielu strategicznych przepychankach został wybrany na papieża. Wprowadził się do rzymskiego Pałacu Laterańskiego. Przyjął imię Urban II. Wykazał się o wiele większym talentem dyplomatycznym niż jego zuchwały, uparty poprzednik Grzegorz VII. Ustanowił radę, która zerwała z tradycją papieskiej nieomyślności, dzięki czemu władza i autorytet Rzymu uległy wzmocnieniu. Urban łamał sobie głowę nad losem wielu pielgrzymów, którzy wyruszali do Jerozolimy i na swojej drodze spotykali się z coraz większą agresją i oporem. Bardzo dobrze rozumiał, że podstawowym zadaniem jest odbudowanie nadwerężonego prestiżu Kościoła na Zachodzie – i z tego powodu zerkał na Wschód. Od czasu wielkiej schizmy z Konstantynopolem czterdzieści lat wcześniej Kościół rzymskokatolicki musiał walczyć o wpływy z Kościołem prawosławnym. Urban obmyślał wielki czyn, dowód siły i stanowczości. Zewsząd dochodziły głosy, żeby uwolnić Jerozolimę od przeklętych Saracenów. Dlaczego więc nie uczynić z nich narzędzia do odzyskania uznania przez Kościół wyczerpany walką z niemieckim cesarzem? Jak połączyć w jedno te wszystkie rozbieżne siły? Rosły społeczne niepokoje, nie tylko wśród pospólstwa, również stan rycerski potrzebował celu, żeby dać upust wciąż narastającym powszechnym napięciom. Czy podczas ewentualnej wyprawy panujący nad Sycylią Normanowie mogą mu się przydać do ponownego zajęcia ziemi, na której kiedyś stała bazylika Grobu Pańskiego? Jak chrześcijańscy rycerze mieliby się przeprowadzić przez Morze Śródziemne? Podczas bezsennych nocy wspinały *plan de campagne* powoli nabierał kształtów w jego pobożnej głowie. Będzie głosił kazania, żeby pozyskać zwolenników dla swojego planu. Myślał przy tym przede wszystkim o swej ojczyźnie, Francji, gdzie niepokoje były największe, ale prawdopodobnie również gotowość do zorganizowania militarnej wyprawy na Wschód. Nocami leżał krzyżem na ziemi w pustych kościołach, modlił się i błagał o właściwą myśl, czuł zimno przebiegające po grzbiecie.

*

Czasem przechodzili także spokojną dolinę – o której Dawid pisał ojcu – pielgrzymi i poszukiwacze przygód w drodze do Świętego Miasta. Dawali się zauważyć przez swój porytowy ton, religijną żarliwość, szal nawracania oraz nienawiść do Saracenów i Żydów. Dawid wolał trzymać tych gości poza żydowską dzielnicą, ale ksiądz z kościoła Szymona Piotra po drugiej stronie Moniou chętnie pozwalał im na długi pobyt w miasteczku, przynosili pieniądze, a tym samym zyskiwali uznanie w okolicy. Wkrótce po niefrasobliwym liście Dawida

do ojca w Moniou stosunki zaczęły się pogarszać. Żydzi unikali wypuszczania się zbyt daleko za główną Grande Porte; chrześcijanie okazywali mniej powściągliwości, ale jednak coraz rzadziej przechodzili na Portail Meunier, południową stronę, gdzie znajdowała się żydowska dzielnica. W ten sposób w małej społeczności wytworzyła się niewidzialna linia stanowiąca odzwierciedlenie tego, co działo się w innej części Europy. Wszystko zapowiadało groźbę konfrontacji, której chyba nikt nie chciał. Zwykle poprzestawano na paru wyzwiskach, obelgach i uszczypliwościach, gdzieś tam wymykało się to na chwilę spod kontroli, cóż poradzić. Na wysokim politycznym szczeblu nie było jednak nikogo, kto podsumowałby tę niepostrzeżenie narastającą przemoc – poza jednym człowiekiem, który dostrzegał w niej potencjał i zamierzał ukierunkować rozproszoną energię: nowym papieżem Rzymu, światowym i przebiegłym Francuzem, który dość szybko, bo w drugim roku pontyfikatu, odbędzie zaplanowaną podróż po Francji. Studiował w Reims, potem został zakonikiem w burgundzkim klasztorze w Cluny, a następnie wspinał się wyżej, aż zwrócił na siebie uwagę Rzymu. Był idealnym łącznikiem między rozdartą Francją a Stolicą Apostolską; stanowił zarazem taktyczną przeciwwagę dla władzy niemieckiego cesarza.

Kiedy pod koniec 1095 roku, po długiej wyprawie, Urban II dociera do miasta Clermont, jest gotowy do ogłoszenia wezwania, które od dawna chodzi mu po głowie i za którego sprawą ma nadzieję ponownie mocno spoić świat chrześcijański.

Względny pokój między muzułmanami, chrześcijanami i Żydami na Wschodzie musiał przy tym zostać przerwany; linie demarkacyjne miały stać się ostre i wyraźne. Grób Chrystusa należało wyrąbać ze świata muzułmańskiego i ponownie uczynić integralną częścią świata chrześcijańskiego. Istniała tylko jedna możliwość: należało na nowo zdobyć Jerozolimę. Urban II bawił się w myślach pojęciem, które stworzył on, wysmienity taktyk, a które dla jego współczesnych brzmiało niecodziennie: „święta wojna”.

Udał się do Clermont, żeby pomodlić się w krypcie bazyliki Notre Dame du Port, a następnego dnia, 27 listopada 1095 roku, gdzieś na polach pod miastem zapoczątkował świętą wojnę słynnym wezwaniem do pierwszej krucjaty.

Jego żarliwa przemowa odniosła skutek, o jakim nawet nie mógł marzyć. W jej trakcie niektórzy rycerze jak echo powtarzali okrzyk Urbana: „Bóg tak chce!”. Prałci i rycerze w pierwszych rzędach padali na kolana i ryczeli po oksytańsku: *Deus lo volt!* Kaznodzieje krzyczeli, wyrzucali w górę ramiona, niektórzy mężczyźni płakali; konie stawały dęba, powstały ścisk i zamieszanie, byli rycerze, którzy darli swoje wierzchnie odzienie na strzępy. Robili z niego duży krzyż, który przytwierdzali sobie do pleców. Narodziło się charakterystyczne wyposażenie krzyżowców. Ponieważ Urban obiecał swoim zwolennikom, że otrzymają odpust zupełny licznych grzechów, jeżeli pokonają wrogów Chrystusa, tłum oszalał. Wiwatowano, modlono się, skandowano, śpiewano. Uwolniła się energia tak zaraźliwa dla wielu błądzących dusz, że wprawiło to w zdumienie samego Urbana. W zasadzie obietnica odpustu oznaczała, iż ten, kto już miał na sumieniu morderstwo, mógł zostać uwolniony od wiecznej kary piekielnej przez dopuszczanie się nowych mordów podczas wyprawy krzyżowej – na wrogach prawdziwej wiary. Nie znamy dosłownej treści przemówienia, ale wielu świadków przekazało w jego streszczeniu, że Urban powiedział, iż z pokonywaniem wrogów Pana nie muszą czekać aż do Jerozolimy. Tym samym oczywiście poddawał krytyce Żydów; antysemityzm niejednego kaznodziei, takiego jak Piotr Eremita na północy, został w ten sposób uświęcony i usankcjonowany.

W czasach ustroju feudalnego przepaść między biednymi a bogatymi nieustannie się pogłębiała; nawarstwiały się frustracje ludu i animozje do bogatych, kleru oraz szlachty, ale rycerze byli niezwyciężeni, więc lud i jego księża wybrali łatwy cel do wyrażania

niezadowolenia: wzbogaceni Żydzi, którzy swoje pieniądze zarobili na pożyczkach, odsetkach i spłatach, oni, mordercy Chrystusa. Ze starymi garnkami i rondlami na głowie, w marnej próbie naśladowania uzbrojonych rycerzy, gromadzili się, wyposażeni w cepy, widły i tępe noże; na nogach mieli drewniaki i byle jak powiązane paski skóry; szli w ślad za zorganizowanymi oddziałami, które wyróżniały się za sprawą lśniących zbroi, barwnych ozdób koni, hełmów i pęków piór. Upijali się, porywali się nocą na kobiety, a za dnia modlili o odpust zupełny: im więcej martwych wrogów Zbawiciela w perspektywie, tym więcej zbawionych dusz.

Wśród pełnych zachwytu wiernych znajdował się też człowiek, który już wiedział, jak to się robi, a Jerozolimę poznał z bliska: osławiony jednooki awanturnik i przywódca Rajmund z Tuluzy. Przyznano mu najwyższe stanowisko – dowodzenie oddziałami prowansalskimi, wspólnie z biskupem Le Puy, którego wysłano jako legata papieskiego. Obaj natychmiast rozpoczęli mobilizowanie i zachęcanie do udziału w wielkiej wyprawie. Pokażą światu, jak wspaniałe znowu jest chrześcijaństwo i jak zdolne do obrony, Saraceni mogą się spodziewać „świętej wojny”. Minie jeszcze kilka lat, zanim muzułmanie – z wściekłości i oburzenia barbarzyńskimi napadami na słynną Antiochię – zaczną używać słowa stanowiącego przeciwieństwo tego określenia – „dżihad”. Właściwie oznacza ono żarliwość religijną, oddanie, ale od tamtej pory pobrzmiewa w nim echo słów Urbana z Clermont.

Mobilizowanie oddziałów i czekanie do wiosny; wtedy pierwsze z nich udają się w drogę. Wielkie wojsko Rajmunda z Tuluzy, dwadzieścia pięć tysięcy silnych mężczyzn, wyruszy dopiero jesienią 1096 roku.

4

Przez trzy dni mistral uparcie i mocno wieje po bezlitosnym, nieskazitelnym niebie. Jest tak silny, że psy, owce i kozy, zacisnąwszy oczy przed oślepiającym światłem i zwrócone zadami w stronę wiatru, leżą pod niskimi murkami, skałami i pniami, cierpliwie czekając. Szumią dęby ostrolistne, wokół szpiczastych wierzchołków rozchodzi się samotny i ostry świst, z pomrukiem napiera na ściany i okiennice. Jaszczurki nie wychodzą z wnek, chude bydło żałośnie ryczy. Na całej prowansalskiej równinie trzepoczą flagi i proporce. Ludzie prowadzą jedni drugich, skupiają się w duże grupy, zabezpieczają najlepiej, jak potrafią. Zapierają się, rusza fala, której dokuczają błazeństwa wiatru. Nękani przez ból głowy, klękają na twardej ziemi. Rozlegają się skandowanie i śpiewy, niektórzy mieszkańcy wsi wycofują się z powrotem do domów. Ser kruszy się w pokrzywionych palcach, wino smakuje kwaśno, a oliwki cierpko. Na górze na skalnej ścianie, nad którą, głośno kracząc, krążą wrony, dwóch żydowskich robotników zostaje przygniecionych przez jeden z ostatnich wielkich kamieni, które trzeba umieścić na wykończeniu wieży. Z hukiem spadają z drewnianego rusztowania. Czy to aby nieszczęśliwy wypadek? Ich zniekształcone ciała staczają się ze sterty ostrych skał pumeksowych w krzaki, pozostawiając za sobą ślad krwi. Okaleczone ciała zostają stromą ścieżką zniesione do wsi, gdzie na żydowskim cmentarzu, przy drodze do wąwozu, odbywa się prosty pogrzeb. Odmawia się modlitwy. Powtarza plotki. Pod nosem szepcze przekleństwa.

Jest październik 1096 roku. Po latach ciosania, znoszenia, sortowania, układania i budowania dumna wieża w kolorze piasku na Górze Jowisza jest niemal ukończona. Rano łapie pierwsze światło, a kto wieczorem wchodzi do doliny od strony Saltus albo znajduje się na wzniesieniach Albionu, w nastającym zmierzchu widzi już tylko tępo zakończoną iglicę oświetloną ostatnimi promieniami słońca, coś jak środkowy palec Boga jaśniejący ponad średniowiecznym gniazdem. Z góry twierdzy roztacza się widok na wieżę po drugiej stronie doliny – Saint Jean de Durefort. W niespełną godzinę za pomocą ognisk i luster z brązu można po szczytach gór przekazać sygnał alarmowy z Marsylii do tego miejsca. W razie inwazji Maurów okolica jest bezpieczna.

Tymczasem to nie Maur przychodzi, lecz wojsko powstałe wprost z samego ludu, nie zewnętrzny wróg, ale taki, który skrywa się w sercach, a teraz nieodparcie wydostaje się na zewnątrz, przez lata karmiony nagonką, drobnymi porachunkami, odwetem na sąsiedzie, podjudzaniem, wzajemnymi wyrzutami, bajeczkami o rytualnych mordach dokonywanych przez Żydów na dzieciach, kanibalizmie, rzekomym uprowadzaniu niewinnych przez rabinów, opętaniu i diabelskim rytuale. Przy wejściu do wąwozu zostaje znaleziony zabity dziesięcioletni chłopiec. Winę przypisuje się Żydom; powstaje zbiegowisko, rabin i ksiądz łączą siły, żeby uspokoić mieszkańców wsi. Nienawiść kurczy się jak mięsień w sercu wspólnoty, istnieje obawa, że energia, nad którą utracono kontrolę, wybuchnie i zniszczy wszystko na swojej drodze. Przy wejściu do synagogi staje uzbrojona straż. Chrześcijanie się oburzają.

*

Rajmund z Saint-Gilles, hrabia Tuluzy, był szanowanym człowiekiem. Urodził się w 1042 roku jako drugi syn hrabiego Ponsa z Tuluzy. W chwili gdy papież Urban II wygłasza w

Clermont swoją fatalną w skutkach przemowę, jest władcą południowo-wschodniej francuskiej prowincji. Wszyscy kronikarze z tamtych czasów prawią o jego świetności; otaczał się elitą stanu rycerskiego, cieszył się największym prestiżem spośród wszystkich dowódców wojsk. Podczas poprzedniej wizyty w Jerozolimie stracił w walce oko. To tylko wzmocniło jego autorytet i siłę oddziaływania. Przyłączali się do niego nawet rycerze z Limousin i Langwedocji, choć wojska normandzkie wyrażały się lekceważąco o „tych Prowansalczykach”. W jego orszaku jechał nie tylko jego duchowy przewodnik, biskup Le Puy Adhémar z Monteil, lecz także mężowie tacy jak Gaston, burgrabia Béarn i pan Saragossy; *seigneur* Pierre, burgrabia Castillon; Guillaume V z Montpellier, protegowany Rajmunda, który już dwukrotnie był w Jerozolimie; Pierre, *seigneur* Awinionu; Girard z Roussillon i wielu innych mężczyzn cieszących się wielkim prestiżem oraz uznaniem. Tworzyli elitę i czołówkę oddziałów, które ruszały z miejsca. Za nimi szła zbrojna armia, dalej uzbrojeni mieszczanie, następnie chłopci z wozami pełnymi prowiantu, szmelcu i narzędzi, a potem czasem biegnące przez dłuższy odcinek rozwrzeszczane dzieci, kobiety, które chciały podążać za mężami, wędrowni handlarze i markietani z kuszącymi napojami, nawet pewna liczba niespożytych, zdesperowanych starców dołączała się w drodze do Ziemi Świętej, żeby tam uwolnić od saraceńskiego szatana poświęconą ziemię swojego Zbawiciela. Trwa to wiele dni, zanim ostatni mogą wyruszyć. Ludzki wąż toruje sobie drogę do serca Vaucluse, w kierunku Włoch.

*

Po trzech dniach o brzasku mistral nagle ustaje. Nic się nie porusza. Wschodzi słońce, jest przepiękny dzień. Równiny i doliny, wyżyny i wąwozy toną w głębokiej ciszy. Z wolna ustępuje lekka zasłona mgły nad arkadyjską krainą.

– To dzień dany od Boga – mówi Rajmund do Adhémara – ruszamy w drogę.

Kłękają i modlą się w porannym słońcu. Konie rżą i szarpiać cugle, wszędzie klęczą rycerze, robią znak krzyża i schylają głowy. Rozlega się śpiew. Wielu twardych mężczyzn jest głęboko wzruszonych. Łzy spływają im po policzkach, a ręce mają pobożnie złożone. Sztandary wiszą nieruchomo jak zaczarowane; późne motyle fruują między bezlistnymi dębami. Świat wstrzymuje oddech.

Ponieważ jest taka łagodna pogoda, Chamutal postanawia samotnie udać się na wzgórze. Dzieci zostawia z Agatą, która dowiedziawszy się, że młode małżeństwo zostaje w Moniou, już w kwietniu wyruszyła z Narbony, żeby w górskiej wsi służyć wsparciem w prowadzeniu domu. Chamutal chce tego dnia zrywać granatowe jagody z kłujących krzewów jałowca, chce przez kilka godzin być sama. Rozmyśla na kawałku skały, cieszy się pięknem krainy w spokojnej jesiennej mgle, przez którą tu i ówdzie zaczyna lśnić niskie, padające z boku światło. Wybiera drogę biegnącą w prawo nad głębokim wąwozem rzeki Nesque, a potem stopniowo wspina się do góry, przez niskie zarośla i ścieżki w kolorze piasku, usiane skalistymi odłamkami. Głęboko wdycha świeże powietrze. Zapachy są oszałamiające. Siada na starym rzymskim kamieniu milowym wystającym z piasku. Z miejsca, w którym siedzi, ma widok aż po wzgórze Saint-Hubert. Słońce jest ciepłe i szczodre jak na tę porę roku, ostatnie pszczoły brzęczą w bordowej winorośli. Zamyka oczy i zatapia się we wspomnieniach młodości. Budzi się wystraszona, ponieważ głowa opadła jej na piersi; zdumiona rozgląda się, między małymi sztywnymi palmami widzi zrzuconą skórę węża. Ale kiedy podnosi wzrok, dostrzega coś migoczącego w oddali od strony Saint-Hubert, coś, co przypomina węża – ogromnego srebrnego węża. Porusza się i musi być bardzo duży, długi na kilkaset metrów, mieni się i lśni w jasnym świetle. Patrzy zafascynowana, nie rozumiejąc, co widzi. Upija trochę wody ze skórzanego bukłaka, zjada kawałek chleba z twardym kozim serem. Czuje zadowolenie, lecz także lekki niepokój wywołany tym czymś w oddali. Po niecałej półgodzinie widzi już lepiej to, co nadchodzi: maszerujące wojsko. Jej zdziwienie przeradza się w strach, kiedy zauważa, że wojsko kieruje się na wzgórze Saint-Jean, przez zarośniętą okolicę, która obecnie nazywa się Champ de Sicaude, potem w stronę Malaval, mijając Vallat de Peisse, aż po ponad godzinie pierwsze szeregi zaczynają przy La Plane schodzić do doliny Moniou krętą drogą, którą kiedyś, przybywając tutaj, sama szła z Dawidem. Jest pewna, że widzi setki koni. Drogą zmierzają niezliczeni jeźdźcy, za którymi podążają piechurzy. W świetle lśnią kirysy, tarcze i lance. Stoi wpatrzona w ten widok, przez ostatnie miesiące słyszała od przechodzących pielgrzymów różne pogłoski, ale że na własne oczy zobaczy takie wojsko, tego się nie spodziewała. Jej myśli natychmiast biegną do ojca. Pamięta sprzeczkę z matką; znowu widzi ojca wychodzącego ze stajni otoczonych przez chmary jaskółek, prowadzącego za wąskie lejce nerwowego wałacha. Zastanawia się, czy ojciec także wyruszy do Jerozolimy, miasta, które dla niej znaczy teraz coś zupełnie innego niż dla niego. Podczas gdy przez głowę przebiegają jej obrazy z dzieciństwa, widzi pierwsze szeregi schodzące z wyżyny do doliny Moniou. Zrywa się, pędem pokonuje całą długą drogę z powrotem do wsi, dociera tam zdyszana, a tymczasem po drugiej stronie rzeki, mniej więcej pół kilometra od wsi, zatrzymują się pierwsi rycerze. W dolinie unoszą się krzyki i nawoływania, konie stają dęba i wszczynają tumult. Cała wieś wylega na dwór, ludzie z otwartymi ustami gromadzą się na długich murach twierdzy. Pięciu żołnierzy z Moniou w napięciu stoi w punkcie obserwacyjnym przy więzieniu. Z wieży wysoko na skalnej ścianie, sto metrów nad ich głowami, rozlega się dźwięk rogu. Na sygnał odpowiadają trąby wojska na równinie. Przynajmniej to napełnia otuchą. Niespełna godzinę później wspaniale przyozdobiony rycerz ze srebrnym krzyżem na kirysie przejeżdża w niegłębokim miejscu Nesque, wtedy zwaną jeszcze Anesca. Jego koń wspina się do Portail Meunier. Tam rycerz stuka kopią w bramę. Nadzorca wałów formalnie pyta, czego chce.

– Niewiele – uśmiecha się drwiąco herold. – Żywności i dachu nad głową dla czcigodnych dowódców naszego świętego wojska.

– A ilu ludzi to oznacza? – pyta nadzorca.

– W sumie jakichś dwustu. – Herold się uśmiecha. – Inni rycerze i piechurzy znajdą w okolicy wszystko, co potrzebne. Zaczynajcie przygotowania. *Deus lo volt*. Zabijcie całe bydło, rozpalcie ognisko i wyciągnijcie wszelkie zapasy, mężczyźni są głodni i zmęczeni, wyruszyli dzisiaj o piątej, a przez ostatnie dni prawie nie spali. Ta dolina jest idealna na jednodniowy obóz; potem udamy się dalej na północ w kierunku castrum Digne.

Rycerz nie czeka na odpowiedź, zawraca konia i odjeżdża.

Nadzorca wpada w panikę. Obawia się, że mała społeczność nie będzie w stanie sprostać prośbie. Odbywa się krótka narada, informator biegnie schodami drewnianej wieży przy północnych murach fortecznych do fortu, zdyszany dociera na górę i powiadamia pana zamku, który z kilkoma uzbrojonymi mężczyznami stoi na czatach. Ten schodzi przez drewnianą wieżę, zawezwani zostają ksiądz i rabin. Próba zaspokojenia potrzeby zaprowiantowania zrujnowałaby wieś. Przez północną bramę zwaną Portalet zostaje w pośpiechu wysłany posłaniec do La Loge, przysiółka u stóp Saltus, z prośbą o pomoc. Cała ludność jest wzburzona do granic. Ludzie w oszołomieniu gapią się na ten nigdy niewidziany pokaz siły i prestiżu, niektórzy padają na kolana, żegnają się i modlą. Inni z wielkim niepokojem patrzą na niekończący się, wlewający do doliny strumień ludzi. Od dłuższego czasu to już nie są rycerze, po włócznikach do obozowiska dołączyli też piechurzy. Z wyżyny Saint-Jean napływają tymczasem bezładne tyły. Słychać śpiewy, krzyki, śmiech i ryk. Szczekające psy skaczą wokół stada beczących na całe gardło owiec prowadzonych przez zgraję chłopów wyposażonych w kije. Widok przesłania ogromny tuman kurzu, jego drobinki srebrzyście wzbijają się do nieruchomego błękitnego nieba. Mieszkańców wsi dolatuje dziwny zapach. Chowają się za skałą, pod szybko obsadzonymi wieżami i punktami obserwacyjnymi. Kilka kobiet z dziećmi ucieka pod osłoną dzikich krzewów do jaskiń i wnęk w skalnej ścianie. Cała dolina zdaje się huczeć od niebywałej siły.

Chamutal wbiegła do domu, zaryglowała drzwi. Beszta wystraszonego Jakuba, żeby był cicho, uspokaja małą dziewczynkę na swoich kolanach, a najmłodsze dziecko, jeszcze niemowlę, trzyma przyciśnięte do piersi. Czy nie powinna natychmiast pójść do synagogi, kawalek dalej, żeby zobaczyć, co u Dawida? Na dole przy niskiej twierdzy zgromadził się tymczasem duży tłum, zbieranina mężczyzn próbuje wspiąć się na mury. Tam, gdzie dzisiaj spokojnie biegnie chemin de la Bourgade, prychają konie, przekrzykują się mężczyźni, szczekają psy, terkoczą kryte wozy, związuje się ze sobą pale, żeby roztrzaskać główną bramę. Dopiero teraz mieszkańcy Moniou zaczynają rozumieć, że nie ma ucieczki; wiele lat po katastrofie, która ich czeka, zbudują wysoki mur obronny ze wzmocnionymi bramami, lecz w tym momencie stoją bezbronni wobec szturm na ich małą wspólnotę. Drugi herold, w towarzystwie pięciu rycerzy, około piątej po południu wali we wrota Grande Porte z żądaniem umożliwienia inspekcji miejsc do spania. Zostają wpuszczeni z ociąganiem. Pięciu rycerzy szybko przywleka pnie drzew, uniemożliwiając ponowne zamknięcie bramy. W wąskich ulicach mieszkańcy tłoczą się za nadzorcą wałów, rabinem i księdzem. Niektóre domy są zaryglowane. Dopiero po wielu przekleństwach i groźbach niechętnie i z obawą zostają otwarte. Jeden z rycerzy roztrzaskuje mieczem cienkie drzwi, kopniakami rozbija je w drzazgi, toruje sobie drogę przez ciemny, niski dom. Rozzłoszczony wraca na zewnątrz. Prawie nikt niczego nie przygotował. Rycerz kręci nosem na nędzne nory i małe, cuchnące ciemne mieszkania, żąda domów notabli i księdza. Ponadto na dodatkowe miejsca do spania domaga się kościoła, który znajduje się tuż za wałami przed Portalet. Ksiądz trochę sarka, obrywa mu się żelazną rękawicą.

– Dobrze – wybąkuje. – *Deus lo volt*.

Potem zwiadowca, rozdrażniony biedą, jaką widzi wokół siebie, nagle się odwraca i wskazuje na synagogę na drugim końcu wsi, od południa, po stronie małej wieży obserwacyjnej, przy Le Petit Portalet.

– A... to co? – pyta, szczerząc zęby w uśmiechu. – Moški u szczurów? Gdzie się pochowali? Oni na pewno mają dla nas wspaniałe łoża, te wieczne lizusy, prawda?

Jakub, który się temu przysłuchiwał, pędzi na górę, żeby powiadomić ojca. Dawid z Joszua Obadiaszem schodzą ulicą, pytają herolda, czego chce. Ten ironicznie się kłania, spluwa na kamienie i mówi, że jeszcze o nic nie zapytał, więc niech milczą, dopóki nie przemówi. Że przede wszystkim żąda synagogi na noc. Że mają godzinę na usunięcie swoich parafernaliów, bo chrześcijańscy rycerze nie śpią pod pogańskimi symbolami. Joszua Obadiasz prostuje się z godnością i odpowiada, że nie mogą pozwolić na sprofanowanie pomieszczenia. Również jemu dostaje się żelazną ręką. Starzec zatacza się, krew tryska mu z wargi. Dawid go podpira, odcina się rycerzowi, że ten w każdym razie nie zachowuje się po chrześcijańsku. Na to rycerz dobywa miecza i krzyczy:

– Jeszcze słowo, a umrzesz tu, zdrajco Chrystusa. *Deus lo volt!*

Odwraca się do wystraszonej ciżby ludzkiej, zbitej wokół niego.

– Macie czas, dopóki słońce nie zniknie za skałą – syczy. – Nie zawiedźcie wojska, prostacy.

Opuszcza wieś przez Portail Meunier, która zostaje za nim zamknięta wielką poprzeczną belką. Od wewnątrz ponownie opuszcza się bronę, choć niewiele to zmieni: Grande Porte na dole została sforsowana i zablokowana. Jest pilnowana przez kilku rycerzy z obnażonymi mieczami.

Wśród mieszkańców zaczynają się szepty, rozmowy półgłosem i lamenty. Bezsilni stoją obok siebie, niektórzy mówią, że trzeba łapać za nóż i zacząć zabijać owce, rozpałać ogniska i szykować izby. Z kolei inni rzucają, że nóż trzymają w pogotowiu do czegoś innego, na co ksiądz woła:

– Oszalesiście? Nie mamy wyboru. To są święci rycerze w drodze do Jerozolimy, mamy święty obowiązek im służyć.

Dawid i stary Joszua naradzają się. Są gotowi udostępnić swoje domy, ale nie synagogę, w niej przenocują sami, to znaczy: prawie cała żydowska ludność, ponad sto osób, będzie spała ściśnięta na podłodze, strzegąc tym samym świętego miejsca, podczas gdy gościna i tak zostanie udzielona. Ten plan zostaje przyjęty. Wszyscy biegną do domów i rozpoczynają przygotowania, kobiety sprzątają izby, znoszą poduszki, a prymitywne prycze, o ile to możliwe, zaścielają najlepszą pościelą. Wkrótce rozlega się żalosne beczenie owiec tuż przed ubojem, roznosi się zapach krwi, potem następuje ćwiartowanie, a chwilę później rozchodzi się woń pieczonego mięsa. Pewna grupa rycerzy przyszła na piechotę do wejścia do wsi i prosi o wpuszczenie. Ich ludzie staczają z wozu beczki wina, które zostają wniesione do środka. Mężczyźni wnoszą pierwszy toast, fukają na mieszkańców, żeby się tak nie gapili. Ludzie wycofują się do swoich domów, sami nie mają odwagi nic zjeść. Daje się im we znaki głód, kiedy czują zapach pieczonych owiec, które tego ranka jeszcze pasły się na pokrytych rosą polach przed wsią. Na równinie wszczyna się ogromny hałas. Są ścinane drzewa, cały brzeg tak zwykle spokojnej Nesque wydaje się terenem okupowanym. Z pni jest zdzierana kora, na prostych zostają rozpięte spore płótna służące jako zadaszenie i baldachim, stawiane są duże namioty. Wszędzie palą się ogniska; słychać śpiew, nawoływanie, krzyki. Jak okiem sięgnąć w dolinie aż po wzgórze po drugiej stronie panuje poruszenie. Ludzie w pośpiechu urządzają miejsce na nocny sen. Duży księżyc szybko wschodzi nad wzgórzami. Zmierzch iskrzy się w srebrzystym świetle. Palą się

czerwonozółte ogniska, buchając płomieniami i trzaskając w stronę coraz bardziej rozgwieżdżonego nieba.

Wieś jest teraz całkowicie zaskoczona. Rycerze i jeźdźcy wchodzą i wychodzą, bezwstydnie zaglądają do wszystkich pomieszczeń, odsuwają na bok mieszkańców. Niektórzy stawiają przy wejściu skrzyżowane oszczepy na znak, że ten budynek jest już zajęty. Nastrój szybko staje się swawolny. Rozbrzmiewają śmiechy, leje się trunki, duże ilości przygotowanego jedzenia szybko znikają, wkrótce zaczyna go brakować. Paru rycerzy wszczyna awantury, potrząsa wystraszonymi mieszkańcami. Piętnastoletni chłopak próbuje osłaniać ojca, któremu wymierzono cios. Dostępuje do rycerza. Rycerz dobywa miecza i roztrzaskuje chłopakowi głowę. Krew tryska na zbroję. Kilku wieśniaków rzuca się na przechwalających się mężczyzn przy ognisku i natychmiast miecze przeszywają im szyje.

Wszystko uspokaja się równie szybko, jak się zaczęło; trzęsąc się w śmiertelnym przerażeniu, stojący dokoła ludzie wycofują się do swoich domów. Nikt nie ma odwagi zabrać martwego chłopaka. Spośród obecnych występuje Dawid.

Jeden z rycerzy pyta go, czego chce.

– Dać chłopakowi miejsce ostatniego spoczynku.

Jego południowy sefardyjski akcent zdradza go.

– Co, Żydku – pyta rycerz – chcesz nas sprowokować?

– Nie – odpowiada Dawid – chcę pogrzebać zmarłego, przecież wy, chrześcijanie, też tak robicie.

– Tak, ale my nie wsadzamy ich jak zwierzęta do ziemi, tak jak wy – drwi rycerz.

Ponownie skupia się na swoich pijących towarzyszach.

Jeden z nich, niejaki Guy z Carpentras, odzywa się nagle:

– Gdzie właściwie śpią te parchy? Widzieliśmy już ich domy?

Podrywają się w trójkę, ruszają do synagogi.

Tam Jozua Obadiasz z kilkoma mieszkańcami rozkłada posłania. Solidnie już pijany Guy mówi, że to nie są łoża dla rycerzy, tylko dla psów. Obadiasz wyjaśnia, że czcigodni goście śpią w udostępnionych im domach, ale nie w synagodze. Rycerzom nie za bardzo to się podoba, żądali również synagogi. Wypowiadają groźby, przyrzekają, że tak tego nie zostawią, kreślą znak krzyża, wychodzą na zewnątrz. Inni rycerze włóczą się ulicami, każdy czegoś chce, mężczyzna z piechoty łapie pewną kobietę za spódnicę. Jej mąż bierze ją w ramiona, robi się zbiegowisko. Podchodzi rycerz, który mówi do pijanych mężczyzn, że nie toleruje nieobyczajności. Mężczyzna z żoną uciekają do domu, barykadują drzwi.

Coraz więcej mężczyzn chodzi teraz żydowskimi uliczkami.

– Śmierdzi tu żydowskim mięsem – woła któryś.

Inni się śmieją.

– Zostawże to robactwo w spokoju – odzywa się inny, a trzeci dorzuca:

– Tak, ale oni odmawiają nam synagogi na nocleg, co oni sobie myślą, że kim oni są?

Okolo północy księżyc stoi wysoko nad równiną i rzuca blade światło na skalną ścianę, która wygląda baśniowo i osobliwie. Powoli gasną ogniska po drugiej stronie. Gwiazdy lśnią chłodno i jasno. Jeszcze przez jakiś czas tuż pod murem twierdzy rozlegają się krzyki i śmiech. Potem robi się ciszej, kilku rycerzy błąka się jeszcze po wsi w poszukiwaniu miejsca na sen. Rozbijają drzwi, wypędzają domowników. Przy synagodze w żydowskiej dzielnicy podnosi się zgiewek. Wszyscy żydowscy mieszkańcy położyli się tam już na pryczach, kocach i gałganach; swoje domy zostawili otwarte, ale wszystkie zostały zajęte.

Paru typów wdziera się do środka, wyciąga miecze i woła:

– Wszyscy na dwór, już!

Joszua Obadiasz wstaje, odpowiada, że wszystkie domy stoją dla rycerzy otworem, lecz to miejsce pozostaje dla nich i jest poświęcone ich wierze.

– Odpłacisz za to, żydowski psie – syczy jeden z mężczyzn.

Nieco później słyszą, że drzwi zostają zabarykadowane z zewnątrz. Uliczką są toczony ciężary, skośnie pod bramą ustawiane belki. To tu, to tam rozlegają się okrzyki, chwilę później dolatuje zapach spalenizny. Ktoś rozpała przy bramie duży ogień, dym wdzierają się do środka przez wąskie okno. Śpiący budzą się i zaczynają modlić. Dzieci płaczą, matki je uspokajają. Mężczyźni wołają do siebie w ciemności, że muszą wytrwać. Tymczasem na zewnątrz panuje duże zamieszanie. Podzwaniają miecze, rozlegają się krzyki i wrzaski.

– Spalimy ich żywcem, morderców Zbawiciela – woła ktoś.

Wiwatowanie, gwizdy, krzyki, śpiew.

– *Deus lo volt!*

Rozlega się rytmiczne walenie w stare drzwi, które szybko zaczynają się palić. Ludzie w środku wpadają w panikę, biegną do wyjścia, uświadamiając sobie, że znaleźli się w pułapce.

Rabin Obadiasz, wiedząc, że grozi im katastrofa, zabiera z dwoma mężczyznami prostą menorę, chanukiję, stare zwoje Tory, sukienkę na Torę, barani róg, spis wiernych ze wsi, listy, które dostał od czcigodnego Todrosa z Narbony, i inne dokumenty, na koniec kilka rzemieni modlitewnych, które pozostały, i skórzaną torbę z dwudziestoma złotymi monetami. Pakują wszystko do dużego worka, najmłodszy z trójki bierze go na plecy. Otwierają tajne przejście na tyłach synagogi, małe drzwiczki zaryglowane od niepamiętnych czasów, przewidziane na wypadek ucieczki i zbudowane po pożarze z ubiegłego wieku, o którym była mowa w starych opowieściach. Drzwiczki otwierają się z trzaskiem, mężczyźni wychodzą na uliczkę, która półkolem biegnie przy południowych murach obronnych. Wchodzą na schody tuż przy Le Petit Portalet. Z powodu hałasu i zamieszania strażnika nie ma na posterunku, rzucił się w wir walki we wsi. Trzech mężczyzn przekrada się na górę, gdzie po dziś dzień biegnie kozia ścieżka – dróżka, która z lewej strony prowadzi również do wieży. Minawszy skałę, skręcają w kierunku południowym, po czym zsuwają się stromo w dół, lądują w zaroślach gdzieś w combe Saint-André, schodzą niżej do wąskiej, trudno dostępnej rozpadliny. Znajdują się tam dwie niegłębokie groty, położone jedna nad drugą. Ukrywają rzeczy z synagogi w mroku górnej pieczary. Opuszczają się do dolnej jaskini, żeby wąską rozpadliną wrócić na drogę. Tam wyłania się obudzony z zimowego snu niedźwiedź; w mgnieniu oka łapie pierwszego z mężczyzn, silnymi łapami łamie mu kręgosłup. Drugi mężczyzna popycha przed sobą starego rabina, zdyszani uchodzą z życiem, raniąc się o sztywne małe palmy, krzewy jałowca i płataninę gałęzi. Uciekają z powrotem na górę, a następnie na dół, w stronę wsi. Chcą ponownie minąć Le Petit Portalet, ale tam trwa bójka między kilkoma strażnikami i paroma pijanymi osobnikami. Nie da się przejść. Uciekają na samą górę aż za zamek, gdzie dziesiątki ciężko uzbrojonych mężczyzn wylegają z twierdzy. Docierają do północnej drewnianej wieży, lecz schody są zabarykadowane. Młodszy mężczyzna w panice odsuwa na bok kilka belek, przeciska się przez otwór, zbiega ze schodów. Joszua Obadiasz nie jest już w stanie dalej za nim iść. Jego serce grozi zatrzymaniem. Dysząc, osuwa się na ziemię, sięga ku piersi, z bólu kręci mu się w głowie. Jest tak mocno pokaleczony, że musi ocierać krew z oczu. Tu, z góry, zbliżywszy się do krawędzi wąwozu, ma w ostrym świetle księżycy widok na całą katastrofę rozgrywającą się w spokojnej górskiej wiosce. Słyszy płacz i wrzaski przy synagodze, kilku mężczyzn tłoczy się na schodach, uderza wielką belką w bramę wejściową. W ciemności płomienie wzbijają się wysoko, iskry grubymi kłębamися wlatują ku czarnemu nocnemu niebu.

Tymczasem większość kobiet i dzieci przemknęła się niewielkim sekretnym wyjściem aż do murów obronnych, ale tam też natknęła się na żołnierzy. W synagodze kilku silnych

mężczyzn chwytają za to, co jest pod ręką, przyciśnięci do siebie podchodzą do tłących się drzwi, próbują je sforsować. Po pewnym czasie płomienie wślizgują się do środka. Chwilę później brama się poddaje. Paru mężczyzn chce wyskoczyć na zewnątrz i od razu nadzieją się na miecze i lance, które na nich czekają. Śmiertelne rżenie sprawia, że inni w pomieszczeniu cofają się do samego tyłu; tajne drzwiczki zostały zamknięte od zewnątrz. Ktoś rozbija je podstawą ciężkiego świecznika; ludzie biegną w noc, wyżej położonym zaułkiem. Kilku spośród piechurów, tymczasem wspomaganych przez chłopów, którzy też wdarli się do wsi, od razu dogania uciekających i zabija ich.

Dopiero teraz rozpętuje się piekło. Zaczyna się rzeź, która trwa do rana. Płaczące dziecko zostaje ciśnięte główką o ścianę; krew pryska na płaszcz sprawcy. Kobiety są gwałcone z nożem na gardle. Mężczyźni, którzy stawiają opór, są powaleni pałkami, potem kopani i zakłuwani na śmierć. Wielki człowiek, zwykle tak dobronudny Roger de la Loge, z rykiem rzuca się na paru mordujących, trzech kładzie na ziemię. Rzuca się na niego dziesięciu mężczyzn, chwytają go, jeden wykluwa mu oczy, inny na wylot przebija szyję sztyletem. Plując krwią, Roger jeszcze próbuje się podnieść. Woła coś niezrozumiałego, pada u ich stóp. Jego głowa zostaje zmiążdżona dużym kamieniem.

Deus lo volt! Coraz więcej mieszkańców wybiega z krzykiem ze swoich kryjówek, próbują dostać się do bramy, żeby uciec. Są ścigani przez wyjąty tłum i powaleni na ziemię. Kobiety są chwywane, gwałty wywołują odurzenie, podnosi się fala pisku, lamentu, krzyku. Żądza krwi staje się pragnieniem, a pragnienie ekstazą; odchodzi dżganie, rąbanie, tłuczenie na śmierć i zdeptywanie. Ludzka pulpa sączy się po ulicznych kamieniach, gdzie w innych okolicznościach parzą się ślimaki; księżyc stoi wysoko i cicho nad doliną, a Droga Mleczna skrzy się w swoim wiecznym powabie.

Zaalarmowany krzykami kobiet Jakub pędzi z powrotem z synagogi, woła matkę, słyszy jej odpowiedzi gdzieś przy Grande Rue i dołącza do niej. W ciemności Chamutal ucieka teraz z dwójką starszych dzieci i niemowlęciem do góry na skalną ścianę, gdzie za krzewami znajduje się znana jej grotka. Zostaje zatrzymana przez paru wojowniczych mężczyzn niosących pochodnie.

– No popatrz, jasna suka, która wypełzła z pułapki na parchy – odzywa się jeden z nich.

– Co ty tu robisz? Wyglądasz jak chrześcijanka.

Wyciąga sztylet. Chamutal przyciska niemowlę, zasłania sobą dwoje pozostałych dzieci i błaga:

– Darujcie im życie, darujcie nam życie.

Unosi ręce w geście modlitwy i zanim się spostrzeże, recytuje chrześcijańską modlitwę w *langue d'oïl*, języku północy, języku swojej młodości.

Mężczyzna przypatruje się jej jadowniczo i podejrzliwie.

– Znikaj – mówi – ale te dwa pisklaki zostają tutaj na wypadek, gdybym się rozmyślił. Jak ty się właściwie nazywasz, skarbie? – Uśmiecha się.

Bez wahania wymienia swoje chrześcijańskie imię.

– Ho, ho, Adelaïs – szczerzy się. – A kto jest twoim mężem?

– Jest gdzieś tam – odpowiada z wahaniem i nieokreślonym gestem wskazuje na drugą stronę wsi.

Mężczyzna patrzy na nią jeszcze bardziej fałszywym wzrokiem, nadal się uśmiechając.

– Tak? A te dzieci? Te ciemne parchy są twoje? Chyba nie? Ich imiona, prędko.

Chamutal się zacina, nie potrafi na zawołanie wymyślić innych imion niż ich żydowskie, uświadamia sobie swoją zdradę; wybucha płaczem.

– Och, Jakobie – mówi. – Jakobie, chłopcze, nie odchodź.

– Co jest? – warczy do niej gbur, podczas gdy wszędzie wokół ludzie umierają i krzyczą w agonii. – Chrześcijanka, która chce ratować Żyda? Zabieraj się albo pokażę ci jeszcze coś innego.

Ciągnie dzieci ze sobą w mrok, te krzyczą wniebogłosy, wołają matkę, która nadal trzyma niemowlę przyciśnięte do piersi; tymczasem postać, która wyłoniła się za nią, szczerząc zęby w uśmiechu, trzyma ją w żelaznym uścisku. Czuje, jak podbrzuszem ociera się o jej pośladki, aż dostaje drgawek, puszcza ją, spluwa na kamienie i odchodzi.

Dawid jako jeden z ostatnich wybiega z synagogi, gdzie próbował bronić tych, którzy jeszcze się tam ukrywali. Rozpoznał głos swoich krzyczących dzieci, w panice pędzi na oślep za mężczyznami, którzy je zabrali. Wpada wprost na miecz prostaka potężnej budowy, który ze śmiechem wyciąga go z jego piersi i zadaje ostateczny cios. Dawid upada, gdy tymczasem jego żona z najmłodszym dzieckiem biegnie do grotty, gdzie ma nadzieję ukryć niemowlę, żeby potem odszukać dwoje pozostałych dzieci. Ale nie ma już powrotu. Pochyliła się nad niemowlęciem, przykłada je do piersi, żeby je uspokoić.

Rozwidnia się, kiedy hałasy ustają. Wieś jest usiana trupami, synagoga jeszcze dogorywa, cała żydowska dzielnica stanowi pobojowisko, a psy błąkają się między okaleczonymi ciałami, bezładnie leżącymi dokoła jedne na drugich. Dopiero wtedy Chamutal budzi się z panicznego oszołomienia. Z bijącym sercem myśli o dzieciach i mężu, chce pójść ich szukać, bierze śpiące niemowlę, przyciska je w dużym szalu do piersi. Schodzi drogą przy Le Petit Portalet, wszędzie widzi zwłoki, biegnie uliczkami, wpada w panikę, woła dzieci, wśród innych ciał znajduje okaleczonego martwego męża. Osuwa się na ziemię i płacze niczym opętana. W cichy poranek brzmi to jak wycie zwierzęcia, nic ani nikt we wsi się nie porusza. Brama Portail Meunier zwisa z zawiasów częściowo wykrzywiona w porannym świetle. Wszystkie bramy miejskie są otwarte na oścież. Na równinie rżą konie. Słońce wynurza się nagle zza wzgórza, rzuca jaskrawe światło na koszmar nocy.

Rajmund z Tuluzy, który miał niespokojny sen w bogato zdobionym namiocie półtora kilometra dalej na lewym brzegu rzeki, wychodzi z obozowiska. Widzi kilka dogorywających ruin we wsi, pyta pomocników, co tam się wydarzyło, domaga się wyjaśnień o zajściach minionej nocy.

– Nadchodzą jedynie nieco bezładne wieści o mieszkańcach wsi, którzy podobno chcieli pozabijać śpiących rycerzy, wobec czego ci postępowali w obronie własnej, miłośnicy panie.

Obóz się zwija, rozbrzmiewa trąba, zaimprovizowane namioty zostają złożone. Rycerze, którzy nocowali we wsi, wychodzą z domów, schodzą uliczkami i przez Grande Porte opuszczają wieś. Na równinie budzą się rzesze tych, którzy spali pod gołym niebem. Wszędzie rozlega się ustalone hasło do zbiórki: *Toulouse! Toulouse!*

Psy szczekają, pozostałe przy życiu owce beczą, dzieci płaczą razem z nimi, muły ryczą, wozy poruszają się, skrzypiąc. Rycerze sprawdzają szeregi piechurów, wydają rozkazy. Potem orszak rusza, udając się w stronę dzisiejszego Grand Vallat, do La Loge i dalej na wschód. Rajmund z Tuluzy, uroczyście odmówiwszy z Adhémarem z Le Puy poranne modlitwy, przykłęka, otrzymuje błogosławieństwo i na czele swoich oddziałów mężnie ciągnie w kierunku Plateau d'Albion. Na górze skalnej ściany, nad wąwozem, gdzie stoi chapelle Saint-André, płacze wyczerpany rabin Jozua Obadiasz. Z trudem wstaje i wlecze się, mijając zamkową wieżę, przy południowych murach twierdzy widzi na wpół zniszczony Petit Portalet, schodzi niżej, znajduje opętanczo łkającą Chamutal, widzi zdewastowaną, spaloną synagogę. Przy

romańskim łuku na lewo od schodów leży martwy syn naczelnego rabina Narbony, w kałuży czarnej zakrzepłej krwi.

6

Ja także widzę słońce wylaniające się nad wzgórzem, nagle i ostre. Pisałem przez całą noc, jestem zmęczony. Ostrożnie, żeby nie zbudzić śpiącej żony, otwieram okiennice i okno gabinetu. Poda mną niższe uliczki wsi, dalej równina nad Nesque, pola lawendowe i wysoka, poprzerastana dzikim orkiszem trawa. Szumiące korony drzew nad wijącą się rzeczką. Słyszę świergot pierwszych jaskółek. W wyobraźni widzę, jak stary Obadiasz, który z dwoma mężczyznami uciekł nocą na wzgórze, żeby wśród skał ukryć zwoje Tory, zawartość genizy i złoto synagogi, teraz wraca, potykając się, załamany, jak ślepiec po omacku szukający wśród martwych, i jak widzi jasnowłosą żonę młodego rabin szlochającą nad zwłokami zamordowanego męża. Zapach krwi jest nie do zniesienia; wszędzie leżą rozorane ciała, dziki pies zajada się mózgiem sączącym się z czaszki. Metr dalej na bruku leży płaczące niemowlę. Stary rabin w ciszy roni łzy, kładzie rękę na ramieniu kobiety.

Z doliny dochodzi dźwięk rogu oraz hałas koni i mężczyzn, którzy zbierają się do drogi; nastał dzień, z ciężkimi głowami klękają w nabożnej modlitwie, dziękując Bogu za wielkie zadanie, jakie im powierzył. Obadiasz podtrzymuje zdruzgotaną kobietę, wprowadza ją do swojego domu, którego drzwi zostały całkowicie zniszczone. Własną żonę, śmiertelnie przerażoną i roztrzęsioną, znajduje w piwnicy. Ma zadrapania na twarzy i ślady pożogi na ubraniu.

Schodzę uliczką, idę do piekarni po chleb i croissanty. Jest koniec sierpnia, dolina ukazuje swoją najcudowniejszą twarz; nad ruinami chapelle Saint-André, po wschodniej stronie nad przepaścią, niebo jest ciemnofioletowe i nieskazitelne, zimne i czyste. Wijące się koryto rzeki pokrywa biały parujący wąż mgły. Wszystko jest odludne i spokojne; mam wrażenie, jakbym budził się z koszmarnego snu.

Piekarz zauważył moje podkrążone oczy.

– *On a fait la fête?*^[2] – pyta szelmowsko.

– *Oui, la fête* – odpowiadam – *en effet. La fête* ^[3].

W domu zaparzam mocną kawę, siadam w słońcu na tarasie. W winorośli brzęczy mnóstwo pszczoł. Nad wyżyną Albionu, gdzie dwadzieścia lat temu znajdował się jeszcze francuski arsenał nuklearny, przelatują dwa myśliwce, które zdają się rozpruwać niebo. Zostawiają za sobą dudniące echo, jakby przez wiele minut powietrze było gęściejsze niż zwykle. Potem wraca cisza. W okolicy Le Viguiet rozbrzmiewa parę owczych dzwonek.

Trzaskają drzwi, po czym znowu jest cicho.

Po śniadaniu wspinam się na skały. Stara ścieżka do dawnej żydowskiej dzielnicy nadal istnieje.

Dziesięć metrów dalej wchodzę po siedmiu wielowiekowych, obłamanych kamiennych stopniach, które leżą na wpół ukryte w suchej trawie. Na lewo od nich widać jeszcze duży romański łuk piwnicznego sklepienia. Dochodzę do łąki, na której przez całe lato przesiadywałem w błogiej ciszy, czytając na ciepłej bryzie. Wiem, że od dawna znajduje się tam studnia, jest przykryta kawałkiem metalowej blachy falistej i paroma ciężkimi deskami. Spoglądam w górę na idealnie czyste niebo, na którym kilka wron, głośno kracząc, znika za szczytami skał. Jak we śnie idę do ruin Le Petit Portalet, a stamtąd ścieżką, która prowadzi mnie na wysokość wieży.

Dróżka szybko pnie się w górę i zanim się człowiek obejrzy, stojąc właściwie plecami do jednego z wielu wzniesień Mont Ventoux, ma przed sobą rozległy widok aż po okolice Montagne de Lure.

Prognozy przewidują falę upałów. Listonosz żółtym samochodzikiem przejeżdża pod lipami w stronę wąwozu. Zbliżam się teraz do wielkiej skały, która się kiedyś oderwała i wciąż jeszcze, w swojej ciężkiej i chwiejnej równowadze, napiera na ruiny wiejskiego muru – ogromny ciężar, za którym skrywają się niegłębokie jaskinie.

Gdzie tak naprawdę Obadiasz ukrył kosztowności z synagogi?

Tego nikt nie wie, ale ciągle jeszcze krążą opowieści na ten temat.

Obadiasz zabrał tę tajemnicę do grobu.

Gdy krzyżowcy wraz z całą chaotyczną bandą idącą ich śladem odeszli w stronę północnego wschodu w kierunku Digne, próbował zaopiekować się zrozpaczoną Chamutal. Niewiele mógł zrobić. Wszyscy we wsi ucierpieli, również chrześcijanie, chociaż ich nie wymordowano. Całe bydło zostało wyrżnięte, stodoły i piwnice splądrowane, niektóre stajnie rozebrano, ponieważ krzyżowcy potrzebowali belek. Skończyło się zboże, skończyło się mięso, mała trzoda została zdziesiątkowana, skończyło się zabeczkowane niedawno młode wino. Jest jesień, wszystkie zapasy przepadły i klęska głodu wisi w powietrzu.

Obadiasz czuje bezsilność; nie mają z żoną warunków, żeby synowej naczelnego rabina zapewnić godne utrzymanie. Wysła posłańca do Narbony, by przekazał straszną wiadomość o śmierci syna i uprowadzeniu wnucząt. Goniec wraca po tygodniu; Chamutal nie może pojawić się w Narbonie, w obecnej sytuacji to stanowczo zbyt niebezpieczne.

Siedząc na gołej podłodze, okryta żałobą kobieta przez długie tygodnie pozostaje w pokoju obwieszonym czarnym płótnem. Nosi jedynie surowe szaty pokutne i waha się nad zwyczajami, na które jeszcze jej pozwolono, by jako kobieta wysokiego stanu dała wyraz swojej żałobie. Modli się i szepcze przez cały czas, ale jej słowa są niezrozumiałe. Prawie nikt z nią nie rozmawia; dwa razy dziennie ktoś przynosi jej prosty posiłek składający się z wodnistej zupy i kawałka chleba. Naczynie nocne przesuwają pod drzwi, zanim ponownie zaciągnie ciężki skobel. Żona Obadiasza słyszy czasem, że przestawia meble. Nocą otwiera prymitywne okno. Mówi do siebie. Po wielu tygodniach smród w pokoju jest nie do zniesienia. Zostaje zwolniona z dalszej żałoby. Wychodzi z pokoju – upiorna postać z zaczerwienionymi oczami, wychudzona i wycieńczona, ogarnięta szaleństwem samotności.

Rabin z żoną cofają się na jej widok. Zostaje dla niej zagrzana woda. Zioła nad ogniem. Ich ostry zapach. Wycie wilków w lasach pod Saint-Jean. Cisza. Mruga oczami, napotyka blask bezlitosnego, nieskończonego światła nad opuszczoną wyżyną. Stłumione odgłosy wsi. Dziecko, którym zaopiekowała się starsza akuszerka, zostaje jej włożone w ramiona. Życie w niej wraca, ale jeszcze prawie wcale tego po niej nie widać.

Ryszard Todros prosi Joszua Obadiasza o napisanie listu polecającego dla Chamutal i wysłanie jej w drogę, na wschód, w pełnej dyskrecji, lecz z pewnością nie z powrotem do środowej Francji. W Narbonie roi się od normandzkich rycerzy udających się na Sycylię i południe Hiszpanii: rekonkwista znowu się rozpala.

Obadiasz pisze list polecający.

*

Zapatrzony, długo siedzę przy oderwanej skale, która znajdowała się wprost nad synagogą. Jest bezgranicznie cicho. Nie istnieje czas, tylko przestrzeń. Widzę, jak wieś się budzi, mężczyzna w niebieskich spodenkach przeciąga się na tarasie i spogląda na dolinę. Na ukos pod słońce traktor jedzie wąską dróżką ku lawendowemu polu, widzę go, ale nie słyszę. Dźwięczy

dzwonek w piekarni, ktoś mówi „*bonne journée*”. Szczeka pies; pieje kogut; kobiecy głos woła: Mathieu!

Schodzę na dół, mijam ruiny, w których ponownie zatrzymuję się przy studni w wysokiej trawie. Spłynął na mnie głęboki, dziwny spokój. Nieprzespana noc wprawiła mnie w lekki trans. Chcę się położyć obok śpiącej żony, ale jestem zbyt rozbudzony, zbyt czujny. Z powrotem siadam przy małym biurku i podnoszę wzrok. Przede mną na ścianie wisi oprawiona w starą ramkę kopia uszkodzonego prawie tysiącletniego hebrajskiego manuskryptu. Są w nim dziury. Jest niezmiernie, smutnej piękności.

MNYW 1096

„Wykonywanie sprawiedliwości i prawa miłsze jest Panu niż krwawa ofiara” (Prz 21,3^{4d}). Ponadto: „Więc i wy miłujcie obcego przybysza, gdyż sami byliście obcymi przybyszami w ziemi egipskiej” (Pwt 10,19). Spokój i opanowanie, obfitość pokojowych wieści, wiedza i dobroczynna czystość ze strony Stwórcy Ducha dla wszystkich, którzy kroczą właściwą drogą; dobre imię dla tych, którzy postępują ścieżką doskonałości; światło i szczęście do uradowania dusz; dziedzictwo udziałem wszystkich, jedna trzecia ziemskiego prochu; naprawianie ruin, wzajemne wspieranie się i zjednoczenie w stosownej radości. Do ludu naszego, Szlachetnych narodu, wielkich spośród naszych tłumów, do braterstwa synów Izraela, w jakichkolwiek osadach przebywają, do dobroczyńców narodu, tamaryszka zastępów Izraela, ucieczki zrozpaczonych, do tych, którzy modlą się w krasie swych dobrych czynów, którzy „swe ciała nadstawiają bijącym, a policzki tym, którzy wrywają im włosy”, do nakazujących swojej duszy: „Pochyl się, abyśmy przeszli po tobie” (Iz 51,23). To wszystko ich spotkało, a jednak nigdy nie zapomnieli Imienia Przenajświętszego, Pana Izraela. Niech da On ludom Znaki, niech zjednoczy błakających się, naszych rozproszonych zaś po całej ziemi zbierze w swym Świętym Domu, i niech nas osiedli na górze naszych ojców, jak napisano: „Gdyż na mojej świętej górze – mówi Wszechmocny Pan – tam służyć mi będzie cały dom izraelski” (Ez 20,40). Od nas, społeczności z MNYW, „najmniejszych owiec” (Jr 49,20), zgębnionych i załamanych, którzy żyją pośród p[ł]sów..., aż po tych niewielu z nas, co z wielu pozostali, „jak maszt na szczycie góry i jak sztandar na wzgórzu” (Iz 30,17), wystawionych „na skwar we dnie i na chłód w nocy” (Jr 36,30), niech Imię Pana będzie błogosławione na wieki wieków. Wszelako, mimo powagi naszej żałości i siły naszego smutku, wznosimy błagalną modlitwę, upraszając Naszego Króla, aby przyspieszył radosne wieści i zniósł naszą diasporę „tronem chwały, wywyższonym od początku” (Jr 17,12), jak jest napisane: „i zbierze wygnańców z Izraela, a rozproszonych z Judy zgromadzi z czterech krańców świata” (Iz 11,12).

Niniejszym powiadamy szlachetnych panów o przypadku tejże wdowy, prozelitki, której mężem był pan R. Dawid – niech dusza jego spoczywa w spokoju – będący członkiem gminy Narbony i członkiem rodziny R. Todrosa w Narbonie – niech pamięć o nim niesie nam błogosławieństwo. Przywędrował tu sześć lat temu z powodu swojej żony, tejże prozelitki, która wcześniej była chrześcijanką i przystąpiła do Świętego Przymierza; opuściła dom swych ojców, a tym samym również wielki dobrobyt w dalekim kraju i przybyła tu w Imię Pana, by znaleźć schronienie pod skrzydłami Szechiny. Opuściła swych braci i wysoko postawionych spośród rodziny i żyła w Narbonie; R. Dawid zaś, wspomniany wcześniej zmarły, poślubił ją i był z nią ponad sześć miesięcy, kiedy się dowiedział, że jej szukają. Dlatego uciekł z nią do naszej miejscowości, gdzie Najwyższy ten pościg potępił, sprawiedliwy jest On i sprawiedliwy jest [...]. Mąż został zabity w synagodze, a dwoje dzieci zostało uprowadzonych – chłopiec o imieniu Jakub i dziewczynka o imieniu Justa, ona w wieku trzech lat, a wszystko, co posiadali, zostało splądrowane. Wdowa przeżyła, rozpaczając i płacząc nad swoim nieszczęsnym stanem i ubóstwem, ponieważ nie było nikogo, kto by się o nią zatroszczył; i pozostał jej syn w wieku [...] miesięcy. Tak więc jesteśmy opuszczeni, potrzebujący i obnażeni, bez pieniędzy, by jej i

osieroconemu synkowi zapewnić utrzymanie. Dlatego też postanowiliśmy zwrócić się do naszych łaskawych Panów, by ich powiadomić o nieszczęsnym jej stanie i smutku. A teraz, o Panowie nasi, wznieście oczy ku niebu i miejcie współczucie dla niej w biedzie, w nieszczęsnym stanie jej i dzieci, które zostały pojmane, mając przy tym na względzie jej zamordowanego małżonka. „Może zmiłuje się Pan, Bóg Zastępów” (Am 5,15), by mogła odnaleźć swoje dzieci. Dlatego prosimy przyjąć ją z życzliwością i traktować wielkodusznie, tak jak traktujecie każdego podróżnego i przechodnia, a będziecie mieć udział w świecie przyszłym. „Gdy potem będziesz wołał, Pan cię wysłucha, a gdy będziesz krzyczał o pomoc, odpowie: Oto jestem!” (Iz 58,9). Niech Najwyższy, który niech będzie błogosławiony, wysłucha wszystkich Waszych błagalnych modlitw, jak jest napisane: „w ten sposób wystawcie mnie na próbę, czy wam nie otworzę okien niebieskich i nie wyleję na was błogosławieństwa ponad miarę” (Ml 3,10). [...] Tak rzekł Pan. W swojej wspaniałości wynagrodzi Was podwójnie i w radości zaprowadzi do miejsca Swej Chwały [...] Błogosławiony] jest Pan w swym miłosierdziu. Amen. Sela. Jozua b. Obadiasz, pokój z nim.

VI

PRZEPRAWA

1

Miesiące następujące po pogromie upływają dla tych, którzy przeżyli, w zbiorowym szoku. Oliwki są zbierane i tłoczone w zupełnej ciszy; nie śpiewa się już starych pieśni. Nadchodzi zima, wszystkie zapasy utracono, pola są zdeptane i spustoszone, tu i tam leżą ścięte drzewa, wydaje się, że życie wymknęło się spod kontroli i straciło sens. W niektórych domach przez wiele tygodni rozlegają się skargi umierających z zakażonymi ranami. Na razie Chamutal nie może opuścić wsi; noce robią się przenikliwie zimne, głoduje razem z innymi i przetrzymuje grudzień. W noc Bożego Narodzenia słyszy w uliczce nabożne modlitwy. W na wpół zniszczonej synagodze panuje przerażająca cisza. Chamutal urządziła Dawidowi prosty pochówek na żydowskim cmentarzu, bez ceremonii. Później każe odrąbać kawałek kamienia i wyryć na nim jego imię. Mało kto się teraz czegoś podejmuje. Zbiera się chrust na wzgórzach. Poluje się na przepiórki, króliki i bażanty. Śpi się przy tłącym się ognisku. Oddycha się i dlatego nie umiera.

Teść w Narbonie nie siedział z założonymi rękami. Po śmierci syna rozważał możliwość sprowadzenia ciała do domu w celu zabalsamowania; dzięki zimnu zapewne zyskaliby trochę czasu, zanim doczesne szczątki zaczęłyby się rozkładać. Szybko jednak uświadamia sobie, że to wykluczone, ruch na drogach stanowi zbyt duże ryzyko. Nakazuje wysłać z Narbony wiadomość do kilku żydowskich gmin położonych na drodze do Jerozolimy, prosząc o informacje o uprowadzonych wnukach.

Dokąd Chamutal ma się udać? W swoim liście Obadiasz wspomina o jej całkowitym zdruzgotaniu. Chamutal w smutku sięga do spraw z dzieciństwa. W najmroczniejszych momentach tęsknota jest dla niej oparciem. Myśli o potajemnym powrocie do teściów w Narbonie. Myśli o wstąpieniu do klasztoru. Myśli o powrocie do Rouen i błaganu o przebaczenie. Jest jak najbardziej świadoma tego, że po powrocie może ją czekać spalenie na stosie albo męczeńska śmierć. Nie wie, że mniej więcej w tym samym momencie w jej rodzinnym mieście doszło do równie potwornego pogromu: prawie cała żydowska wspólnota została zapędzona przez oddział krzyżowców do kościoła. Każdego, kto nie chciał się nawrócić, z miejsca zabijano – dzieci, kobiety, starców, mężczyzn. Również i tam synagogę podpalamo.

Tak jak podczas swoich pierwszych tygodni tutaj, zamieszkuje u Obadiasza i jego żony. Machinalnie troszczy się o dziecko; prawie nie ma sił, w wyniku szoku straciła mleko. Dziecko całymi dniami leży w małej alkoWie, w której panują wilgoć i chłód. Chamutal szukała jeszcze swojej pomocnicy Agaty; ani śladu. Poszła jej wypatrywać aż na skraj wąwozu; tam spędziła trudną godzinę, modląc się i płacząc, dręczona pragnieniem rzucenia się w przepaść. Kręciło jej się w głowie, gdy stała nad brzegiem, wiatr wiał jej w twarz. Potem pozwoliła ciału opaść do tyłu, w krzaki. Zeszła na dół, w milczeniu wróciła do swoich zajęć.

Mieszkańcy wsi żywią się tym, co znajdują. Cała pozbawiona środków do życia i poraniona społeczność z trudem daje sobie radę. Zima na tej wyżynie potrafi być kapryśna; o wczesnych godzinach porannych słupek rtęci może spaść daleko poniżej punktu zamarzania, by koło południa, gdy nie wieje, w zimowym słońcu na chwilę wspiąć się do około osiemnastu stopni, tak że przez kilka godzin można się wygrzewać od strony zawiętrzonej pod osłoną muru. W te dni, kiedy jest silny mróz, ze starych kominów wije się dym z opalanych dębina ognisk, jak we

śnie. Styczeń i luty są dojmująco zimne. Gdy pada śnieg, trudno dotrzeć do wsi; przełęcz i drogi zostają zasypane. Czasem przez wiele dni na wzniesieniach utrzymuje się nieprzenikniona mgła. Tygodniami prawie nic się nie porusza. Chłopi śpią blisko drobnej trzody ze względu na ciepło; ale drobnej trzody prawie już nie ma. Jeden pasterz, który w chwili tragedii błąkał się ze swoim stadem po wzgórzach, niczego nie przeczuwając, po wielu dniach zszedł z owcami na dół. Jego zwierzęta zostają po kolei poświęcone, żeby całą wspólnotę zaopatrzyć w skąpe racje. Gromadzi się resztki owoców pozostałych na strychach, niewielki zapas orzechów i ostatnie trufle. Wykopane zostają rzepa, marchew, brukiew. Zrywa się i mieli zioła z odrobiną pozostałego zboża, parzy herbatę z tymianku i szałwii. Doi się parę uchowanych kóz i owiec. Robi się ser, wszystko w małych porcjach dla poranionej wspólnoty. Dzieci patykami z lepem łapią małe ptaki zimowe. Skubią je, wrzucają do gorącego popiołu i obgryzają; nadal jednak mają puste żołądki. Wokół ruin zniszczonych domów i synagogi przez wiele tygodni unosi się smród spalenizny i padliny.

W wartko płynącej wczesną wiosną Nesque można łowić pstrągi. Od czasu do czasu ktoś ma szczęście i udaje mu się małą drewnianą dzidą lub dużym kamieniem zabić rogacza albo łanię. Przywleka wtedy zdobycz do wsi, gdzie jest witany jak bohater. Po drugiej stronie rzeki widać wilki włączące się po pastwiskach blisko skał. Niekiedy wyją przez całą noc, zwłaszcza gdy po dolinie hula przeszywający wiatr z północnego wschodu. Zza wzgórz przybywa kilku kupców z krytym wozem pełnym fig i melonów w kwaśnym winie. Mieszkańcy zbierają się, wysuplują parę monet, upijają się tego wieczoru przy ognisku i milczą. Przy cmentarzu żydowskim, na dole wzdłuż drogi do skalnej rozpadliny leży w nieładzie kilka płaskich kamieni, na których kamieniarze muszą jeszcze wyryć nazwiska. Ponieważ jest zimno i sucho, płytko pogrzebane ciała, owinięte w nędzne płótno i zabalsamowane olejem ziołowym, rozkładają się powoli. Pokrzywa i przytulina rozplenają się tej wiosny po chłodnym i wietrznym kirkucie.

Tysiąc lat później można znaleźć jeszcze parę prymitywnych dłut, niemal całkowicie przerdzewiałych. Archeolodzy amatorzy, którzy w okolicy spędzają wakacje, dziwią się, że w kępce zarośli leżą ot tak narzędzia tego typu. Amerykański uczyony Norman Golb pisze w 1979 roku, że słyszał w Monieux, jak kilku mieszkańców mówiło o żydowskim cmentarzu, ale nikt nie potrafił mu powiedzieć, gdzie on się dokładnie znajdował.

2

W swoim liście Obadiasz pisze, że w Moniou nie ma nikogo, kto mógłby się zatroszczyć o Chamutal. Zaznacza też, że są bez pieniędzy, to znaczy bez zapasu złotych monet, które Dawid dostał od ojca w Narbonie, zostały bowiem skradzione w czasie pogromu. A może ukrył złoto w synagodze i Obadiasz je zabezpieczył? To wykluczone, w przeciwnym razie zaraz po pogromie oddałby je wdowie. Bez środków do życia, „potrzebujący i obnażeni”, jak zdecydować w takich okolicznościach, w którą stronę uciekać?

Ostatecznie Chamutal, wyczerpana trawiącymi ją wątpliwościami o losie dzieci, postanawia udać się na poszukiwania. Długo się nad tym zastanawiała. Według niej istnieje tylko jedna możliwość: rycerze zabrali je ze sobą w drodze do Jerozolimy. Musi więc pójść za nimi, narażając życie. Rabin z żoną przekonują ją: to szaleństwo, nie ma najmniejszego sensu, sama przez to tylko zginie. Kobieta wydaje się jednak nieugięta, jest głucha na argumenty. Następnego dnia rabin wręcza jej list polecający, skierowany do każdej gminy żydowskiej, z prośbą o opiekę nad nią. Błaga Chamutal, żeby była ostrożna i nie podejmowała żadnych pochopnych kroków. Tej nocy przewraca się z boku na bok, rozmyślając. Postanawia, że ucieknie w chwili, gdy inni będą jeszcze spali. Ponieważ pcha ją do tego rozpacz, wczesnym rankiem z bólem serca opuszcza wysoko położoną dolinę, która stała się jej droga. List Obadiasza, razem z tefilin Dawida, wsadza do torby, którą przywiązuje do pasa. Nie żegna się z tymi paroma ludźmi, którzy się o nią troszczyli.

Samotnie, z jedynym pozostałym jej dzieckiem na ręku, rusza 5 kwietnia 1097 roku przez dolinę w kierunku Saint-Jean-de-Sault. Pogoda jest korzystna, Chamutal zamierza iść prosto na południe i w ciągu tygodnia dotrzeć do Marsylii. Przemierza początkowo lekko pagórkowatą okolicę, ogląda się jeszcze raz, kiedy zieleniejąca się dolina Nesque niknie za nią we wspaniałej świeżości wiosennego dnia, przechodzi przez Fôret de Javon, następnie przez grzbiet wzgórza, na którym dzikie drzewa oliwne barwią się jasną szarością. Niemowlę na jej piersi śpi w letnim wietrze. Na jaśminy jest jeszcze za wcześnie, w trawie kołyszą się pierwsze polne kwiaty, małe i kolorowe. Jest zdana na otoczenie, przypadek, przestrzeń i wszędzie może jej się coś stać. Będą noce, które spędzi, nie zmrużywszy oka, ponieważ chce przeżyć. Jest obojętna na wszystko dokoła. Znajduje ścieżkę przez wysokie skały, czasem chowa się za kamieniem, gdy słyszy zwierzęta, żyje jak dzika. Siedzi nocami, bezwiednie się kołysząc, odmawia na przemian żydowskie i chrześcijańskie modlitwy, śpiewa niemowlęciu piosenkę i płacząc, zasypia, budzi ją poranne słońce.

Wybiera wzniesienia, to najszybsza droga i oferuje dobry widok. Za Saint-Saturnin-lès-Apt dociera do niżej położonego otwartego terenu, teraz może się prędszej posuwać naprzód. Chociaż jest słaba i niedożywiona, mechanicznie idzie dalej, aż krwawią jej stopy, wtedy gdzieś upada. Zebrze o odrobinę jedzenia. Czasem leży przez godzinę, śpiąc gdzieś pod dębem ostrolistnym. Idzie dalej przez równinę przy Villars, potem na południe aż do bram Apt. Znajduje schronienie u dwojga prostych ludzi, którzy się nad nią litują. Zostaje u nich kilka dni. Nie mówi, że stała się Żydówką; po raz drugi w głębi serca czuje, że odstępuje od swojej nowej wiary, ale nic innego jej nie pozostaje. Jej niemowlę z trudem nabiera sił, Chamutal cieszy się, że jest kozie mleko dla dziecka. Już od tygodni nie może go karmić piersią z powodu stresu i smutku, a także dlatego, że jej własna dieta była zbyt jałowa i uboga. Śpi na słomie w małej stajni, obok cicho

przestępujących z nogi na nogę zwierząt. Wszystko w niej samej i wokół niej jest mroczne, czuje oddech dziecka na piersi. Okaleczona głowa męża wyskakuje czasem potwornie w jej snach, Chamutal ma wtedy ochotę krzyknąć, szlochając, pokonuje trudne chwile, ponownie zasypia.

Trzeciego dnia dostaje od troskliwego małżeństwa jedzenie na kilka dni drogi. Wyrusza wcześniej, przecina gładkie kamienie Via Domitia i przypomina jej się poprzednia ucieczka, jeszcze z mężem. Serce jej wali; wyłaniają się ciemne lasy Luberon, wyglądają jak mur nie do pokonania, przez który musi się przedostać. Wysoko w powietrzu roi się od wron. Niewiele jest łatwych szlaków, również obecnie – musi minąć Bonnieux, idąc w stronę dzisiejszego Lourmarin, gdzie teraz czytelnicy Camusa kładą kamyki na jego skromnym grobie; musi szybko iść dalej, wprost przez opuszczony las i doliny; minąć Cadenet, gdzie teren znowu staje się bardziej płaski. Szeroką w czasie wiosny, ale płytką Durance musi przejść w bród. Lodowata woda zapiera jej dech. W pewnej chwili traci równowagę i jak długa upada w nurt rzeki. Drżąca i przemoczona, rozcierając płaczące dziecko, dochodzi do rozległych pól trzcinowych – które sto lat później zainspirują kilku cysterskich zakonników do stworzenia nazwy najśłynniejszego opactwa we Francji: Silvacane, wywodzącej się od słów *silva cana*, trzcinowy las.

Co się działo, kiedy spotykała duchownych? Czy szukała schronienia w romańskich kościółkach po drodze? Jak ciężko przychodziła jej, w zależności od okoliczności, konieczność zmiany tożsamości i wiary? Rognes, Éguilles, Cabriès, Vallon de la Femme Morte. W narastającym cieple na równinie przesiąkniętej słoną wodą jak szalona idzie na zachód do L'Estaque – odległość około trzydziestu kilometrów. Nocuje tam gdzieś w domu dla kobiet, opatruje poranione stopy. Rano idzie się pomodlić w małej kaplicy i prosi chrześcijańskiego Boga, żeby jej wybaczył, że należy teraz do Boga żydowskiego. W jakiś sposób jednak wie, że stale wzywa tego samego Boga: cichy, zrozpaczony głos głęboko w jej wnętrzu. Następnego dnia wkracza do Marsylii – słone powietrze na jej pogryzionych wargach, w szalu na plecach dziecko z palcem w buzi.

*

Siadam w słońcu, które na tym płaskowyżu świeci ponad dwieście pięćdziesiąt dni w roku. Przeszukuję mapy turystyczne, zakładam, że Chamutal dotarła do Marsylii w czasie krótszym niż dwa tygodnie. Dwa myśliwce przecinają powietrze z ogłuszającym hukiem; zdeorientowane ptaki przez kilka sekund wirują bezładnie jak kupki papieru, zanim wrócą do poprzedniego lotu. Kiedy tak się zastanawiam, wąską uliczką nadchodzi Andy, mieszkaniec tej samej wsi, i stuka w małe drzwi na taras.

– No chodź – mówi – chodź ze mną, chcę ci coś pokazać. – Wiem, gdzie można znaleźć zrąb olbrzymiego drewnianego szybu, który w średniowieczu łączył wieś z wieżą na górze jak wielkie drewniane schody przeciwpożarowe.

Resztę przedpołudnia spędzamy na drapaniu sobie nóg i rąk o krzaki jałowca, skały i sztywne palemki. Niczym zdyszane uczniaki wpatrujemy się w kamienny prymitywny i ogromny cokół na górze, w pozostałości murów obronnych w pobliżu skalnej ściany, pod którą na ciepłym wapieniu i w grotach jest raj dla węży, a my musimy uważać, gdzie stawiać lekko obute stopy. Oczami wyobraźni widzę starego rabina w noc pogromu, który osuwa się przy zablokowanych schodach.

3

Tego samego 5 kwietnia 1097 roku, kiedy Chamutal opuszcza Monieux, Robert II Jerozolimski, hrabia Flandrii, oraz Stefan z Blois przybywają do Brindisi, żeby zaokrętować się na statek na wschodnie wybrzeża Morza Śródziemnego. Jest to dzień z przejaśnieniami, wiatrem i spektakularnymi chmurami. Jednocześnie Prowansalczyki pod przywództwem Rajmunda z Tuluzy mozolnie posuwają się naprzód przez południowo-zachodnią Sławonię, z zamiarem dotarcia na dalmackie wybrzeże, by stamtąd, ewentualnie z Zadaru, podróżować dalej statkiem. To im się nie udaje, nie udaje się także podczas kolejnych wypraw krzyżowych. Sto lat później, w czasie czwartej wyprawy, chrześcijanie zaspokoją swoje pragnienie zemsty na dumnym mieście portowym, splądrują je i podpalą. Północne wojska spotkają się z oddziałami z Prowansji dopiero ponad sto kilometrów za Jeziorem Ochrydzkim, a więc za Macedonią. Teraz jednak, w północnej Chorwacji, regularnie się gubią, trafiają czasem na górzyste i wrogie tereny, spóźniają się i mają problemy z aprowizacją.

Rajmund z Aguilers, *embedded journalist* tamtych czasów, opisuje, jak straszna to była wyprawa, tygodniami we mgle i zimnie, przez gęsty las i góry, w niepewności i narastającym niezadowoleniu, wśród coraz częstszych napaści ze strony miejscowych, którzy wiedzieli o wcześniejszych występkach, jakie niekontrolowane tyły miały na sumieniu. Cel stanowiła zwłaszcza ta podatna na ciosy wataha plądrujących, choć Rajmund z Aguilers przedstawia ich jako niewinne ofiary. Nędzarze kroczący w ślad za rycerzami i piechurami często nie wiedzieli, w którą stronę mają iść, przez wiele dni nie widzieli ptaka ani innego zwierzęcia, nie mieli prawie nic w ustach, obuwie wycinali z kory brzozy, a żeby przeżyć, polowali na słonki i drobną zwierzynę. Ludność odmawiała jakiegokolwiek wsparcia, nie odstępowała pożywienia, chyba że pod przymusem – kiedy została napadnięta i brutalnie potraktowana. W rezultacie nocą następowały niespodziewane akcje odwetowe, gdy wyczerpana hałastra próbowała się trochę przespać na wilgotnym mchu. Po dotarciu do Raguzy – dzisiejszego Dubrownika – wielu było osłabionych z powodu przemęczenia, infekcji, złamań kości, ran ciętych, dolegliwości jelitowych, niedożywienia, zapalenia płuc, głodu i stresu. Rajmund z Tuluzy nauczył się wówczas jednego: zanim poprosił o zaopatrzenie i wsparcie logistyczne, oferował miejscowemu królowi wiele podarunków. Ale niestety, narzeka Rajmund z Aguilers, niewiele to dało: krzyżowcy i tak doświadczali ataków od tyłu. Zwłaszcza w wąskich parowach i na trudnych górskich ścieżkach – w terenie, na którym nie mieli żadnego doświadczenia – przychodziło im wiele znieść.

Los małego Jakuba i Justy mógł być raczej tylko tragiczny. To żydowskie dzieci, nawet jeśli dziewczynka odziedziczyła po matce jasne włosy. Są za małe, żeby o siebie zadbać, a już na pewno żeby uciec o własnych siłach. Jeśli mimo wszystko uszły z życiem, bardzo możliwe, że gdzieś w północnych Włoszech zostały sprzedane do niewoli. Ale nie jest też wykluczone, że po prostu je porzucono, ponieważ nie nadążały za pozostałymi, i jak wiele innych dzieci błąkają się po okolicy, mrą z głodu, z powodu zakażenia albo rozszarpane przez dzikie zwierzęta. Czy istnieje również taka możliwość, że zatroszczy się o nich któryś z rycerzy? Chamutal chce wierzyć, że ktoś wie o jej wysokim chrześcijańskim pochodzeniu i dzieci trafią do jej rodziców w Rouen. Ale nigdy nic im o rodzicach nie mówiła. Powinna była. To są myśli, które dręczą Chamutal. Świadomość, że jej żydowski mąż został brutalnie zamordowany, nieprzerwanie

rywalizuje w jej głowie z doprowadzającą do szaleństwa troską o dzieci. Kiedy przywołuje przed oczy konkretny obraz Jakuba i Justy w ramionach swoich rodziców, których sama już nigdy nie zobaczy, godzinami przepłakuje swoje nieszczęście.

Potem, pewnej nocy, śni jej się wąż, który leżał obok Jakuba w żwirze w czasie porodu. Widzi, że wąż podpełza bliżej, chce zabrać zakrwawionego noworodka spomiędzy jej nóg, ale dziecko mocno tam tkwi, białymi, odrażającymi korzeniami mocno tkwi w ziemi, zrozpaczona ciągnie i szarpie, wąż prześlizguje się coraz bliżej, wydaje się, jakby chciał w nią wpełznąć. Zaciska nogi, budzi się przerażona, krzycząc. Czuje, że serce niemal wyskakuje jej z piersi. Na osamotnionej równinie słyszy wiatr jednostajne świszczący w sośninie. Gwiazdy wyglądają jak dziurki w czarnym, nieprzeniknionym kocu, którym przykryto świat. Marzy o niebiańskim świetle tam, po drugiej stronie, i się modli. Modli się, ale bez słów. To ponadczasowe mruczenie do patyków, gwiazd i kamieni.

*

Jadę z Monieux wyżej, w kierunku Saint-Trinit, a za sobą widzę ginącą z oczu dolinę. Docieram do odludnego Plateau d'Albion, na którym znajdują się tajemnicze aweny, studnie krasowe, tak niezmiernie głębokie, że kiedy wrzuci się do nich kamyk, nie słyhać żadnego dźwięku. Czasem w ciemnej głębi widać ptaki wirujące w poszukiwaniu ślepych owadów. Zimny powiew bije w górę z kompleksu podziemnych jaskiniowych korytarzy – gdzieś musi się znajdować niedostępne przejście na drugą stronę. Te ogromne leżące na suchych równinach limbusy, które wzięły się nie wiadomo skąd, są nęcące; człowiekowi kręci się w głowie, gdy zbliża się do krawędzi. Prastary pierwowzór wejścia do świata podziemnego. Czasem otacza je kawałek zardzewiałego drutu kolczastego, zdeptany przez nielicznych poszukiwaczy przygód odwiedzających te ukryte miejsca. Mówi się o kolaborantach, których po wojnie wrzucano do tych studni. O gangsterach, którzy spychali w nie konkurentów. Nadchodzi czarny chudy pies, kołyszając groźnym łbem. Wsiadam z powrotem do auta.

Droga prowadzi przez wspaniałą Col de l'Homme Mort. Bezkresny horyzont. Za mną Ventoux, daleko przede mną Montagne de Lure.

Jadę wyludnioną trasą do niewielkiej, martwej miejscowości Séderon, w czasie przechadzki gubię kluczyki i błąkam się z powrotem przez cały osamotniony wielokilometrowy odcinek grzbietami wzgórz, zawzięcie wpatrując się w każdy punkt drogi, dopóki zdyszany nie dojrzę gdzieś wśród dzikich fiołków czegoś błyszczącego i nie padnę na kolana, jakbym znalazł Świętego Graala.

La Calandre, Serre des Ormes. Ptaki drapieżne. Przytłaczająca cisza, głuche porywy wiatru – *les rafales*.

To tam znajduje się wąski wąwóz Georges de la Méouge. Idę wzdłuż wijącego się koryta niemal wyschniętej rzeki. Okolica jest tu prehistoryczna i całkowicie opuszczona. Dla niewprawnych wojsk teren trudny, o ile nie przypuszczają o męki. Krzyżowcy nie mieli wielkiego wyboru; jeśli rzeczywiście, jak się przypuszcza, ruszyli w stronę górskiej przełęczy znanej jako Montgenèvre w pobliżu Briançon, to taki był ich kierunek marszu. Zbocza i jamy, osuwający się kamienny gruz pod stopami i strome wzniesienia nad głową, mogące skrywać różne niebezpieczeństwa. Gdzieniegdzie szum odrobiny wody, która zatraca się w mrocznej rozpadlinie.

Włóczę się najmniejszymi drózkami, czasem godzinami nie spotykam żadnej żywej istoty. Poezja nazw miejscowości: Laragne-Montéglin, Ventavon, Col de Faye, Barillonnette, La Saulce. Ulubiona wyżyna Jeana Giono. Przy zamku Tallard wysiadam, zwiedzam imponującą budowlę, która w każdym szczególe świadczy o pysze krzyżowców. Ale kiedy go budowano,

był już wiek czternasty. Trzepoczące proporce na wysoko położonym wewnętrznym dziedzińcu; arkadyjski widok przez okna bez okien; wysokie sklepienia żebrowe. Rycerski rynsztunek.

Pojechać w stronę Gap czy bardziej na wschód, w kierunku jeziora Serre-Ponçon? Wybieram to drugie. Atmosfera taniego sportu zimowego w nagich, porośniętych sosnami górach. Ileż wysiłku musiało to kosztować. Gdzie są Jakub i Justa? Jadą z innymi na trzęsącym się wozie? Czy żyją jeszcze, gdy ciągną tędy wojska?

Muszę się udać w stronę Briançon. Massif des Écrins? Niełatwy odcinek dla oddziału, za którym ciągnie połowa wędrowki ludów. Co za wycieńczenie. Podążam trasą przez Embrun aż do Mont Dauphin. Dlaczego przekraczali granicę z Włochami tak daleko na północy? Czy mieli nadzieję dołączyć do oddziałów, które nadeszły przez Niemcy? W dolinie Durance widzę śnieg leżący w Alpach. Za przepaścią Gourfouran i dziką okolicą przy imponującym wąwozie Guilt, za La Roche-de-Rame tuż przed L'Argentière-la-Bessée, nie mają innej możliwości, jak tylko wejść w groźne góry. Puy-Saint-Pierre, Croix de Toulouse, sprawa robi się poważna. Taszczenie, dyszenie, wpychanie wozów na stoki, obijanie nieposłusznych, narowistych koni, otarcia, ból z wyczerpania we wszystkich mięśniach, dojmujące zimno podczas deszczu, spanie na niegościnniej ziemi.

Wybieram drogę na zachód od Briançon, jadę do Serre Chevalier, jestem oszołomiony widokiem. Wiatr wieje mi w twarz. Ślepa droga, muszę zawrócić. W końcu przełęcz Montgenèvre. Zła pogoda, słaba widoczność, ciemne chmury, zagrożenie. Co za idiotyczne przedsięwzięcie. Dwa zamki projektu architekta Vaubana, oprócz tego na Mont Dauphin. Parking, bilety wejściowe, klasy szkolne na pikniku. Ślady po rycerzach, złudzenie. Strome górskie ścieżki, wspaniałe widoki, kiedy słońce znowu się przebija. Tu dochodzi się do granicy z Włochami. W dole leży Sestriere, Passo della Banchetta. Dalej muszą przejść Nizinę Padańską. Tracę ich ślad, śmiertelnie zmęczony nocuję gdzieś w małym dusznym hotelu, a następnego dnia wracam do Monieux.

Jakub i Justa? Nie mam pojęcia.

*

Wszędzie dokoła Morza Śródziemnego kłębi się od chaotycznej ruchliwości, która idzie w parze z ostatnimi wędrowkami ludów. Narastają fale uchodźców, plądrowanie i grabieże są na porządku dziennym, dokonują ich nie tylko sponiewierane tyły wojska, gdzie panują anarchia i okrucieństwo, lecz także znajdujący się pod presją mieszkańcy, których okradanie doprowadza do szału, dążą do zemsty, czasem dołączają do przechodzącej zgrai w poszukiwaniu przygód, łatwych kobiet, odpustu bądź lepszego życia. Niektórzy ludzie próbują uniknąć napaści, wypływając małymi łodziami w morze. Często toną, zostają pokonani przez fale – silny wiatr i słoneczne światło czynią śmierć obojętną.

Te ruchy ludowe sprzyjają nierządowi; kobiety pozostawione same sobie próbują przeżyć, oferując swoje ciała. Papież Urban w żaden sposób nie mógł przewidzieć, do jakiego upadku moralnego, do jakiego okrucieństwa i całkowitej zatwardziałości doprowadzi wzniośle przez niego ogłoszona wyprawa krzyżowa. Również na trasach północnych, gdzie prym wiodą fanatyczni przywódcy tacy jak Piotr Eremita, mają miejsce grabieże, gwałty, wręcz sadystyczne pogromy, dochodzi do napaści odwetowych ludności ze splądrowanych terenów, do aktów zemsty i rewanzu.

Bezładne tyły zostają brutalnie zdziesiątkowane, skąpe zapasy żywności rozkradzione. Duża grupa maszeruje w kierunku Macedonii, inni rozchodzą się albo próbują jak najszybciej zdobyć łodzie na stromym wybrzeżu Czarnogóry, zadanie najczęściej niewykonalne.

Stary świat zostaje rozbity, a z trudem do tej pory utrzymywana równowaga się chwieje.
Gdzie, gdzie są jej dzieci?

4

Marsylia tonie w ostrym słońcu. Jestem tu po raz co najmniej dziesiąty – to miasto łączy mnie z początkiem innego świata, bije z niego uczucie nadziei, uczucie wolności, która nie domaga się specyficznego spełnienia, lecz po prostu jest, stanowi formę ulgi i radości. Spaceruję wśród nowoczesnych chłopaków z niegustownymi tatuażami i Etiopczyków handlujących podrabianymi ray-banami, mijam palących trawkę backpackerów i szybkich młodocianych dilerów, starych mężczyzn, od dziesiątej rano oszczędnie sączących pastis, chodzę po kolorowym suku z żywymi kurami i wszechogarniającym zapachem marihuany, mięty, sztokfisu, oliwek i cynamonu. Woda płynie po starych otoczakach w niebieskim cieniu, na platanach znowu osiada kurz. Nabieram ochoty na mocną kawę, a pokusa, żeby ponownie zacząć palić, piecze w gardle. Myślę o portach po drugiej stronie, tu inaczej się nie da. Chciałbym wsiąść na statek i zniknąć z własnego życia. W porannej gazecie czytam którąś z kolei opowieść o dziesiątkach ludzi, którzy utonęli u wybrzeży Grecji.

*

Kiedy rozpoczęła się siódma już wyprawa krzyżowa, trzynastowieczny francuski kronikarz Joinville napisał: *Au mois d'août entrames en nos nefes à la Roche de Marseille* – w miesiącu sierpniu dopłynęliśmy naszymi statkami do skał Marsylii. To świadectwo przywołuje plastyczne obrazy łodzi wpływających wąskim przejściem do starego portu, gdzie teraz znajduje się quai des Belges. Udęczeni wioślarze mogą nareszcie odpocząć, takielunek trzeszczy, pierwszy marynarz zeskakuje z pokładu i zarzuca ogromne liny na pachołek cumowniczy na brzegu. Próbuje ocenić z nabrzeża nie tyle, jak to musiało być z dotarciem tam, ile przede wszystkim z odpłynięciem stamtąd. Słony ciepły wiatr, bałwany tuż za molami, na nabrzeżu czekający i napierający kolorowy tłum.

Tu Chamutal trafia do innego świata, który w niczym nie przypomina spokojnej, mieszczańskiej Narbony teściów, a tym bardziej północnego Rouen jej młodości. Marsylia została założona przez Greków, w tamtych czasach nazywano ją też jeszcze niekiedy Massilią, a w całym rejonie śródziemnomorskim słynęła jako miasto międzynarodowe, łatwo dostępne i wielobarwne. W centrum i przy porcie już wtedy roilo się od Maghrebczyków, Afrykanów, Bizantyjczyków, Czarnogórców, Albańczyków, Syryjczyków, Sardyńczyków i Sycylijczyków. Żydzi, Koptowie, muzułmanie i prawosławni chrześcijanie żyli tam przemieszani ze sobą. Dzielnice były brudne i zabudowane chaotycznie, życie gwałtowne i niezbyt bezpieczne – dzisiaj francuscy dziennikarze wciąż jeszcze to wszystko potwierdzają. Na długo przed naszą erą Marsylia była miastem produktów mydlarskich, egzotycznego drewna, oliwy, importu wschodnich przypraw i tkanin, połowu ryb. Już wtedy przybywano tam, żeby popatrzeć na patroszenie wielkich tuńczyków na nabrzeżu. Kwitły budownictwo okrętowe, żywa czarna muzyka, jawna prostytutka. Uliczni muzykanci stali wzdłuż nabrzeża, byli też akrobaci, kuglarze, kaznodzieje, szarlatani i szantażyści. Sprzedawano źle pędzony alkohol, upijano się w mrocznych knajpach i kłócono w niebezpiecznych przybytkach płatnej miłości, nabawiano się infekcji, życiem kierowały krótkotrwałe podniecenie, burdy i religijne iluzje, jeden przez drugi rozbrzmiewały niezliczone języki.

– *Veni Creator Spiritus!* – wołali poszukiwacze przygód przed wejściem do kościoła, gdzie modlili się o przebaczenie obrzydliwych grzechów, którym po otrzymaniu abszolucji ponownie

szli się oddawać z równym entuzjazmem.

W swojej prostoduszności Chamutal ma nadzieję, że jeszcze tego samego dnia wejdzie na pokład statku do Jerozolimy, ale żadnych statków oczywiście nie ma. Statki na drugą stronę płyną do Tunisu, Aleksandrii. Dopiero stamtąd będzie mogła próbować dalej. Mocno związuje brudne, jasne loki i chowa pod czarnym szalem, zbiera się na odwagę, idzie popytać wśród ludzi morza, które statki dokąd płyną. Ponieważ nie ma pieniędzy, wykluczone jest, żeby popłynęła z osobami wyższego stanu; pozostaje jej wcisnąć się gdzieś do pomieszczenia statku towarowego, między niezliczonych biedaków, i mieć nadzieję, że przetrwa bez szwanku. Śpi w rozpadającym się domu w dzielnicy biedoty, w obawie przed gwałtem barykaduje drzwi ciężkim kamieniem. Rano chodzi po porcie. Trzy statki, trzeszcząc, kołyszą się przy nabrzeżu. Jeden z nich odpływa pojutrze przez Cagliari do Tunisu, stamtąd Chamutal ma nadzieję dostać się dalej, w stronę Aleksandrii. Jest przerażona i niespokojna i chce się stąd jak najszybciej wydostać. Mężczyzna z dużym brzuchem i jednym brązowym zębem w nieogolonej gębie mówi jej, że może się z nimi zabrać, że prawie codziennie uchodźcy wskakują na statki, ale że w zamian za przeprawę będzie musiała coś zrobić. Puszczą do niej oko, łapie się za krok i szyderczo uśmiecha. Przyprawia ją to o mdłości, szybko się oddala. Ponieważ nosi dziecko przy piersi, odrażające typy, które wykrzykują plugastwa do każdej przechodzącej kobiety, zazwyczaj zostawiają ją w spokoju. Okazuje się, że gdzieś pozostała w nich odrobina szacunku dla macierzyństwa, Chamutal może liczyć na więcej współczucia, niż sądziła. Bez środków do życia i tak brudna jak teraz nie ma prawie żadnych szans, żeby dostać się do ludzi wyższego stanu. Mimo wszystko, ogarnięta rozpaczą, tego właśnie próbuje. Jak żebraczka idzie prosić bogatego żydowskiego armatora, o którym coś usłyszała. Pierwsze, co następuje, to otwierający drzwi strażnik chce je od razu zamknąć. Chamutal szepcze kilka słów po hebrajsku, drzwi ponownie się uchylają. Pokazuje list Joszui Obadiasza, niepiśmienny człowiek rzuca na niego okiem, ruchem głowy daje jej znak, żeby weszła.

Pół godziny później do pokoju wyłożonego niebieskimi kafelkami, w którym czeka, wchodzi żona armatora. Chamutal znowu pokazuje list rabina Obadiasza.

Kobieta czyta, długo przygląda się Chamutal, do oczu napływają jej łzy, uśmiecha się i mówi:

– Chodź ze mną.

Chamutal zostaje wprowadzona do okazałej oficyny, gdzie w niecce z jasnoszarego piaskowca pluszcze mała fontanna. Do środka wpada światło przefiltrowane przez perłowe zasłony; nad dziedzińcem jest rozwieszony płócienny zadaszenie. Oleandry w dużych donicach mają pąki. Na ścianach rozkwita bugenwilla. Jaskrawoniebieski ptak w drewnianej klatce pod drzewkiem pomarańczowym wydaje dziwne krzyki. Gorączkujące dziecko, które rzuca główką, zostaje od niej zabrane. Służąca myje je i opatruje miejsca, które zaczyna pokrywać świerzb, naciera niemowlę ziołowym balsamem i zawija w świeże płótno, układa je do snu pod zasłonką z gazy po chłodnej stronie dziedzińca. Chamutal dostaje do picia ciepłe mleko z szafranem. Chce zacząć opowiadać o tym, co ją spotkało, ponieważ wytworna kobieta patrzy na nią pytająco i ze współczuciem, ale nie jest w stanie: przy każdym słowie, jakie chce wypowiedzieć, musi tak głośno przełykać ślinę, że nic sensownego z tego nie wychodzi.

Dostaje chłodny pokój, przygotowana stoi miedziana misa z wodą zakropioną sokiem z cytryny. Przez otwarte okno wpada do środka niezmierny zapach kwitnącego drzewka pomarańczowego. Na dachu grucha gołąb. Teraz, myjąc się, Chamutal wybuchając płaczem wywołanym raczej głupim, prymitywnym uczuciem ulgi. Szlochając, czyści swoje ciało,

rozczesuje splątane kosmyki włosów. Przygotowano dla niej skromne czarne ubranie. Potem wyczerpana kładzie się na łóżku i od razu pogrąża się w wielkim, ciepłym mroku.

Kiedy się budzi, panuje zupełna ciemność.

Gdzieś w pobliżu słyszy cichy, znany sobie oddech jedyne dziecko, które jej pozostało, dziecka, które w przekazach jest bezimienne.

Znowu zapada w sen.

5

Mewy i sztormowy wiatr następnego dnia; głuche uderzenia wiatru i jaskrawe światło.

Przystawia dziecko do piersi, żeby je uspokoić. Czeka, aż w domu zacznie się ruch.

Kiedy schodzi do oficyny, służąca już się tam krząta. Jest również armator. Zawierają znajomość, czytał list. Traktuje ją z powściągliwym respektem i zapewnia, że chce jej pomóc. Nie daje jej zbyt wielkich nadziei, że odnajdzie dzieci, ale przyznaje, że Jerozolima wydaje się ostatecznie jedyną szansą. Na temat galery do Tunisu, na którą chciała wsiąść, wie jedno: większość kobiet jest przez tę hołotę, która zarządza statkiem, gwałcona albo sprzedawana do niewoli. Tunis i całe wybrzeże Afryki Północnej uważa zresztą za bezsensowną, bo niebezpieczną trasę; z uwagi na ostatnie napięcia wszędzie dokoła powinna unikać wszystkich dawniejszych szlaków pielgrzymkowych przez Maghreb i Syrię. Jeden z jego statków płynie za tydzień do Genui. Jest na nim zamknięty pokład dla żydowskich podróżnych wyższego stanu, którzy są jego najznamienitszymi klientami. Do tego czasu może przebywać w ich domu i nabierać sił. Chamutal słucha tego w milczeniu. Skłania się i sięga do jego ręki, by ją ucałować. Mężczyzna gestem daje znać, że wszystko już dawno załatwione, i znika na resztę dnia.

Zobaczy go jeszcze tylko jeden raz, tuż przed odpłynięciem. Tego dnia pojawia się na nabrzeżu, chce ją osobiście zaprowadzić na statek. Wręcza jej sakiewkę ze złotymi monetami i dwa listy polecające, dzięki którym może na jego koszt popłynąć z Genui do Palermo. Następnie przychodzi służąca z paczką przygotowanych dla niej ubrań. Również żona armatora przychodzi ją pożegnać. Rozstanie jest pełne emocji, Chamutal uczepliła się tych ludzi jak tonący. Niewiele rozmawiają, wiatr nieco ustaje, statek do późnego popołudnia kołysze się przy nabrzeżu. Chamutal słyszy wykrzykiwane polecenia, słyszy łomotanie w ładowni. Cumy zostają zdjęte, żagle podniesione i od razu mocno się napinają i wybrzuszają. Lekko z wiatrem statek wypływa z portu, obok skały, która później stanie się znana jako Château d'If. Morze oślepia Chamutal, w jej stronę mruga bezkresna połać cętek, trzyma przyciśnięte do siebie śpiące dziecko i głęboko wciąga morskie powietrze. Ulgi jednak nie czuje.

Z Genui niczego już nie pamięta – poza tym jednym normandzkim rycerzem z Rouen, w którym natychmiast rozpoznaje swojego dalekiego kuzyna i który też zdaje się ją rozpoznawać. Wyczesuje konia zgrzeblę, długo na nią patrzy, wydaje się, że chce do niej podejść. Ona rusza, on coś do niej woła, ona z dzieckiem i torbą podróżną, powłócząc nogami, idzie dalej ulicą i znika w niewielkiej otwartej bramie, kuca między krzewami na dziedzińcu, z ręką na ustach marudzącego dziecka; jest pewna, że słyszy jego mijające ją kroki, serce tak mocno jej wali, że robi jej się niedobrze. W przykurczonej postawie czeka tam do zmierzchu, potem z powrotem przekrada się w stronę portu, wynajmuje pokój w zajeździe, bezsennie leży na łóżku, nasłuchując każdego dźwięku.

W mieście przez całą noc słyhać bieganinę, podniecone męskie głosy. W porcie dzień i noc trwają noszenie i praca. Wiele statków jest przygotowywanych do przeprawy krzyżowców i szukających przygód zelotów. Na powale widać odbłask pochodni noszonych ulicami. Chamutal chowa się głęboko pod szorstkim kocem, z dzieckiem w ramionach. Zasypia, płacząc.

Następnego ranka zasnuwa twarz szalem niczym welonem. Dźwiga torbę podróżną, dziecko znowu marudzi i wymiotuje do chusty nosidła akurat w chwili, gdy Chamutal wchodzi na trap. Przez moment kręci jej się w głowie, widzi, jak ciemna woda między nabrzeżem a statkiem niepokojąco wiruje, czuje kwaśnawy zapach bijący od dziecka, niewiele brakowało, a potknęłyby się i upadłyby na galereę. Morze jest spokojne, słońce wschodzi nad cuchnącym martwą rybą portem. Statek zaczyna halsować, Chamutal słyszy rytm bębna i skandowanie wioślarzy poniżej w mrocznej ładowni. Maszt trzeszczy, mewy nisko latają nad odpadkami w przyboju, ludzie chodzą po pokładzie tam i z powrotem. Jest w drodze do Palermo. Statek nazywa się Pomella; kronikarz Caffaro twierdzi, że kilka lat wcześniej, w 1093 roku Gotfryd z Bouillon tym samym statkiem popłynął do Aleksandrii, ale zdaniem Davida Abulafii, eksperta w zakresie żeglugi po Morzu Śródziemnym, można tę historię włożyć między bajki.

Podróż trwa trzy dni.

Statek płynie zatoką La Spezia, trzyma się blisko włoskiej linii brzegowej, następnie mija Livorno i kieruje się ku Piombino. Wiatry są pomyślne, wystarczy, żeby podążał za silnym głównym prądem, który jest obecny na całym Morzu Śródziemnym. Na wysokości Folloniki Chamutal widzi wyspę wyłaniającą się za sterburtą, to Elba, gruda ziemi w kształcie olbrzymiej ryby, której płetwy ogonowe rozszerzają się w stronę Włoch, ale ze statku nie może tego zobaczyć, a na mapach tym bardziej; te z dwunastego wieku przypominały co najwyżej rysunki rozmarzonego dziecka. Kiedy mijają wyspę, załoga jest nerwowa; to regularna baza wypadowa piratów.

Po dwóch dniach zawijają do Porto Santo Stefano. Zostaje wyładowany ładunek i zgromadzone nowe zapasy żywności. Chamutal błądzi po plaży z dzieckiem, swą jedyną pociechą, które śpi w szalu na jej plecach. Gdzieś w niewielkim ogrodzie, pod wysokim tamaryszkiem widzi małego łysego człowieka pochylonego nad stolikiem do pisania, obraz spokoju i ciszy. To wielki uczony w piśmie Guilielmus van Hansea, który wówczas przebywał w portowym miasteczku. Mężczyzna na moment podnosi wzrok, wokół jego ust pojawia się uprzejmy, ironiczny uśmiešek. Na chwilę wprawia ją to w zakłopotanie. Odległy jest czas delikatnych tkanin i białych palców, jej ręce cuchną rybą i solą. Wiatr jest dobrotliwy i łagodny, nad nią lśni niebo. Nie ma tu żadnych krzyżowców, nawet Normanów; cisza i spokój. Chamutal przesypia godzinę pod krzewem mirtowym, z dzieckiem przy sobie, wraca do portu, nocuje w kajucie na statku, który łagodnie trzeszcząc, buja się pod usianą gwiazdami ciemnością.

W ciągu kolejnych dni przepływają obok Ostii i Neapolu, po czym cumują w Sorrento. Chamutal poddaje się kołysaniu na falach, które spokojnie się toczą po fioletowo barwiącym się Morzu Tyrreńskim. Po lewej stronie cały czas przebłyskuje cienka linia znacząca Półwysep Apeniński, delfiny wyskakują w skrzącym się świetle. Jakiś mężczyzna gra na prostej lirze korbowej, przyśpiewując sobie do tego sprośne piosenki. Zwraca się do niego podróżujący statkiem opat, mówi, żeby przerwał swoje szatańskie dzieło.

Za Amalfi, u wybrzeża Salerno, statek halsuje ostro na zachód. Morze jest niespokojne, wiatr przeciwny wysoko podnosi fale, biała piana pryska na pokład, Chamutal dostaje mdłości. Trzeszczy drewniana konstrukcja, dziób statku opada czasem wiele metrów za szczytem fali, nędznicy wychodzą z ciemnych zakamarków statku i wymiotują w blasku słońca. Wioślarze znowu pracują, żagle są zrefowane. W dolnej części głucho rozbrzmiewa bęben, jakby w starym statku biło serce. Następnej nocy morze się uspokaja. W oddali widzą szalejący w ciemności piekielny ogień Stromboli. Kilku pobożnych pasażerów oblatuje strach. Mówi się o bramie piekła, diabelskiej wyspie. Pasażerowie klękają na pokładzie i modlą się. Jakiś mężczyzna długo

i mocno bije się w piersi, w końcu pada wyczerpany i zalewa się łzami. Chamutal bogobojnie modli się z innymi. Dziecko jest małe i nieświadome tego, co się rozgrywa w sercu matki.

Malfa, Lipari, zbliża się wybrzeże sycylijskie, Capo d'Orlando w Mesynie, krainie, którą w chwili, gdy ją mijają, rządzą Normanowie. Gdzie tymczasem mogą znajdować się jej bracia?

6

Palermo

Temu, kto z Monte Pellegrino spogląda na dzisiejsze Palermo, trudno sobie wyobrazić, jak wtedy musiał wyglądać port. Góry w położonej dalej zatoce były wczesnym rankiem zapewne równie niewzruszone i ciemne, odcinały się na absolutnie błękitnym niebie; jeśli Chamutal wspięła się tu kiedyś na wzgórze, morski wiatr musiał wiać jej w twarz tak, jak teraz wieje turyście. Ale port niewątpliwie wyglądał zupełnie inaczej, zamiast długiego pełnego nabrzeża z wysokimi żurawiami istniały jedynie piaszczysty brzeg i parę zatoczek, w których roiło się od kupców, marynarzy, handlarzy, koni z wozami i składów niezliczonych towarów pochodzących z Orientu, które wysyłano stąd statkami dalej na północ. Nie było szeregów wysokościorców; małe, prymitywne domy stały jeszcze blisko siebie wokół portu, a za nimi znajdowały się przypominające pałace mieszkania bogatych armatorów i mieszczan. W tamtych czasach Palermo było już dużym miastem liczącym ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Robiło wrażenie za sprawą mieszaniny arabskiego i romańskiego stylu architektonicznego. Podróżnicy z tamtych czasów bez wyjątku wyrażają podziw dla przyjemnego, dobrego klimatu. Sto lat po podróży Chamutal arabski geograf Ibn Dżubajr opisuje meczety, fontanny i okazałość placów; porównuje blask tej metropolii do blasku Kordoby. Jednak Palermo od dawna padało też ofiarą napięć, ponieważ bizantyjscy chrześcijanie i arabscy władcy regularnie walczyli o panowanie nad tym zarówno dla chrześcijan, jak i dla Arabów strategicznie położonym miejscem. W chwili gdy Chamutal przybywa do Palermo, grozi jej chyba największe ryzyko w całej podróży. Bardzo możliwe, że zostanie rozpoznana i schwytana, że znajomi z rodzinnego miasta będą ją wypytywać albo naprzykrzać się jej w inny sposób. Dosłownie na każdym rogu widzi normandzkich rycerzy nerwowo krzyczących i wydających rozkazy.

*

Palermo będzie mi się nierozzerwalnie kojarzyć z ogromnym wrażeniem, jakie wywarły na mnie katakumby kapucyńskich mnichów.

Catacombe dei Cappuccini, Katakumby Kapucynów, znajdują się w centrum, przy piazza Cappuccini, w pobliżu klasztoru zakonu. Przy via Cappuccini, w miłym cieniu starych drzew rozłożyli się sprzedawcy owoców i warzyw, vespy jeżdżą we wszystkie strony, spaliny dmuchają na dwa martwe drzewka oliwne w starych, obłuczonych donicach, z okna grzmi ochrypły głos Gianni Nannini: *Meravigliosa creatura*. Rzuca mi się w oczy pewien szczegół: na długim brzydkim betonowym murze wzdłuż via Cipressi dwa razy wypisano sprayem wielkimi literami YAHWEH.

Na tle kilku mało fantazyjnych bloków mieszkalnych osobliwe tumbry wyglądają jak pozbawiona umiaru złośliwa bajka z minionych czasów; w krypcie z niekończącymi się rzędami wypchanych zmarłych strażnik w podeszłym wieku wpatruje się nieobecny wzrokiem w chłodny cień wejścia. Milcząca parada przyodzianych w ubrania mumii, którą tu można oglądać, wprawia w osłupienie. Jakby się zeszło do burleskowego wariantu piekła Dantego, stoją tu ramię w ramię, z powiązanymi kośćmi: napuszony prałat, biskup z mitrą, chłopska para, piętnastoletni

chłopak, rozpadający się w proch patriarcha. Leżą tam w prawie nienaruszonym stanie dziecięce ciała, wystrojone w strzępiaste koronki i jedwab pokryty kurzem, młodo zmarła kobieta, jeszcze ze zdziwieniem w pustych dołach po oczach, które zniknęły. Pewne głowy pokornie pochylają się ukosem do ziemi, jakby głęboko nad czymś rozmyślały; wydaje się, że z odsłoniętymi, wyszczerzonymi zębami chcą szeptać o tamtym świecie. W niektórych oczodołach można niemal dostrzec ciemne spojrzenie, zapach pleśni wprawia jednak w zakłopotanie. Pod bladymi, pobielonymi łukami tworzą ogromną wystawę śmierci, bezwstydną witrynę, w której lubieżnie oferują siebie samych. Wyelegantowane dziecięce zwłoki, szkielety cynicznie pokazujące palcem; starsza para, skłaniając się ku sobie, mimo śmierci zdaje się mieć ochotę na sprzeczkę; czaszka na nieprzerdzewiałym żelaznym druciku nad zakurzonego płaszczem; cztery szkielety ustawiono tak dramatycznie, że sprawiają wrażenie zbiegowiska albo Rodinowskich mieszczan z Calais z brązu; niektóre stoją na półkach wysoko na ścianie, inne wpatrują się w ciebie zza żelaznych ogrodzeń. Kiedy szczeka opadła, wydają się bezgłośnie krzyżeć albo głośno śmiać z głupoty żyjących. Są romańskie łuki wykonane z czaszek, przed którymi stoi trzech martwych kapucyńskich zakonników; brama wejściowa na ścianie, *trompe l'oeil*, a na niej frywolne motywy wykonane ze stawów, kości łokciowych i paliczek; rząd za rządem przyklejone do sufitu niezliczone łopatki tworzą barokowe motywy. Na wpeł zbutwiała twarz wydaje się cynicznie puszczać oko, ale ta skóra, która się krzywo opięła, niedługo się rozerwie, ukaze się czaszka i wyzwoli uśmiech. Upiorny zakonnik z grubym sznurem na szyi przechyla się nieco do przodu, jakby w każdej chwili miał się rzucić na przechodnia; nazywa się Fra Domenico, zmarł w sierpniu dawno minionego roku. Czworo otwartych zakurzonych ust zdaje się śpiewać podniosłą pieśń, głowy pochylają się tak teatralnie, jakby chciały osiągnąć różne wysokości dźwięków. Leciwa matka szczyrzy zęby w nikczemnym uśmiechu – jej ręce złączone są ze sobą za pomocą sznurka; kardynał ze złożonymi kośćmi dłoni leży na własnej tumbie, mitra uciska mu jeszcze czaszkę, ale usta są szeroko otwarte, jakby się śmiał z siebie samego. To obsceniczne przedstawienie nie ma końca. Po wyjściu na zewnątrz w hałaśliwe upalne miasto ma się wrażenie powrotu z innej rzeczywistości, z prastarej przeszłości, która chichocząc, czeka, żeby każdego dogonić na ulicy. To uczucie nie opuszcza mnie, gdy piję espresso w przyjemnym kawiarnianym ogródku, i nadal jestem trochę zmieszany, kiedy dochodzę do La Zisa, normandzkiego zamku świadczącego o obecności narodu, do którego należała Vigdis Adelaïs, ta, która płochliwie przemyciała tędy jako Żydówka, w ciemnym szalu mocno owiniętym wokół głowy. Przy placu, przy którym teraz stoi katedra, kilka suchych palm kołysze się na dobroczynnym morskim wietrze. Turyści robią sobie selfie, brak czegokolwiek, przez co mogliby zgubić wątek, wszystko jest oczywiste.

*

– Ależ nie ma żadnego promu do Kairu, *signore* – śmieje się dziewczyna o zielonych oczach i z żółtym lakierem na paznokciach. – Przecież nikt nie wybiera się do Kairu statkiem, prawda? Można tam polecieć, linie lotnicze oferują bezpośrednie loty, a co pan myślał.

No tak, co ja sobie myślałem? Że można by tu znaleźć pozostałości dawnego morskiego połączenia? Przeszukałem wszystkie strony internetowe towarzystw żeglugowych i za każdym razem natykałem się na irytujące luksusowe statki wycieczkowe, lecz żaden nawet nie zbliżał się do trasy, którą chciałem popłynąć. Szukałem statków towarowych, ale okazało się, że te również nie kursują trasą Chamutal. Łudząc się, że odbędę podróż morzem jej śladami, nie wziąłem pod uwagę całkowicie zmienionego świata. To złudzenie stanowiło jednak wątek, o którym pamiętałem, kiedy idąc przez port, uświadomiłem sobie, że zbliżyłem się do Chamutal tylko dlatego, że wymazałem z pamięci wszystko, co widziałem dokoła, może poza ubranym

szkieletem kobiecej postaci w katakumbach, która mi ją przypominała i podobnie jak rzeźba w kościele w Bourges dawała poczucie, że to mogła być ona i że to stanowiło iskrę w mojej wyobraźni, dzięki której znowu ją ujrzałem – mumia, która ożyła, ciało wokół kości, mięśnie i skóra, żywa i zdesperowana, dźwigająca na rękach to marudzące dziecko, w drodze do Jeruzalajim, mitycznego miasta, do którego nigdy nie dotrze. Co też jej przyszło do głowy.

Tu, w Palermo, Chamutal decyduje się na statek w kierunku Misr al-Fustat, jak w jedenastym wieku nazywał się poprzednik Kairu. Kompania żeglugowa organizowała sprawną przeprawę do Aleksandrii, oferując podróżnym dalsze połączenia statkiem po Nilu. W ogromnym zbiorze starych hebrajskich dokumentów, które znaleziono w genizie kairskiej, znajdowały się także niezliczone listy handlowe i dokumenty pokładowe świadczące o tym, jak intensywna była bezpośrednia komunikacja morska między Palermo a Aleksandrią w tamtych czasach. Szlak handlowy między Egiptem a zachodnią częścią Morza Śródziemnego opanowali głównie żydowscy handlarze i armatorzy. Z listem polecającym w ręce Chamutal może szybko uzyskać zgodę na wejście na statek. Poza tym złotą monetą otrzymaną od armatora z Marsylii może z naddatkiem opłacić taką podróż, dzięki czemu nie musi siedzieć na pokładzie wśród stłoczonych pasażerów, ale dostaje kajutę, w której może pielęgnować i układać do snu dziecko. Dzięki znajomości dróg morskich, wiatrów i prądów dziewięćdziesiąt procent statków w jedenastym wieku bezpiecznie docierało do celu.

Przeprawa w tamtych dniach nie należała jednak do łatwych. Choć Chamutal cieszyła się pewnymi przywilejami, sytuacja na pokładzie była trudna. Zapasy słodkiej wody regularnie ulegały skażeniu. Pożywienie składało się z solonego mięsa, płaskich chlebów pieczonych ze stęchłej mąki, ryb łowionych od czasu do czasu na spokojnym morzu, niewielkiego zapasu warzyw bulwiastych, wyschniętych i stwardniałych owoców, orzechów. Uboga dieta stopniowo powodowała niedożywienie, również wśród osób wyższego stanu. Dyzenteria, biegunka i dolegliwości żołądkowe były na porządku dziennym. Kiedy latem wiały sprzyjające wiatry i statek na czas znajdował prąd pływowy wokół basenu śródziemnomorskiego, przeprawa przebiegała szybciej. Istnieje silny ruch wody z zachodu na wschód; wpłynąwszy przez Słupy Heraklesa, prąd mija Sycylię od południa i podąża wzdłuż wybrzeży Egiptu. Przy korzystnym wietrze wioślarze mogą odpoczywać, a na statku panuje spokój.

Dni upływają na kołyszącym czekaniu i myśleniu, wypełniane koszmarami oraz wspomnieniami wszystkich tych miejsc: Rouen, Orleanu, Narbony, Monieux, Marsylii, Genui, Palermo. Wszystko wiruje w jej snach, czasem znowu widzi dalekiego, nieosiągalnego ukochanego przy bramie do jesziwy w Rouen, a kiedy słyszy krzyżące tu nad wodą rybitwy czubate, myśli o małych mewach śmieszkach z portu, gdzie stały snekkary, albo o krótkich, spokojnych dniach w słonecznej Narbonie. Stary statek cuchnie życiem i towarami, które przewozi. Mężczyźni upijają się dla zagłuszenia tęsknoty i zabicia nudy, kilka kobiet kręci się wokół nich po jedzenie lub alkohol – zaszywają się gdzieś pod belami wełny i chichoczą, w wieku dwudziestu pięciu lat mają bezzębne usta, ale w cieniu szeroko rozkładają nogi, mężczyźni w pośpiechu się spuszczaają, chwilę później pogardliwie spluwają przez reling. Nad głowami powolnymi, głuchymi uderzeniami trzepocze czarny żagiel, z przodu przed statkiem wyskakuje w powietrze ławica latających ryb. Krążą opowieści o diabelskich istotach, które tam i z powrotem śmigają przed dziobem i kilem. Czasem taki dziwny stwór zaplącze się w sieci, odrażający uzębiony pysk z cudacznymi oczami, płetwami jak diabelskie pióra. Kilkoro dzieci, które są na statku, wybucha płaczem, kobiety robią znak krzyża i odmawiają modlitwy, mężczyźni zostawiają rybę potwora na pokładzie, gdzie ta łapie powietrze, rzuca się w sieci, umierająca ciekawostka, popatrz tylko, pochodzi z *Satans Caccabus*, piekielnego kotła *de*

profundis, diabeł krzyczy w czterdziestu językach, lecz nikt ich nie rozumie. Kiedy ogon dziko uderza o deski, a rybnie mętnieją oczy, mężczyźni wołają *Vade retro, Satanas!* Ryczą ze śmiechu.

Nocą gwiazdy są jaśniejsze, niż Chamutal kiedykolwiek widziała. Ciemny nieboskłon wydaje się kołysać bez końca, a wokół dziobu rozbrzmiewa jednostajny szum. Czy gwiazdy są dziurkami, które przepuszczają światło z nieba nad czarną kopułą ich śmiertelnej nocy? Dostaje czasem mdłości, ale wtedy kładzie się płasko na brzuchu, dopóki nie miną. Dziecko znowu jest chore, gorączkuje w czasie snu i o niczym nie wie. Pewnego dnia Chamutal się budzi i widzi, że statek zrobił się w nocy krwistoczerwony. Wiatr z północnoafrykańskich wybrzeży naniósł czerwonego piasku. Zawiewa go daleko na morze, delikatny deszcz przychodzi z ciepłym wiatrem. Później w ciągu dnia pokład zostaje wyszorowany. Marynarze z radością skorzystali z piasku, ale czerwony kolor pozostaje w każdej najmniejszej bruzdzie i każdym włóknie.

Kilka dni później zauważają w oddali inną łódź. Wszystkich ogarnia niepokój, strach przed atakiem przez abordaż. Jest to lekki arabski statek, zbliża się, dostrzegają ludzi na pokładzie, zaczyna się przekrzykiwanie. Potem łódź się oddala, jakby była przywidzeniem, napina żagle, znika za horyzontem. Kołysaniu na falach nie ma końca, na szczęście nie nadciąga żadna burza, wody są spokojne o tej porze roku. Kiedy do akcji wkraczają wioślarze, Chamutal głęboko pod sobą słyszy stłumione głosy śpiewające monotonnie i rytmicznie, nawoływanie przodownika, uderzanie z pluskiem wielkich piór o lekko kołyszące się morze. W ciągu innych dni jest tylko trzepotanie grubego płótna żaglowego, głos mężczyzny na maszcie, zapach drewna, lin i soli. Stopniowo popada w stan między snem a jawą.

Po wielu dniach, których nikt nie liczył, człowiek na maszcie wskazuje na prawo, na linię piaszczystego, samotnego wybrzeża w oddali, prawdopodobnie są już za Bengazi. Aleksandria nęci. Tam Chamutal przesiądzie się na mniejszy statek. Kilku mężczyzn poważnie się rozchorowuje. Rzygają jak koty, powstaje obawa, że zakazą całą załogę. Zostają poddani kwarantannie, zawinięci w płótno, po dwóch dniach zupełnie osłabionych i bezwolnych kładzie się ich na rufie między paroma przegrodami a liną. Mętym wzrokiem w śmiertelnym popłochu śledzą jeszcze ruch dokoła. Niektórzy zamknęli pokryte strupami powieki i już ich tu nie ma. Następnego ranka znikają.

– Karma dla czartów z morskiego piekła. – Kupiec Embriachi uśmiecha się do Chamutal.

Od wielu dni zerka na nią, czasem, kiedy ją widzi, chwytą się za niebieską tkaninę sukienną kroku i stroi miny jak rozochocony pies. Chamutal zamyka się w małej kajucie, szepcze niezrozumiałe rzeczy, podczas gdy dziecko, ssąc palec, patrzy na nią i milczy. Na statku jest rabin, któremu się zwierza. Rabin czyta w jej kajucie list polecający, milczy, długo się zastanawia, mówi, że będzie jej towarzyszył do Al-Fustatu. Dzięki temu znowu odzyskuje trochę spokoju, poczucie przynależności. Morze jest fioletowe i wspaniałe, co sprawia wrażenie, jakby powietrze było przesuwane przez inne powietrze, olbrzymi ruch ponad ich maleńkimi głowami. Ona jest niczym, wszyscy razem są niczym, rojem owadów kołyszących się w łupince orzecha, niczym w większym niczym. Ale posuwają się naprzód. Posuwają się każdego dnia. Kreta znajduje się daleko na północ, statek trzeszczy niesiony silnym prądem. Przez wiele dni płyną wzdłuż nagiej białej linii brzegowej, z nieba leje się żar. Wszyscy ledwo żyją. Zapasy są na wyczerpaniu, znowu jakiś mężczyzna umiera na dyzenterię. Reszta głoduje podczas dni dzielących ich od Aleksandrii. Czasem udaje się złowić rybę, marynarze zjadają ją na surowo, kucharz pokładowy wrzuca resztki do gotującej się wody. Cienka zupa rybna jest oszczędnie rozdzielana. Po kolejnych dwóch dniach cumują przy antycznej latarni morskiej – oślepieni światłem, z solą na obgryzionych wargach, ubrania mają na wpół zdarte od przesuwania się po twardych ławkach, ręce suche, a skórę papierową, ich dusze są wylugowane i wycieńczone. Oto białe miasto, fatamorgana, marzenie starych, gorących kamieni, miasto Aleksandria.

Aleksandria

„Morze jest dzisiaj znowu wzburzone i wiatr dmucha niepokojąco [...] to miasto posługiwało się nami jak swoją florą (...) ukochana Aleksandria” – tak brzmi początek pierwszej części czarującego *Kwartetu aleksandryjskiego* Lawrence’a Durrella. „Czym jest to nasze miasto? Co streszcza się w nazwie Aleksandria? Przed oczami mojej duszy przemyka wizja tysiąca ulic, owianych kłębami kurzu. Dziś władają nimi muchy i żebracy”^[5].

Bardzo ciekawiło mnie to mityczne miasto i zakładałam, że Chamutal również w napięciu wpatrywała się w nabrzeże, kiedy statek do niego podpływał. W jej czasach na wąskim cyplu można było jeszcze zobaczyć sławną latarnię na Faros; uchodziła za cud świata, liczyła ponad sto dwadzieścia pięć metrów wysokości i już wtedy miała więcej niż tysiąc lat. Według Eurypidesa rozbili się tu Menelaos i dziwna uludna postać Heleny Trojańskiej; Kleopatra popełniła samobójstwo kilka kroków od miejsca, w którym postkolonialny Cecil Hotel w swojej staroświeckiej znamienitości wciąż patrzy na morze – w czasach Chamutal stały jeszcze dwa obeliski z pałacu Kleopatry, znane jako igły Kleopatry; poeta Kawafis napisał tu, jak jej kochanek Antoniusz porzucił miasto, podczas gdy miasto w równym stopniu porzuciło jego. Durrell opisuje, jak mityczna Justyna, będąc reinkarnacją Kleopatry, w eleganckich rękawiczkach pije kawę w barze hotelowym i patrzy na lśnienie morza.

Przyjechałam tu pociągiem z Kairu. Wysiadam na dworcu głównym i od razu wpadam w ekscytujący chaos: na ulicach wokół placu odbywa się duży targ, setki handlarzy, przekrzykując ruch uliczny, grzmią do małych, piskliwych megafonów. Kiedyś nazywano to miasto wielką tłocznią winną miłości z powodu mnóstwa efebów i wschodnich dziewic, poszukiwaczy szczęścia, ognistych kochanków o gorącej krwi, bogatych samotników i przywódców z obsesją na punkcie doskonałości młodych ciał; ospali, spowolnieni winem i haszyszem ukradkowi kochankowie, którzy godzinami leżeli splątani, uprawiając miłość, słuchając uderzania fal i wiatru, który niczym pies węszy nosem w koronach platanów.

Taki jest egzotyczny obraz, orientalistyczne marzenie, o którym Edward Said powiedział, że odnosi się do świata *make-believe* kolonialnej elity kulturalnej.

Jakże inne było wszystko w czasach Chamutal. W jedenastym wieku Aleksandria przeżywa okres, o którym niewiele wiadomo, przez pewnych historyków uznawany za epokę inercji i upadku. Mimo to Amr Ibn al-As pisze w siódmym wieku, że „niełatwo wymienić wszystkie bogactwa i uroki tego miasta. Ograniczę się do zaznaczenia, że liczy ono cztery tysiące pałaców, cztery tysiące łaźni publicznych, czterysta teatrów i miejsc rozrywki, dwanaście tysięcy sklepów z owocami i czterdzieści tysięcy podlegających obowiązkowi podatkowemu Żydów”. Miasto odżyło dzięki pokątnemu handlowi w czasie wypraw krzyżowych, a także za sprawą międzynarodowych kontaktów, obecności intelektualistów i poszukiwaczy przygód, pięknych chłopców, bogatych kobiet i zazdrosnych kochanków.

Ale o sławnej, przemawiającej do wyobraźni antycznej bibliotece nawet w jedenastym wieku już od dawna nie było mowy. Przemierzam cały Corniche, wał nabrzeżny – najpierw na

lewo od centrum aż do cytadeli sułtana Kait Beja, gdzie młodzi chłopcy sprzedają watę cukrową, którą w nadmuchanych plastikowych siatkach wieszają na wysokich patykach: jakby na sznurku latały przezroczyste ryby. Potem wracam, mijam centralny plac Sada Zaghlula i idę aż do nowej Biblioteki Aleksandryjskiej. W wysokim, opadającym pomieszczeniu spektakularnej czytelni widzę dwie dziewczyny w nikabach pochylone nad książką; poszturchują się, śmiejąc, podczas gdy podkreślonymi kohlem oczami przebiegają po powieści Michela Houellebecqa.

Tak jak teraz między Aleksandrią a Kairem kursuje szybki pociąg, tak w jedenastym wieku istniała szybka służba kurierska do Al-Fustatu, która potrafiła dostarczyć ważną pocztę z jednego miasta do drugiego w niespełna tydzień. Nieprzerwanie płynął tędy strumień podróżujących, którzy przywozili ze sobą krewnych i rodzinę, kandydatów do małżeństwa, wyroby złotnicze, zwoje ksiąg, przyprawy i podarunki. Wymieniano się mieszkaniami: rodzaj zamiany domów *avant la lettre*.

Morze jest spokojne i ciche, największe fale rozbijają się o wąski półwysep chroniący nabrzeże, dzięki czemu zbiornik wodny za nim jest gładki jak morze śródziemne; mężczyzna w długim kaftanie chodzi tam i z powrotem, upominając kobiety, które obnażają ramiona, żeby natychmiast z powrotem je zakryły. Uprzejmie dziękuje i idzie dalej. Na plaży leżą małe, wylugowane do białości wraki statków, ich zniszczone żebra wyglądają jak ości dużych martwych ryb. Cała rodzina biwakuje w szałasie na piasku; dziewczynki zrywają się na mój widok i wołają: zdjęcie! zdjęcie! Zapuszczam się w stare ulice, niektóre z nich do dziś nie są utwardzone. W niektórych zakurzonych miejscach wyobrażam sobie, że przez tysiąc lat nawet niewiele się tam zmieniło. Wracam w blasku wieczornego słońca i razem z tłumem dojeżdżających na przedmieścia czekam na pociąg do Kairu.

Spodziewałem się, że w Delcie Nilu zastanę jeszcze pierwotny krajobraz. To las niewykończonych budynków, niejasny konglomerat niekończących się niemiast, na wpół zbudowanych dzielnic, które już niszczej, miejskie gromady pustych, nigdy nieoddanych do użytku betonowych szkieletów, zwieńczonych sterczącymi z rzadka w powietrzu drutami stali zbrojeniowej – znak, że prace jeszcze trwają, więc na razie nie trzeba płacić podatku od budynku. Ale na niższych piętrach mieszkają całe rodziny, niepewne każdego dnia.

Pomiędzy nimi, rozrzucone, leżą pola, które są raz suche, to znów błotniste z powodu niedbałej irygacji. Widzę zboże i gruz, opuszczone użytki, sto białych ibisów na martwym drzewie, tereny ze zrujnowaną gospodarką. Po przedmieściach, wśród tłących się śmieci i pasących bawołów chodzą bezrobotni młodzi ludzie. Widzę kobiety spulchniające zagony motyką, żyzną ziemię zanieczyszczonej Doliny Nilu. To znowu z lekkiej mgły wyłaniają się piękno sadów, wąskie mostki nad słono-słodką wodą, palmy, eukaliptusy i tamaryszki, zagubione w piasku egipskie cmentarze z osobliwymi wypukłymi, beczkowatymi grobami, niewielkie boisko przy drodze szybkiego ruchu, chude krowy nad brzegiem porośniętym trziną, kozy na polu koniczyny, willa obok wysypiska śmieci, sześć koni na błotnistej równinie, która paruje, niekończące się cienie bez konturów.

Niezbyt wiele możliwości miała kobieta w sytuacji Chamutal, z niemowlęciem na ręku, żeby pokonać ponad dwieście kilometrów z Aleksandrii do Al-Fustatu. W jedenastym wieku istniały tak zwane kanały sezonowe, kiedy dolny Nil niósł ze sobą dużo wody, dzięki czemu tworzyły się liczne szybkie drogi wodne. Jedną z nich, kanał aleksandryjski, umożliwiało przedostanie się z Aleksandrii do Al-Fustatu w niecały tydzień.

W chwili przybycia Chamutal takiej możliwości jeszcze nie było; kanał jest żeglowny jedynie między sierpniem a październikiem. Słyszała historie o niebezpieczeństwach, na jakie były narażone statki, które przez zgiełkliwe ujście zachodniej odnogi Nilu, Rosetty, próbowały z otwartego morza wpłynąć na nurt. Osad nanoszony przez olbrzymie masy wody szybko tworzy tuż pod linią wodną ruchome piaszczyste łachy. Woda morska, napędzana przez północne wiatry, faluje i z wysoka uderza w wodę wpadającą do morza, przez co niezliczone statki osiadają tam na mieliźnie, toną albo zostają wciągnięte przez błotniste prądy i rozbijają się na drobne kawałki.

Arabski kronikarz Ibn Haukal opisał w dziesiątym wieku, jakie ryzyko i niebezpieczeństwo stanowiło podróżowanie deltą Nilu. Również dokumenty z kairskiej genizy dają wgląd w niebezpieczeństwa, świadectwa nie kłamią: pływanie po Nilu często było syzyfową pracą. Nawet jeszcze pod koniec siedemnastego wieku podróżujący do Kairu woleli drogę lądową aż do położonych dalej na południe oaz nad Nilem. Francuski kancelista Antoine Morison słyszy w 1697 roku opinie Turków, że kto nie boi się Bogaze albo ujścia Nilu, Boga się nie boi. Dzień i noc żeglarze stoją na niespokojnych nabrzeżach, trąbieniem ostrzegając lekkomyślnych szyprów przed kapryśnymi ruchami wody, a wiele statków czeka nieraz dwa tygodnie, dopóki północny wiatr się nie uspokoi, zanim odważą się wpłynąć w ujście pod prąd.

Nil jest jak kwiat lotosu, powiadali starożytni; jego łodygą jest południowa część Doliny Nilu, delta na północy tworzy zamknięty kwiat, a nizina Fajum to pęk przy głównej łodydze. Herodot nazywał Egipt nie inaczej niż podarunkiem Nilu; ale ten olbrzymi lotos, ten dawca życia Egiptu był także zabójczym, gwałtownym organizmem. Wszystkie statki płynące do Kairu muszą zmierzyć się z przeciwnym prądem, bo ogromne masy wody z wyżyn Etiopii i Sudanu Południowego spływają do Morza Śródziemnego. Kiedy zastyga meltemi, prawie nieustannie wiejący północny wiatr, który nieraz daje się odczuć aż w Kairze, można w końcu minąć niebezpieczne ujście i dość łatwo stawić czoła nurtowi, mając wiatr w plecy. Przy bezwietrznej pogodzie niestabilne często feluki muszą jednak być holowane. Holowniczy brną z trudem wzdłuż trudno dostępnych brzegów; przedzierają się po pas w wodzie i błocie, ale z powodu przeciwnego prądu ledwo udaje im się ruszyć statek. Jeżeli osiada na mieliźnie bądź jednej z licznych porośniętych trawą wysepek, ugrzęźnie w trzcinie czy wodorostach, robi się użytek z bosaków, którymi jest sprawnie odpychany. Kiedy południowy chamsin nawiewa do Doliny Nilu masy piasku znad gorącej Sahary, o płynięciu w górę rzeki nie ma mowy. Podmuch wiatru zwyczajnie przewraca wtedy niektóre mniejsze statki, takie jak starożytne dzierymy czy džarmy, wywracają się, a płynący nimi toną w falach albo pod statkiem. Z powodu skomplikowanej sytuacji na Nilu w portach zawsze panuje nerwowa bieganina. Nieustannie dyskutuje się o stanie wiatrów, porach roku, alternatywnych trasach żeglugi, o sytuacji w ujściu Rosetty, przewidywanym czasie oczekiwania, liczbie sak – stosowanej w tamtej epoce mierze, której długość nie jest pewna – jaką miało się nadzieję przepłynąć w ciągu dnia. Ponadto w Aleksandrii istnieje też sprawna komunikacja karawanowa, można się więc zdecydować na podróż lądem.

Chamutal nie chce ryzykować i postanawia w ten sposób dotrzeć do spokojniejszego nurtu dalej na południu. Po kilku dniach zastanawiania się i nieustannego chodzenia między handlarzami i żeglarzami, którzy ciągle próbują ją okpić, ze względów bezpieczeństwa wybiera żydowskie karawany handlowe, znane jako karawany szlaku genizy. Po okazaniu listu polecającego dostaje specjalną ochronę i lepsze warunki podróży. Świat, w którym teraz się zanurza, wydaje jej się hektycznym snem. Kurz wzbija się w upalnym wietrze, wszędzie słychać pokrzykiwania, smród jest nie do zniesienia, harmider nigdy nie ustaje; przy zakurzonych ulicach widzi handlarzy, którzy produkty żywnościowe wystawiają obok odchodów wielbłąda, widzi suszone ryby oblepione przez muchy, krowie żołądki obok mis z suszonymi daktylami. Po raz pierwszy, z dzieckiem na ręku, musi wsiąść na klęczącego wielbłąda, nagle spada z niego po drugiej stronie, dziecko turla się w piasek i płacze. Ludzie dokoła śmieją się, jakiś mężczyzna pomaga się jej podnieść, wskazuje na koniec ulicy, Chamutal go nie rozumie. Mężczyzna bierze ją pod ramię, prowadzi do swojej żony i córek, które się do niej uśmiechają i zaczynają nawzajem przekrzykiwać. Zostaje zaprowadzona do ciemnego pomieszczenia na tyłach starego domu, otrzymuje mały pokój z łóżkiem i dywanami, przynoszą jej czarkę z wodą i oliwki. Następnego dnia budzą ją, jakiś mężczyzna stoi przed domem, zwraca się do niej po hebrajsku: może dołączyć do karawany w kierunku Al-Fustatu.

Wielodniowa podróż przez deltę, upał i monotonia, kołyszące człapanie zwierząt, zatrważający pierwotny dźwięk, jaki wydają, odór ich odchodów, piasek w każdym zagłębieniu skóry. Po kilku dniach docierają do małej oazy w północno-zachodniej części delty Nilu. Po drodze od czasu do czasu pojawia się zagrożenie ze strony drapieżnych zwierząt i węży; dieta diametralnie różni się od tej, do której jest przyzwyczajona; już po paru dniach dostaje mdłości i kolek, biegunki, jest odwodniona, gorączkuje, ma posklejane oczy. Całymi dniami nękają ją wymioty, zostaje ułożona w dużym wiklinowym koszu na wielbłądzie. Gruba, zawsze uśmiechnięta kobieta karmi piersią jej dziecko, które jest spokojne i z ciekawością przygląda się wiecznie niezmiennemu niebu.

>Kafr ad-Dawwar, Sidi Ghazi. Pustynny wiatr, upał, oślepienie; dziecko, które teraz też ma objawy odwodnienia; jest samotną kobietą bez znajomości arabskiego, posługującą się łamanym hebrajskim, którego uczył ją jeszcze Dawid, próbuje dogadywać się na migi. Raz na jakiś czas wyczarowuje złotą monetę, ostrożnie, żeby nie sugerować, że ma przy sobie więcej pieniędzy. Czasem znajduje ochronę, czasem spotyka się z uprzejmością, za którą idzie oszustwo, niekiedy ktoś jej grozi, raz nawet próbowano się jej nastęczać. Z listem polecającym Obadiasza w kieszeni jest zwykle jednak traktowana z szacunkiem; pozostaje uprzywilejowanym podróżnym, mimo całego swojego nieszczęścia. Nocą śpi z dzieckiem w ramionach pośród innych kobiet; ognisko trzyma szakale na dystans.

Na wysokości Kafr az-Zajjat w Al-Gharbii, Prowincji Zachodniej, mniej więcej w połowie drogi, karawana dociera do Nilu. Zostaje zarządzony postój. Ryb jest tam pod dostatkiem, brzegi rzeki są urodzajne, na targu sprzedaje się owoce, oliwę, kozi ser, warzywa, mocno przyprawioną baraninę i wyśmienity płaski chleb; podróżni mogą nabrać sił, śpią w jednym z licznych miejsc postojowych nad rzeką. Chamutal ma jeden dzień na odpoczynek, umycie dziecka i zadbanie o nie. Tymczasem jest niemal pełnia lata. Skwar przypomina stale obecną halucynację, zapach wielbłądzich odchodów przenika wszystko. Chamutal jest zmęczona, tak wyczerpana podróżą i tak kompletnie zdezorientowana, że nie chce iść dalej z karawaną. Od upału staje się ospała, piasek i pot szczypią ją w oczy, podrażniają skórę. Samotność pustynnego krajobrazu mają na chwilę za sobą, na targu nad rzeką panuje ożywienie, rozlegają się okrzyki po arabsku, hebrajsku, grecku i turecku. Pełno tam mieszkańców Lewantu i Bizancjum, Turków seldżuckich, Etiopczyków i Maghrebczyków.

Tego dnia nie wstaje, leży otępiała w cieniu pod płachtą namiotową, wycieńczona biegunką, z piaskiem w oczach, a gorący wiatr głaszcze jej twarz. To znowu płacze, aż serce się kraje; kupcy, którzy obiecali towarzyszyć jej do Al-Fustatu, stoją zmieszani wokół niej, poganiają ją, żeby wzięła dziecko na rękę, wstała i wsiadła na wielbłąda, który przykląkł dla niej kawałek dalej. Kręci głową, jej płacz jest dziki i wręcz zwierzęcy. Szczelnie zasłania twarz granatowym czadorem, łka, przyjmuje pozycję embrionalną. Dziecko też zaczyna płakać. Mężczyźni przez chwilę się naradzają, pozwalają jej dojsć do siebie, po półgodzinie znowu pytają, czy nie chce iść dalej. Ponownie kręci głową, głośno płacze, kilku mężczyzn stoi teraz wokół płachty namiotowej, pod którą leży Chamutal. Jeden z nich podchodzi do niej, to Embriachi, kupiec z Palermo, który obserwował ją już na statku. Rabin, który miał jej towarzyszyć, już wyruszył. Embriachi przyklęka przy niej, tłumaczy, że następnego dnia będzie tędy przepływał statek płaskodenny do Al-Fustatu, że nazywa się Al-Iskander, że on zna kapitana, że Chamutal może z nim popłynąć. Żeby pokazała swój list, że w ten sposób będzie mogła spać i nabierać sił w czasie rejsu. Będzie na nią czekał następnego dnia. Patrzy zdziwiona, niezbyt rozumie, co mężczyzna mówi, jej głowa znowu opada do tyłu, wydaje się, jakby zasypiała. Karawana szykuje się do drogi, znoszone są paczki i worki, bagaż zostaje umocowany do klęczących zwierząt jucznych. Gromada rusza w głośnym zgiewku. Ryczenie wielbłądów, krzyki mężczyzn. Wysoki dźwięk, jaki wydają kobiety, brzmi przenikliwie i nierealnie. Stopniowo hałas się oddala; są już tylko wiatr i upał. Wyczerpana kobieta jak przez mgłę słyszy szumiące drzewa nad brzegiem Nilu, głosy bawiących się chłopców w płytkiej wodzie przy trzcinowych zaroślach. Zapada w sen i śni jej się cicha górską wioska, w której kiedyś zbierała tymianek, jej dzieci bawiące się na rześkim wiosennym wietrze. Ale na obrazie jest krew, przesłania go nieprzejrzana ciemność, coś, w czym Chamutal się zapada i co grozi uduszeniem. Łapiąc powietrze, rozgląda się dokoła. Kucają przy niej dwie kobiety, jedna z nich trzyma na ręku jej dziecko. Chamutal zrywa się na równe nogi, kobieta, śmiejąc się, odpycha ją z powrotem, wstaje i idzie z dzieckiem do stojącej nieco dalej małej chaty. Chamutal z trudem idzie za nią, kobieta nie chce oddać dziecka, kręci głową, śmiejąc się. Chamutal szarpie ją za rękę, dziecko płacze, obie szarpia dziecko, krzyczą i popychają się, Chamutal widzi ból i panikę w oczach swojego syna. Puszcza, idzie za kobietami. Wchodzą do ciemnej chaty, ogłuszające brzęczenie much i gzów, odór psującego się mięsa. Chce odzyskać dziecko, kobieta odmownie kręci głową. Potem widzi, jak dwie kobiety stawiają w piasku na środku chaty misę z mętną wodą. Spryskują dziecko, znowu się śmieją. Bez przerwy trąkoczą, zdejmują postrzępione gałgany, nacierają balsamem dziecięce ciało, widzą, że nie jest jeszcze obrzezane, chichoczą, zawijają w jasną bawełnę. Oddają jej syna. Głowa opada jej do tyłu, Chamutal zwała się jak kłoda, nieprzytomna leży na piasku z pianą na ustach. Kobiety kładą dziecko na paru liściach palmowych, wachlują omdlałą kobietę.

Jest noc, kiedy się budzi; ma posklejane oczy, pogryzione wargi, a gardło ją piecze, oddycha z trudem. Gorączkuje, tyfus ją wycieńczył, serce wali jak oszalałe, jest zlana potem. Panuje zupełna ciemność; przez niewielki otwór widzi nierealnie lśniący nieboskłon; żaby robią piekielny hałas na błotnistych brzegach kilku bagien przy potoku. Wydaje się jej, jakby wszystko zostawiła, jakby nigdzie jej już nie było, jakby wisiała gdzieś pomiędzy, bez własnego ciała, bez własnego ciężaru; leży w miękkim, znieczulającym żarze, stawie płomieni, który spala i zagłusza jej myśli, stan między snem a śmiercią, w którym smutku i lekkiej euforii nie da się już od siebie odróżnić. Właściwie dogorywa, ale nie jest tego świadoma. Błędym świtem, na chrapliwy dźwięk krzyczącej czapli znowu się budzi; kobiety są już bardzo zajęte, odwijają z niej ubranie, nacierają ją gorzko pachnącą mieszaniną piołunu, konopi i tranu, podają jej coś do picia, co ledwo udaje jej się przełknąć. Zostaje zawinięta w płótna, zwraca wypity napój,

ponownie zasypia. Tak upływa ponad tydzień, a ona nie ma świadomości czasu ani miejsca. Balansuje między życiem a snem, delikatnie osuwa się w ciemny tunel i czasem przestaje oddychać, po czym kobiety szturchają ją, klepią po policzku, spryskują wodą. Unosi się nad bezdenną studnią swojej kuszącej, pocieszającej, zasysającej, nieodpartej śmierci; już dawno zostawiła wszystko za sobą, ogarnia ją nierzeczywisty spokój, widzi Dawida w uliczce, mija ją z Jakubem za rękę, lecz nagle Dawid jest chodzącym tułowiem bez głowy, Chamutal budzi się i znów wymiotuje, ponownie zasypia.

Minie cały miesiąc, zanim ponownie będzie mogła stanąć na nogi i zrobić kilka kroków; jest tak wychudzona, że przypomina żywy szkielet. W jej oczy wdało się zapalenie, w ranie na lewym ramieniu zagnieździły się larwy much. Kobiety na nowo ją myją, rozmawiają hałaśliwie i niezrozumiale jak zwykle. Godzi się na wszystko, nawet nie pyta o dziecko, które na zewnątrz w słońcu chodzi na czworakach ze zdartymi kolankami za innymi dziećmi na brzegu. Chamutal z trudem nabiera sił, ponieważ jej organizm zatrzymuje mało jedzenia. Stopniowo zaczyna sobie zadawać pytania. Dlaczego te kobiety troszczą się o nią? Dlaczego nie ma tu żadnego mężczyzny? Dopiero po paru kolejnych dniach rozumie, w czym rzecz: te dwie kobiety prostytuują się na przepływających Nilem statkach, są wykluczonymi, pariasami próbującymi w chacie w pobliżu rzeki żyć na swój prymitywny sposób z tego, co się im uda zdobyć. Nikt się nimi nie interesuje. Orientują się w zwyczajach i sposobach postępowania, na nic się już nie nabiorą. Kiedy Chamutal doszła trochę do siebie, zabierają ją ze sobą na brzeg, gdzie się kąpią. Godzinę później przypływa następna feluka, kobiety oferują Chamutal jednemu z ludzi na łodzi. Chamutal się wyrывa, bosman wymierza jej cios w głowę za stawianie oporu, z miejsca traci świadomość i zwała się ciężko na ziemię. Kobiety zanoszą ją z powrotem do chaty i złorzeczając, zostawiają tam na wpół żywą. Gdy pod wieczór się budzi, wpada w panikę; słońce stoi nisko, panuje wilgotny zaduch i jest ciepło, wokół niej koszmarnie roi się do owadów. Jej dziecka nie ma, słyszy głośny śmiech kobiet daleko nad brzegiem. Gdzie się podział jej list polecający? Reszta bagażu? Gdzie tych parę złotych monet, które tak dobrze ukryła? Gdzie ona właściwie jest, gdzie w tym doprowadzającym do szaleństwa świecie się znajduje, dokąd ma się udać? Zrywa się, ma pękniętą wargę, a na brodzie skorupę skrzepłej krwi, kiedy liże wargi, rana się otwiera. Przelyka krew, serce wali jej jak szalone. Chwiejnym krokiem wychodzi na zewnątrz, parę kóz podchodzi do jej nóg. Gdzie są dzieci? W oddali słyszy dziecięce głosy. Z trudem idzie w tamtą stronę, widzi, że jej syn śpi wśród śmieci i łachmanów. Kilka brudnych kóz wałęsa się przy kępach trzciny. Podnosi niedożywione, zabrudzone dziecko, zdaje się nic nie ważyć. Kawałek dalej siedzi sęp z wężem w dziobie. Rzuca nim tam i z powrotem, uderza jego głową o piasek, aż wąż przestaje się ruszać i bezwładnie zwisa mu z dziobu jak kawałek szmaty. Potem go rozszarpuje i dławiąc się, pożera swój odrażający posiłek. Gdzie teraz jest mój mały Jakub? – huczy jej w głowie. Całuje nieruchome dziecko w zwisającą główkę, ostrożnie kładzie je na stercie płótna w chacie, gorączkowo szuka swoich rzeczy, wywraca wszystko, co widzi, znajduje tylko małą torbę ze zwiniętym pergaminem, jej list polecający i tefilin Dawida; złote monety zniknęły. Wsadza swój tobolek pod kawałek materiału, którym przewiązuje się w pasie jak szalem. Kręci jej się w głowie, o mały włos przewróciłaby się do przodu, uderza ramieniem w glinianą ścianę, podnosi dziecko, zawija je w brudne materiały, które tam znalazła, z trudem idzie ku brzegowi. W milczeniu pokazuje wycieńczone dziecko z głową oblepioną muchami paru mężczyznom, którzy siedzą na brzegu, pijąc; bąka coś słabym hebrajskim, jeden z mężczyzn woła w stronę przycumowanej płaskodennej łodzi. Pojawia się jakiś człowiek. Pyta ją po aramejsku, czego chce. Chamutal upada na kolana, szlocha, wyjmuje list, pokazuje go mężczyźnie. Ten rozwija pergamin, ogląda manuskrypt, przygląda się kobiecie nieufnie i badawczo, kiwa głową w stronę galery. Chamutal wstaje, ostrożnie bierze otępiełe dziecko,

kulejąc, wchodzi na pokład, dostaje miejsce na ławce, gdzie kładzie się, dysząc. Kiedy jest ciemno, obok niej przechodzi jedna z kobiet z pomieszczenia pod pokładem. Widzi Chamutal, zaczyna trąkotać wysokim i gniewnym głosem, daje jej kopniaka. Nagle znikąd pojawia się Embriachi, brutalnie spycha przeklinającą kobietę z pokładu, gestem pokazuje Chamutal, żeby wstała. Skąd wziął się tu Embriachi? Idzie za nim posłusznie, on wskazuje jej swoją małą kajutę, Chamutal kładzie się na drewnianej pryczy z gałganami. Znowu zapada w kamienny sen; kiedy budzi się po paru godzinach, czuje go poruszającego się na niej. Podciągnął jej spódnice, jest już w niej, nawet się nie wystraszyła. W jej ciele rozchodzi się spokojne ciepło, smutek i żar, coś, czego nie potrafi kontrolować. Mężczyzna pachnie haszyszem i rybą, Chamutal się nie rusza, ale czuje, że robi się wilgotna i że ogarnia ją pragnienie, nie sprzeciwia się. Po kilku minutach mężczyzna dochodzi, wydając warczący dźwięk, czuje jego szorstką rękę na swoich sutkach, jego nieogolony policzek trze o jej szyję. Zsuwa się z niej i od razu zasypia. Kiedy o brzasku statek powoli zaczyna się kołysać, mocno czepia się mężczyzny, w milczeniu, oczy zamknięte, przyłapuje się na tym, że głaszcze jego ramię. Ludzie z łodzi wtykają kije głęboko w błoto przy brzegu, stary niski żagiel zostaje rozwinięty. Feluka płynie z wiatrem w plecy w górę rzeki ku środkowi brunatnożółtej wody, szuka łagodnych prądów, wiosłarze pracują w rytm bębna. Jest w drodze do Al-Fustatu, starego Kairu, oddalonego o sto kilometrów. Słońce już pali. Zapach błota i ryby, lin i drewna w dusznej kajucie. Para wzbija się z wody, bulgocząc, świat znowu jest w ruchu. Kupiec chrapie. Dziecko – w tobołku ze szmat i gałganów – już nie oddycha.

VII

KAIR

1

Tunub, Al-Kam, Al-Birigat, Gizzaja, Izbat al-Chatabijja, Abu Ghalib, Al-Kata, Al-Kanatir al-Chajrijja, miejsca współcześnie znajdujące się w Delcie, brudnobiałe – nazwy, które pojawiają się i znikają, które z nich już istniały?

Znowu muszę wyczyścić mapę, usunąć prawie wszystko, co na niej jest, a zamiast tego wstawić tylko parę nazw i rzeczy. Ale żywioły mamy wspólne. Lekkie burze, nagłe deszcze, parę i chmury, mgłę, palące słońce, ciemnofioletowe poranne niebo z krążącymi orłami, brzydko pachnące wieczory na wodzie, rzucającą się rybę, dźwięczne głosy na brzegu. Cumowanie, zaprowiantowanie, targowanie się, ponowne odbijanie statkiem, płynięcie pod prąd, czasem posuwanie się do przodu z wielkim trudem, przybijanie do brzegu w piaszczystych zatokach. Zdarta skóra, przepływająca w wodzie martwa koza, spuchnięta jak balon. Szorstkie ręce wioślarzy, dziwny śpiew o zmierzchu, z którego nic nie rozumie. Ospale ryczące bawoły wodne w żółtym nadbrzeżnym błocie. Czaple i żaby.

Zabalsamowane martwe dziecko zostaje po dwóch dniach zabrane z pomieszczenia pod pokładem, podczas gdy trzech mężczyzn przytrzymuje Chamutal; krzyczy jak opętana. Mała mumia zostaje wyrzucona za burtę, dwóch mężczyzn z zapamiętaniem uderza w bębny, a trzeci gra na jęczącym instrumencie dętym. Kobiety wydają przenikliwe dźwięki, od których Chamutal wpada w panikę. Zawiniątko znika w brunatnej wirującej wodzie. Giętko odwracający się grzbiet krokodyla pokazuje się tuż pod powierzchnią wody. Przez straszliwie długą chwilę w brunatnej wodzie niewyraźnie pojawia się czerwony obłok, potem nic więcej. Chamutal łapie oddech, wyrывa się. Mężczyźni na łodzi chórem rytmicznie nawzajem się zagrzewają, muzykanci jeszcze trochę biją w bębny, potem zapada cisza i nie ma niczego poza uderzaniem fal nurtu o niski dziób. Chamutal wykorzystuje moment i chce wyskoczyć za burtę, jeden z mężczyzn rzuca się ku niej, chwytając w żelaznym uścisku. Uderza ją, popycha na ławkę. Jej policzki krwawi; śluz, kurz, krew i łzy. Przez resztę dnia Chamutal zdaje się nie należeć do świata żywych. Patrzy przed siebie tępy, zamyślony wzrokiem, kołysze się wraz z falami. Pod wieczór podnosi oczy, ze wstrętem obserwuje, jak mężczyźni jedzą surową rybę. Jest teraz zupełnie sama, z wyjątkiem lubieżnego kupca, który trzy razy dziennie próbuje się do niej przymilać niezrozumiałymi słówkami i na pół bezzębny śmiechem, który ją niekiedy rozbawia, ale najczęściej odpycha. Je mało, śpi przez większą część dnia, budzi się pod wieczór, siada wtedy w chłodzie na tylnym pokładzie i słucha majestatycznie wolno płynącej wody.

Kiedy minęli ostatnią zatokę, półtora tygodnia później, w padającym z naprzeciwna świetle wyłaniają się drżące budynki Al-Fustatu. Lipiec jest skwarny, wszystko wydaje się urojeniem. Chamutal prawie nie ma więzi z niczym namacalnym. Półprzytomna dryfuje poprzez dni, oderwana od wszystkiego i wszystkich. Obojętnie i w milczeniu wpatruje się w przepływający świat, którego nie zna i znać nie chce. Jest pora szemu, okres, w którym nie spada ani kropla deszczu, wszystko wysycha i kamienieje. Statek prześlizguje się aż do słynnego mostu pontonowego, który od ósmego wieku łączył Rodę z Al-Fustatem. Stamtąd widać budynek nilometru. Kawalek dalej ukazuje się wielki meczet Amr Ibn al-Asa z baśniowymi minaretami z epoki Umajjadów; imponująca *skyline* daje wyraz potęgi Fatymidów w Egipcie. Na Rodzie, przy węższej części Nilu, islamscy wojskowi strzegą dostępu do miasta; Chamutal widzi budynki, żołnierzy, statki kołyszące się przy nabrzeżu, wszędzie mrowi się od ludzi.

Misr al-Fustat lśni i błyszczy w kłębach kurzu i popołudniowym słońcu. Chamutal wysiada z nilowej łodzi bez jakiegokolwiek bagażu, Embriachi pomaga jej zejść z pokładu. Jest ostatnio szorstki, ponieważ przestała odpowiadać na jego próby zbliżenia. Zanim zdąży się odezwać, wsadza jej do ręki prymitywny plan miasta, na którym dużymi literami jest zaznaczona synagoga Asz-Szamajni. Gestem pokazuje, żeby tam poszła, żeby tam pokazała swój list polecający od Obadiasza. Z kwaśną miną kiwa do niej głową, odchodzi, zostawiając ją na piaszczystym nabrzeżu.

Chamutal czuje się mała i zagubiona; ma nadzieję, że egipscy muzułmanie nie będą się jej, jako Żydówce, naprzykrzać, a nawet pomogą tam, gdzie to tylko będzie możliwe, choćby działa się to mimochodem i bez osobistego kontaktu. Dawno temu w Narbonie ojciec Dawida powiedział jej, że hiszpańscy muzułmanie pozwalają Żydom spokojnie żyć, dopóki ci płacą wymagane podatki. *Zimmi*, jak nazywali Żydów, mogli dzięki temu liczyć nawet na ochronę, ponieważ stanowili źródło dochodów. Miała nadzieję, że tu nie będzie inaczej. Ale Chamutal, bez grosza przy duszy, brudna i o północnym wyglądzie, na razie do niczego nie może sobie rościć prawa. Dopóki nie znajdzie dachu nad głową i opieki, jej los jest niepewny.

*

Oto dawna chrześcijańska dziewczyna wikińskiego pochodzenia z Rouen, urodzona cztery lata po bitwie pod Hastings. Jest lipiec 1097 roku. Kair szumi, wiruje i drży w słonecznym skwarze. W jej rodzinnym mieście wymordowano prawie wszystkich Żydów. Jesziwa, którą tak dobrze знаła, została spalona i wszystkie dokumenty przepadły. Wciąż jeszcze o tym nie wie; ani o tym, że jej matka, która ciągle jest rozgoryczona zniknięciem córki, na widok rzezi wykrzykuje:

– Będą mieli nauczkę, przekłęci Żydzi!

Chamutal ma prawie dwadzieścia siedem lat, i to wszystko; jest kobietą błakającą się po świecie niebędącym jej światem, zagubiona w losie, który ledwie pojmuje, w drodze do Jeruzalajim, miasta trzech bogów, gdzie ma nadzieję odnaleźć Jakuba i Justę. Patrzy na niebo, upalne słońce powietrze Al-Fustatu; na ludzi w łodziach, którzy schodzą na ląd i ustawiają pakunki na brzegu; widzi dzikie koty wałęsające się wśród rybich resztek, psy z ropiejącymi oczami obsikujące drewniane pale albo ogryzające cuchnące kości; małych chłopców, którzy – szybcy jak wiatr na błyszczących idealnych nogach – odbierają pakunki od świeżo przybyłych podróżnych i dźwigają je za jałmużnę; wyłaniające się z ciemnych portyków kobiety o zasłoniętych twarzach. Jej jasne, kiedyś bujnie kręcące się włosy są przepocone i szare, ukryte pod ciemnym szalem; skóra twarzy łuszczy się i ma ziemistą barwę, spojrzenie jest zgaszone z powodu wyczerpania i niedostatku. Zdumiona patrzy za Embriachim, przez chwilę ma ochotę za nim pobiec, paść przed nim na kolana, prosić, żeby zabrał ją ze sobą, by ją ochraniał, ożenił się z nią, wszystko jedno. Wtedy widzi, że mężczyzna wsiada do ciągniętej przez wielbłąda dwukółki i szybko znika w ulicznym rozgardiaszu. Chamutal przez jakiś czas wałęsa się w tłumie na nabrzeżu, niezauważona, nierzucająca się w oczy, bardziej zjawą niż człowiek. Żebrze o odrobinę chleba i koziego sera, prosi gdzieś o kawałek arbuza, pije wodę z małej fontanny, przy której bezpańskie żółte psy wsadzają brudne pyski w jej spódnicę. Błąka się w kurzu starej dzielnicy z rozpadającymi się ciemnymi budami, dochodzi do jakiegoś placzyku, z trudem siada pod rozłożystą starą akacją, która dziwacznie i krzywo wyrasta z białych ruin. Jest jak pijana po wielodniowym kołysaniu na falach. Nogi jej się płaczą. Nie potrafi usiedzieć prosto. Wszystko dokoła wiruje, Chamutal przewraca się na bok, leży jak ogłuszona. Jej ręce czepiają się zapiaszczonej trawy. Wokół niej brzęczą chmary złotoniebieskich much, pies cuchnącym

jęzorem liże ją po policzku. Prawie nie reaguje; znowu trwa to do wieczora, zanim trochę dojdzie do siebie. Nikt nie zwraca na nią uwagi. Zagubiona przemierza kilka ulic, pytającym wzrokiem pokazuje wytwornie ubranemu mężczyźnie niewielki plan miasta, ten dokładnie się jej przygląda, po czym w milczeniu wskazuje kierunek, w którym powinna się udać. Około dziewiątej, utykając, dochodzi na wysokości starego kościoła Mar Girgis do synagogi. Jest już ciemno. W wąskich uliczkach nikogo nie ma; pachnie tam kurzem i uryną. Nagle staje na końcu dzielnicy i widzi synagogę przy murach miejskich. Kładzie się obok dużej studni za budynkiem i zasypia. Nie wie o zmii wślizgującej się w fałdy jej ubrania, o żółtym skorpionie przy jej ręce, o bezpańskim psie, który ją obwąchuje, o tym, że ten pies ratuje jej życie, chwytając wijącą się zmięję za pysk i odrzucając ją; nie ma pojęcia o mrocznej drodze, jaką skorpion pokonuje między jej ręką a małym zagłębieniem wśród kamieni studni Mojżesza. Nie ma najmniejszego pojęcia. Jeszcze oddycha, to wszystko.

To właśnie stwierdza następnego poranka rabin, gdy po otwarciu drzwi synagogi idzie do studni na tyłach i ku swojemu zdumieniu znajduje tam wycieńczoną śpiącą kobietę.

2

Schodzę do metra, zostawiając za sobą uliczny zgiełk na placu Tahrir. Na stacji Mar Girgis wysiadam wśród wielu kobiet w butach Nike i nikabach oraz mężczyzn ze smartfonami w dłoniach. Przez chwilę muszę szukać, bo jest podobnie jak w Rouen: wejście do starego miasta leży zatopione kilka metrów pod dzisiejszym światem. Tamtej lutowej soboty trochę dokucza mi upał, gdy nierzucającymi się w oczy schodami docieram w końcu do średniowiecznych miejskich pozostałości Al-Fustatu, obecnie nazywanego Starym Kairem. Zamknięta jak getto – przebiega mi przez głowę na widok starej bramy z przepięknymi okuciami, która zagradza wejście do dzielnicy. Gdy chwilę wcześniej przechodziłem przez pokrytą białym kurzem ulicę, na błękitnym tle widziałem lśniące o poranku osłepiające mury koptyjskiego kościoła Świętego Jerzego – Mar Girgis. To nie ten budynek widziała Chamutal – tamten spłonął sto lat po jej podróży. W wąskich uliczkach jest chłodno. Starszy Żyd oferuje mi folder za dwadzieścia funtów, ale go nie biorę. Nieustannie zapraszają cię tu do środka na jakąś tandetę, filiżankę herbaty, proszą o bakszysz, oferują zawilą opowieść, zakurzoną książkę. Wystarczy, że powiem „synagoga”, a wszystkie palce wskazują mi dalszą drogę, aż do końca tego małego, intymnego labiryntu. Podążam tym śladem i nagle ją widzę: synagogę Ben Ezry w Al-Fustacie, w tamtych czasach znaną jako Asz-Szamajni. Biorę głęboki oddech i podchodzę do wejścia; ktoś mówi „szabat szalom”. To tak, jakbym we śnie dotarł do domu.

Miejsce obrosło legendą. Według przekazów tu, przy studni za budynkiem, córka faraona miała znaleźć niemowlę, Mojżesza, w koszyku; tutaj też Mojżesz miał dorastać. Tuż przed synagogą znajduje się prastary kościół Abu Serga, do którego mieli uciec Józef z Marią w czasie ogłoszonej przez Heroda rzezi niewiniątek i w którym mieli pozostać przez trzy miesiące. Synagoga Ben Ezry w Al-Fustacie należała do najstarszych na świecie: Ben Ezra podobno kupił ziemię w 882 roku za dwadzieścia tysięcy dinarów. Wcześniej na tym samym miejscu stał stary koptyjski kościół Świętego Michała. Z tego powodu synagoga miała strukturę małej koptyjskiej bazyliki.

W 1169 roku Beniamin z Tudeli odnalazł tu Torę Ben Ezry i napisał sprawozdanie; czternastowieczny staroegipski autor Al-Makrizi wspomina o tej Torze w swoim dziele *Al-Mukaffa*. Kiedy przybyła tu Chamutal, niezwykle cenny manuskrypt już od ponad dwóch wieków znajdował się w synagodze.

Ostrożnie wchodzę do budynku, ostatniego punktu mojej prywatnej diaspory. Po jesziwie w Rouen, krypcie w Clermont i ruinach średniowiecznego Monieux jest to czwarte miejsce, w którym mogę dotknąć losu Chamutal. Wnętrze jest fachowo odrestaurowane i wprost przepiękne. Wprawdzie nie to średniowieczne miejsce modlitwy widziała tułająca się, wyczerpana kobieta, ale jest to jednak to miejsce i ten dom modlitwy. Renowacja zajęła piętnaście lat; doszła do skutku w ramach izraelsko-egipskich porozumień z 1979 roku.

Idę na prawą stronę, spoglądam w górę na galerię dla kobiet po lewej i zapiera mi dech: na jej końcu widać wnękę genizy, ciemny otwór, przez który wrzucono dosłownie setki tysięcy manuskryptów, żeby Bóg zabrał je z powrotem na wieczne zapomnienie. Niemiecki uczyony Simon von Geldern był przypuszczalnie pierwszym podróżnikiem, który ujrzał skrytkę. Miało to miejsce w 1753 roku. Von Geldern, znany także jako De Gueldre, to dziadek wujeczny Heinricha Heinego; ten opisuje go w pamiętnikach jako swego rodzaju świętego, ekscentryczną

postać, którą nazywano „Morgenländer”, mieszkańcem Wschodu. Von Geldern chyba nie uświadamiał sobie, z czym się zetknął. Dokumentów nie układano jeden na drugim jak w archiwum, lecz bezładnie wrzucano do ciemnego, zamkniętego pomieszczenia. W wielu przypadkach takie genizy czy zbiory wyrzuconych dokumentów w końcu usuwano i rytualnie grzebano. Geniza kairska nigdy zatem nie była przeznaczona do tego, by po kilku wiekach przekazać jeden z największych kulturalno-historycznych skarbów wszech czasów.

Dopiero Solomon Schechter, uczoney, który w 1888 roku dostał w końcu pozwolenie na otwarcie skarbcza, domyślał się, jaki świat się tu przed nim odsłoni.

To, co znalazł, przekroczyło najśmielsze oczekiwania: fragmenty hebrajskiego *Eklezjastyka* Syracha sprzed naszej ery, który uważano za zaginiony, dzieła Majmonidesa, wiersze i listy Jehudy Halewego, fragmenty greckiego tłumaczenia hebrajskiej Biblii przez Akwilę z drugiego wieku, kopie tekstów saduceuszy pochodzące z okresu sprzed zniszczenia Świątyni; relacje naocznych świadków z napadu krzyżowców na Jerozolimę; dokumenty i listy chazarskich Żydów; niezliczone dokumenty kupców, żydowskich zwierchników, papiery islamskiej administracji i porozumienia między obiema społecznościami, podatki i pokwitowania, dokumenty geograficzne i medyczne, płatności, grzywny, interakcje z gminą muzułmańską oraz zarządzenia tejsze; świadectwa ślubów i rozwodów, kwestionowane roszczenia do gruntów i posiadłości, prośby o pożyczki, rachunki za transporty morskie, nominacje rabinów i członków administracji, spory o spadek, wiersze miłosne, wnioski o łaskę albo zapłatę zaległej pensji – wszystko to wrzucano do tej ciemnej dziury przez wieki, ponieważ tekstów, w których występuje imię Boga, nie można zniszczyć ani spalić; Najwyższy sam musi je zabrać. Zapominanie i przypominanie nigdzie nie połączyły się ze sobą w sposób bardziej paradoksalny niż w tej studni zapomnienia z jej nieskończoną pamięcią. Właśnie dlatego stała się największą skarbnicą żydowskiej pamięci: jej znaczenie dla żydowskiej kultury prześciga znaczenie zwojów znad Morza Martwego. Zdumienie Solomona Schechtera ledwie można sobie wyobrazić. Dwieście tysięcy dokumentów, strzępów, ścinków, nadgryzionych przez szczury i myszy papirusów i pergaminów wrzucił do skrzyń i wysłał statkiem do Cambridge. Tamtejszy uniwersytet do dziś posiada największą część tego ogromnego zbioru dokumentów, która jest znana jako Cairo Genizah Collection. Istnieje zdjęcie Schechtera, który w pokoju w Cambridge ślęczy nad ogromnymi stertami manuskryptów. To tam rozpoczęła się wybuchowa, sensacyjna egzegeza, „*battlefield of books*”, która trwa do dziś, a która jest znana i badana na uniwersytetach całego świata. Wielki amerykański uczoney Shelomo Dov Goitein napisał cztery obszerne tomy na temat swojej rekonstrukcji życia w starożytnym Al-Fustacie. Jeden z niezliczonych dokumentów dotyczy prozelitki z północy i jej tragicznego losu. Ma numer T-S 16.100 – litery kodu nawiązują zarówno do nazwiska Schechtera, jak i nazwiska Charlesa Taylora, człowieka, który sfinansował badania, a później kontynuował prace. W 1968 roku dokument T-S 16.100 został przetłumaczony i opatrzony komentarzem przez amerykańskiego uczonego Normana Golba, który ustalił, że rzeczona prozelitka musiała pochodzić ze wsi w ówczesnej Prowansji. 20 kwietnia 1968 roku wygłosił odczyt na ten temat na wydziale kultury żydowskiej w średniowieczu Uniwersytetu Chicagowskiego, a w styczniu 1969 roku opublikował swoje wnioski w „*Proceedings of the American Philosophical Society*”.

Mimo że częściowo wydarte, hebrajskie litery w manuskrypcie, które tworzą nazwę miejscowości, są czytelne: מננא – od prawej do lewej: mem, nun, jod, waw. W transkrypcji: MNYW. Monieux.

Zaraz za synagogą wynurzają się imponujące masywne pozostałości starych murów średniowiecznego Al-Fustat zachowane raczej z niedbalstwa niż przez świadomość historyczną. Stanowią zakurzony monolit, tęgi kawał nieugiętego piaskowca, czworokątną gorącą ruinę, która się uchowała, więcej mówiącą o obojętności historii, niż ja mogę znaleźć słów. Dalej jest rozrzuconych kilka domów, a między nimi można dostrzec początek arabskiego cmentarza, labirynt, w którym tlą się sterty śmieci i gdzie jakaś kobieta w łachmanach chce mi pokazać swój dom – rozpadający się grobowiec, do którego wprowadziła się z kilkoma dywanami oraz małym piecykiem i w którym próbuje dać dzieciom wychowanie. Proponuje mi kawę, zaprasza, żebym wszedł do grobu, ale widzę, że rzuca okiem na moją torbę, i słyszę, że za wysoką płytą nagrobną ktoś hałasuje. Uprzejmie dziękuję, po czym zawracam zakurzonymi uliczkami.

Mijam kościół Abu Serga. Trwa renowacja budynku; z rozchwianych rusztowań zwisają wielkie plastikowe płachty pełne kurzu. Dziesiątki młodych mężczyzn w klapkach, stojąc bez jakiegokolwiek zabezpieczenia i masek przeciwpyłowych na wysokich drewnianych drabinach, ociosują kamień. Z małego radia dudni arabska muzyka.

Jeszcze ponad godzinę wałęsam się po pobliskim koptyjskim cmentarzu, odczytując nazwiska ze wszystkich stron świata. Jaszczurki i skarabeusze, bujnie kwitnąca bugenwilla przy maleńkiej rozpadającej się greckiej świątyni. Ta dzielnica musiała być w czasach Chamutal międzynarodowym tygłem. Starzec przy wyjściu z historycznej dzielnicy ponownie wręcza mi folder, w którym jest opisana historia synagogi. Znowu mijam go w roztargnieniu, zawracam, biorę od niego folder, zapominam coś mu zapłacić. Wchodzę po schodach, zawracam w pół drogi, wręczam mężczyźnie, który wciąż jeszcze markotnie kręci głową, dwadzieścia egipskich funtów i w geście przeprosin kładę mu rękę na ramieniu. Wskazuje na chorą, spuchniętą stopę. Mówię mu, co było powodem mojej wizyty. Szeroko otwiera oczy ze zdziwienia, podnosi się z trudem, obejmuje mnie ze łzami, klepie po plecach.

– *Szabat szalom, szabat szalom* – woła za mną, nieskończona, nienakładająca, która przez wiele dni pobrzmiwa mi w głowie.

*

Teraz muszę jeszcze odnaleźć trasę, którą Chamutal po przybyciu do Al-Fustat przemierzyła od Nilu do synagogi. Robię to w kierunku przeciwnym do tego, jaki prawdopodobnie ona wtedy obrała. Przechodzę wprost przez stację metra Mar Girgis i docieram do zapierającej dech w piersiach orientalnej dzielnicy slumsów. Ruderowate bloki zdają się rozpadać, ale tętnią życiem; balkony przesłaniają znajdujący się za nimi intymny mrok, gdzieś widzę lśniąca w cieniu oczy. Ulice nie są brukowane, wszędzie pełno kurzu i nieprawdopodobnego brudu; wielbłądy leżą w piasku, dokładnie tak jak tysiąc lat wcześniej. Kury gdaczą na ulicach, mroczne otwarte domy okazują się sklepikami, wszystko pachnie palącym się drewnem, ekscytacja, pokusa sennego marzenia. Wiem, że muszę przejść przez tę dzielnicę, żeby dotrzeć do legendarnego nilometru, więc to tu, to tam pytam o drogę. Wiele spojrzeń skierowanych jest na mnie z mroku pokoi: turyści tu nie przychodzą. Zapach, ledwo poruszające się duszne powietrze, intymność tej jawności: ta rzeczywistość mnie zaskakuje. W dymie tłących się kopciuchów wyczuwam kadzidło i mirrę, stary pożar świata. Czuję dziwną pokusę, żeby zostać tu chwilę dłużej, wejść gdzieś do środka, usiąść, żeby się więcej nie podnieść; uświadamiam sobie, że jestem niedyskretny i powinienem iść dalej. Ale tych kilkaset metrów przez tę prastarą dzielnicę pozostanie wypalone we mnie jak krótka, burzliwa podróż w czasie, w trakcie której czułem, doznawałem i przeżywałem coś, co sprawiło, że znalazłem się w opowieści, za którą przez cały ten czas podążałem.

Przejście jest gwałtowne, jak wszystko w tym mieście: na końcu dzielnicy ponownie czeka na mnie pędzący ruch uliczny Kairu, szeroki na cztery pasy, nieustannie trąbiący w ogłuszającej kakofonii wśród buchających kłębow spalin. Po drugiej stronie, do której możesz dotrzeć tylko pod warunkiem, że gardząc śmiercią, nauczyłeś się slalomu między nigdy niehamującymi samochodami, leży węższa odnoga Nilu. Wszędzie na brzegach poniewierają się śmieci, kury grzebią w trzcinie, uganiają się za nimi płowożółte psy. Malownicza kładka dla pieszych prowadzi mnie na wyspę Roda, na której znajduje się nilometr. Jest to studnia głębokości trzech piętér z bramami śluzowymi, w której mierzono poziom Nilu, dzięki czemu można było ocenić, czy powódź użyźni nabrzeża bądź zamieni je w bagna, czy też poziom będzie zbyt niski do nawadniania, więc latem należy się spodziewać suszy i niedostatku. Podziemną budowlę można rozpoznać jedynie po wystającej skromnej spiczastej wieżyczce. Teraz głęboka piwnica jest sucha i oblegana przez samorodnych przewodników, którzy żebrzą o datki. W 1097 roku istniała już od wieków. Długo przypatruję się smukłej kolumnie w zasysającej głębi, małym bramom śluzowym w dole, przez które wpuszczano wodę, oznaczeniom w piaskowcu, inskrypcjom, prastarej pomysłowości w sposobie mierzenia pływów przepełnionej starożytną teologią. Jeśli Chamutal tu przybyła, a nawet mieszkała, prawdopodobnie widziała nilometr. Żeby dojść do synagogi, musiała przemierzyć zakurzone ulice, które niedawno zostawiłem za sobą.

Na nabrzeżnym murku nad migoczącą wodą kawałek dalej czeka na mnie żona, jej oczy są pełne światła i zachwyty. Biorę ją w ramiona z poczuciem, że wspólnie dotarliśmy do kresu pewnej trasy. Lśnienie wody oszałamia nas na wiele godzin.

Znalazłem Chamutal.

3

Rabin budzi Chamutal, potrząsając jej ramieniem, ze studziennego wiadra nabiera garść wody, opryskuje nią twarz kobiety. Chamutal otwiera oczy i rozgląda się otumaniona. Rabin pomaga jej wstać, czuje, jak niepewnie stoi na nogach. Podpiera ją, pomaga usiąść na stopniu. Chamutal machinalnie sięga pod ubranie, podaje mężczyźnie małą skórzaną torbę. Kiedy ponownie przechyla się zmożona snem, stary uczony czyta błagalny list rabina Jozui Obadiasza z dalekiej, górskiej wsi na północy. Czyta dwukrotnie, jego usta się poruszają. Zwija pergamin, na dnie torby znajduje jeszcze niewielkie tefilin, skręcone i zakurzone, żydowskie rzemyki modlitewne Dawida Todrosa. Wiesza sobie torbę u pasa, pomaga kobiecie się podnieść, prowadzi ją do wejścia do synagogi. Nakazuje wezwać żonę, poleca jej zająć się wyczerpaną obcą. Kiedy Chamutal zostaje zabrana, rabin ponownie wchodzi do synagogi, odmawia modlitwę, odkłada na bok list i tefilin Dawida, oddaje się codziennym rytuałom, następnie wchodzi na galerię na piętrze, a chwilę później, niejako z religijną godnością i szepcząc krótką modlitwę, lekko się zamachnąwszy, wrzuca oba przedmioty do ciemnej dziury starej genizy na końcu galerii dla kobiet, gdzie zostają wydane na pastwę kurzu i stuleci.

*

Misr al-Fustat znaczy mniej więcej tyle co „egipskie miasto namiotów”. Legenda głosi, że gołębicą zbudowała gniazdo w namiocie Amr Ibn al-Asa, muzułmańskiego przywódcy z siódmego wieku, który miał podbić Egipt. Amr był pod wrażeniem gołębicy wysiadującej jaja w jego namiocie; dostrzegł w tym znak od Boga. Wyruszając na wyprawę wojenną, nie zwinął namiotu, lecz z powodu gołębiego gniazda kazał go zostawić. Po tryumfalnym powrocie zobaczył, że namiot nadal stoi nietknięty. Gołębie wyleciały. Wtedy Amr kazał dokoła zbudować całe namiotowe obozowisko; Al-Fustat zrodziło się z gołębiego gniazda.

Pod panowaniem Fatymidów Żydzi z Al-Fustatu przeżywali prawdopodobnie swój najlepszy okres. Wzrosły ich prestiż i dobrobyt, mogli liczyć na szacunek i status. Wokół synagogi Ben Ezry rozwinęła się największa gmina żydowska od upadku Aleksandrii. „Żydzi, którzy tam mieszkają, są bardzo bogaci” – pisał Beniamin z Tudeli około 1170 roku. Al-Fustat stało się żydowskim centrum władzy, nie tylko dla Egiptu, lecz także dla Palestyny i Syrii. To zdecydowanie najlepsze miejsce, do którego Chamutal mogła trafić w tamtych dniach.

Potrzebowała wszelkiego możliwego wsparcia i opieki, a zgromadzona wokół synagogi społeczność, dowiedziawszy się, jak wysokiego pochodzenia był jej teść, niewątpliwie z oddaniem otoczyła Chamutal tą opieką. Z pewnością też zdecydowanie odradzano jej zbyt szybką dalszą podróż, i to nie tylko ze względu na stan zdrowia. Niemal codziennie otrzymywano wiadomości o okropnościach wyrządzanych przez krzyżowców na Wschodzie. Pod Konstantynopolem, po pierwszych porażkach tak zwanej wyprawy ludowej, zebrały się duże oddziały francuskich, flamandzkich i normandzkich wojowników. Ruszyły na Jerozolimę, dokonując po drodze rzezi i grabieży. Trwająca od wieków równowaga demograficzna została całkowicie zaburzona. W odwecie i zemście za odwet wszędzie dochodziło teraz do zamieszek i aktów okrucieństwa. Świat stał się nieprzewidywalny w wyniku katastrofy, jaką krucjaty spowodowały na Bliskim Wschodzie. Lekkomyślnością byłoby, gdyby również Chamutal udała

się w tym samym kierunku co krzyżowcy – do tego czasu zdążyli stać się jej największymi wrogami.

Z tego powodu Al-Fustat stanowi punkt zwrotny w jej poszukiwaniach. Ma dobrą opiekę, doświadcza wszelkich dowodów szacunku i respektu, na które zdaniem tamtejszej społeczności zasługuje. Jest tak, jakby powoli budziła się z koszmarnego snu. Coś się w niej jednak załamało, jej żaloba przejawia się w bezmyślnym wpatrywaniu się przed siebie. Po kilku miesiącach staje się bardziej opanowana i nawiązuje stosunki z troskliwymi, wesołymi kobietami wokół siebie. Stopniowo zaczyna sobie uświadamiać, że nie istnieje prawie żadna szansa, że jeszcze zobaczy swoje dzieci żywe; możliwe, że trafiły na ogarnięte chaosem tyły wyprawy ludowej, a nawet zginęły podczas jednej z wielkich porażek tychże hord. Co krzyżowcy w tych strasznych okolicznościach, w których próbowali wywrócić do góry nogami porządek świata, mogli, na Boga, począć z dziećmi? W najlepszym wypadku, jeśli jeszcze żyły, dawno zostały sprzedane na wschodnim rynku do niewoli. Zaczyna sobie uzmysławiać, że Al-Fustat jest dla niej punktem końcowym, a nie miejscem postoju. Tam, w okolicach synagogi Ben Ezry, jest bezpieczna. Musi na nowo co miesiąc schodzić do mykwy. Przyzwyczajają się do chłodnego mroku, zanurzona w wodzie Nilu, która pewnego dnia przypomina jej lodowatą wodę Nesque w mykwie w Monieux. Przez moment myśli: nie chcę się więcej wynurzyć. Ale człowiek żyje, dopóki nie może przestać oddychać. Podnosi się, dysząc, włosy jej ociekają, drży w upalny dzień. Słyszy nowe psalmy arabskiego pochodzenia, starą poezję i modlitwy, *pijutim* i *hizana*, teksty talmudyczne pomieszane z egipskimi inkantacjami. Pobiera lekcje u rabina i zatapia się w codziennym życiu wspólnoty.

Minie dużo czasu, zanim pogodzi się z losem, ale to jednak następuje – stopniowo, dzień po dniu. Dzięki znakomitym usługom promowym żydowskich kupców w Al-Fustacie zostaje nawiązany kontakt z rodziną jej teściów; gdy morze było spokojne, przekazanie wiadomości zajmowało najwyżej trzy tygodnie. W ten sposób dowiedziała się, że jak na razie jej dzieci nie wróciły do Narbony.

*

Czy Chamutal kiedykolwiek widziała piramidy w Gizie, głowę Sfinksa w palącym słońcu? Raczej nie – przedmieście, jakim jest Giza, leży po drugiej stronie ruin Al-Fustatu, musiałaby mieć bardzo szczególny powód, żeby podróżować do tego odludnego miejsca, w którym można było zobaczyć niepojęte rzeczy. Turystyka nie istniała; przeszłość nie stanowiła jeszcze niczego wartego oglądania. Kiedy w końcu sam tam stoję, otacza mnie rój wycieczkowiczów, nie ma więc najmniejszej możliwości, żeby jakkolwiek oddać się przeżywaniu historii. Całe to miejsce psują krzyczący handlarze uliczni, weseli sprzedawcy, arabscy studenci robiący sobie selfie. Ciągnięte przez wielbłądy dwukółki obwożą fotografujących turystów po pustyni. Schroniwszy się w chłodzie wytworzonego Mena House w pobliżu, próbuję sobie wyobrazić, jak w czasach Chamutal obchodzono się z tymi kolosalnymi świadkami nieogarnionej wówczas kultury. Jakie pytania sobie zadawano? Te budowle musiały wydawać się niezwykłe, a w czasach, w których wszystko wiązało się z chrześcijańską, żydowską i muzułmańską religią, prawdopodobnie całkowicie niezrozumiałe. Nie znajduję żadnych świadków z jedenastego wieku, którzy by to miejsce chociaż wymieniali. Może głowa Sfinksa tkwiła głęboko w gorącym piasku.

*

Pewnego dnia Chamutal przypadkowo jest świadkiem publicznego stracenia cudzołżnicy. Kobieta została skazana przez islamski sąd i ma zostać ukamienowana. Pochylona do przodu siedzi na piasku, wokół niej stoją mężczyźni, hałaśliwie dyskutując. Obecny jest również gaon,

przewodniczący jesziwy. Potępia kamienowanie, wywiązuje się uczona dysputa z muzułmańską policją. Gaon robi duże wrażenie, wypowiada się spokojnie i autorytatywnie. Zgromadzeni słuchają. Nagle za plecami spierających się mężczyzn ktoś rzuca dużym, ostrym kamieniem, który uderza kobietę w skroń. Przewraca się na piasek jak kukła. Robi się zamieszanie, dochodzi do przepychanek, wymyślań. Głos gaona ginie w tłumie. Głowa kobiety mocno krwawi. Następny kamień trafia ją w brzuch. Granica została przekroczona. Przygnębiony gaon odchodzi z miejsca mordy i gdzieś daleko w tłumie dostrzega niebieskooką kobietę, która toczy łyzy i przygryza wargę. Jest zdziwiony; zna ją już, był zaangażowany w jej inicjację, ale zaskakuje go, że płacze tu tak bez opanowania podczas jednego z rytuałów, który niestety nazbyt często ma miejsce; czy znała ukamienowaną? Czy dotyka ją to osobiście? Boli go stale, że islamski sąd w takich przypadkach nie uznaje niuansów, dyskusje trwają już od pokoleń. Ponieważ porusza go empatia tej obcej kobiety, podchodzi do niej.

– Dlaczego płaczesz, Chamutal?

Jego pytanie wywołuje w niej tłumiony krzyk, odwraca się, chce odejść. Chwyta ją za ramię.

– Nie odchodź, Chamutal.

Idzie obok, podczas gdy ona spieszy w stronę domu, w którym mieszka z innymi kobietami. Zna gaona, nazywa się Samuel, nie jest to często spotykane imię w przypadku pochodzącego z Aleksandrii romanickiego Żyda. Poczula zagrożenie w jego obecności, nigdy nie zamienili ze sobą ani słowa. Gaon ponownie chwyta ją za łokieć i pyta:

– Dlaczego tak płakałaś? Co ci się właściwie stało?

Chamutal się zacina. Potrząsa głową, wrywa się, wbiega do domu.

Gaon drapie się po brodzie, idzie dalej.

Ale wspólnota jest mała. Kilka dni później widzi ją samą siedzącą przy studni i obserwującą krzątanie przy łodziach na nabrzeżu. Rzuca kamykami do bezdomnych kotów. Siada obok niej i milczy. Słońce przesuwają się przez ciepłą mgłę. Po półgodzinie Chamutal chce wstać. Gaon powstrzymuje ją. Patrzy w jej niebieskie oczy. Dopiero teraz spostrzega, że ma lekkiego zęza; rozczuła go to. Przez kilka minut nic nie mówią. Potem mężczyzna się podnosi, na moment kładzie rękę na jej ramieniu.

– *Galana* – mówi, śmiejąc się: niebieskooka.

Idzie kawałek dalej porozmawiać z rybakami. Chamutal widzi go, jak tam stoi, pod słońce. Jej myśli są bezładne i mroczne.

Przez następne tygodnie regularnie się na siebie natykają; ich spojrzenia stają się coraz bardziej niezręczne. Wieczorami Chamutal często siada jeszcze przy studni Mojżesza. Pewnego wieczoru Samuel siedzi obok niej, przygląda się jej.

– *Galana* – mówi znowu.

Śmieje się szeroko i jakby nigdy nic prosi ją o rękę.

Chamutal wstaje, odchodzi, błąka się po uliczkach. Po kilku dniach wspólnota już wie o zamiarze Samuela. Rozchodzą się plotki, Chamutal jest zagadywana przez kobiety i chichoczące dziewczęta. Kręci głową, chowa się w pomieszczeniach dla kobiet.

Gaon jest dobrze sytuowanym człowiekiem, który cieszy się zaufaniem islamskich władz i należy do elity mincerzy, fachu cieszącego się wysokim uznaniem. Mówi się o nim, że jest surowy i sprawiedliwy, ale ona nie czuje się gotowa, by jeszcze kiedykolwiek dzielić życie z innym mężczyzną. Przez długi czas odrzuca jego coraz bardziej formalne, a zarazem coraz usilniejsze próby zbliżenia, aż w końcu żona rabina mówi jej, że ten prostolinijny człowiek

zaoferuje jej spokój i ochronę, że będzie mieszkała w pięknym i bezpiecznym domu, że gaon będzie gotowy zrobić dla niej wszystko. Wieczorem zasięga opinii rabina. Ten radzi jej to samo.

Chamutal każe wysłać do Narbony wiadomość, w której prosi teścia o poradę. W odpowiedzi czyta, że ma prawo do ponownego zamążpójścia, a zatem i jego błogosławieństwa. Jeszcze przez kilka tygodni nie śpi nocami, w końcu decyduje się wybrać życie zamiast wiecznie trwającej żałoby. Uświadamia sobie, że ci ludzie tutaj stanowią jej nowy dom, że musi skorzystać z tej nowej szansy.

Idzie do domu gaona. Jest letni wieczór, mży, od zapachów wilgotniejącego ubrania mrowi ją nos. Puka do drzwi; gaon otwiera, widzi jej zrozpaczoną minę, kłania się, zaprasza do środka. Chamutal pyta go, stawiając to jako warunek zawarcia małżeństwa, czy jej pomoże: chce jeszcze mimo wszystko pojechać do Jeruzalajim. Jej pytanie go drażni. Siedzi przed nią w milczeniu, po czym odzywa się:

– Pobierzmy się najpierw. Będę się tobą opiekował.

Chamutal wyraża zgodę; gaon kładzie ręce na jej rękach. Następnego dnia stają przed rabinem i każą przygotować wszystko do ślubu, który odbywa się sześć tygodni później.

4

Hierarchia gminy żydowskiej ówczesnego Al-Fustatu była o wiele bardziej sztywna niż w postępowej, oświeconej społeczności w Narbonie. Obyczaje i stosunki społeczne były bardziej konserwatywne, pozycja kobiety mniej wyemancypowana. Chamutal musi się dostosować do nowego porządku; przebywa głównie w pomieszczeniach dla kobiet i nieraz całymi dniami nie widuje narzeczonego. Związek jest też trochę mniej romantyczny niż poprzedni – z pełnym entuzjazmu młodzieńcem, który uprowadził ją do Prowansji. Często widzi Samuela tylko podczas wieczornego posiłku, który w dużej mierze przebiega w ciszy. Okazuje jej szacunek, ale od czasu powzięcia oficjalnego zobowiązania stał się bardziej powściągliwy. Wszystko jest blisko i równocześnie jest nieosiągalne. Dzwon koptyjskiego kościoła rozbrzmiewa w trakcie żydowskiej modlitwy wieczornej; w oddali słychać *Allahu akbar muezzina*.

Przez kolejne dni zasięga rady u krawca w Al-Fustacie co do zakupu przepisowego stroju do modlitwy dla przyszłego męża. Zgodnie z regułami przez ostatni tydzień nie mieli ze sobą żadnego kontaktu. Jej włosy zostają zabarwione henną na ciemno. Parę dni przed ślubem poddaje się rytualnej kąpeli. Pod wodą widzi bezkształtną okropność, krwawiącą małą rzecz w szczękach potwora. Chamutal wynurza się, wychodzi z kąpeli, pozwala podać sobie ręczniki kobietom, które uśmiechają się z powodu jej złotawej gęsiej skórki.

Ketuba, czyli kontrakt małżeński, musi przebyć długą drogę. Zostaje przygotowana i wypisana przez rabina, a następnie przedłożona żydowskiemu rajjisowi. Potem jest przekazywana islamskiej administracji podlegającej mukaddamowi, po akceptacji trafia do najwyższego przywódcy społeczności egipskich Żydów, nagida, i dopiero potem odsyła się ją do synagogi Ben Ezry. Po załatwieniu wszystkich formalności narzeczeni wstępują w związek małżeński; Chamutal znowu staje się żoną znamienitego Żyda. Podpisują ketubę, która następnie zostaje uroczyście wręczona Chamutal na przechowanie. Samuel zakrywa twarz żony welonem. *Chatuna* jest o wiele bardziej egzotyczna, a goście bardziej różnorodni, niż to było na jej pierwszym weselu; przy obwieszczaniu są obecni znaczący muzułmanie i paru koptyjskich chrześcijan. Kiedy wkraczają pod baldachim, rozbrzmiewa dziwna muzyka. Samuel rozdeptuje kieliszek, tym razem odbywa się to bez chusty. Odłamki szkła błyszczą i chrzęszczą pod jego stopami. Muzułmańscy bębniarze na uroczystości wprowadzają Chamutal w stan dziwnej ekscytacji. Goście przynoszą młodej parze prezenty; Chamutal jest pozdrawiana i witana z powściągliwą uprzejmością. Według norm tamtych czasów jest już starszą kobietą, ale wszyscy są zgodni, że dobrze pasuje do majestatu nowego męża.

Pięknie ozdobiony kontrakt małżeński, papirus ze sklepanej trzciny znad brzegów Nilu, został prawdopodobnie pół wieku później, wraz z niezliczonymi dokumentami, wrzucony do ciemnej genizy i zjedzony przez szczury albo myszy. A może odkryły go ręce badaczy w Cambridge czy gdziekolwiek na świecie, ale imiona nie są już czytelne.

*

Chamutal krok po kroku poznaje elitę gminy żydowskiej, chociaż nigdy nie wychodzi na zewnątrz bez towarzystwa. Wraz z innymi kobietami może się jednak swobodniej poruszać. Pobiera nauki u teściowej, która pełni funkcję mu'allimy, czyli nauczycielki. Razem z tą pełną życia, korpulentną kobietą toruje sobie drogę przez piekielny zgiełk arabskich suków, oswaja się

ze zwyczajami i językiem handlarzy, uczy się targowania i dyskusowania o jakości, poznaje tajniki prowadzenia domu lepiej sytuowanej żydowsko-egipskiej kobiety. Zarządza dziesięciorgiem służących – szybkimi jak woda, cichymi ludźmi, którymi przez wiele tygodni kieruje lęklivość przed tą kobietą obco czującą się w ich towarzystwie. Zakasując rękawy, stopniowo zdobywa trochę zaufania. Od swojej kucharki uczy się, jak piec kawałki olbrzymiego okonia nilowego w gorącym popiele, jak robić przetwory z daktyli i fig, jak marynować oliwki i cytryny. Patrzy na ptaki, zawsze nieznośnie czyste niebo, cieszy ją zapach tłęcego się ognia w zaułkach, kwitnących pomarańczy, gdy nad miastem przechodzi ulewny deszcz, a szeroki Nil zamienia się w szemrzące jezioro, kołyszących się oleandrów w ogrodzie wewnętrznym. Z innymi kobietami chodzi do tłoczni oliwy, wysokiej i ponurej ruiny, w której trzeszcząc, kręcą się płaskie kamienie napędzane przez oślepionego muła. Oliwa spływa przez dziobek do starych dzbanów, zapach jest gorzko-słodki, błyszcząca skóra półnagich młodzieńców lśni zielonozłoto. Uczy się przyrządzać ful. W oliwie rozgniatą duże ugotowane ziarna bobu, dodaje kminek, limonkę i sezam. Miesza i miesza, i niekiedy jeszcze popłakuje w ukryciu, kiedy myśli o utraconych dzieciach. Czas zaciera się w godzinach ospałej sjesty, w nierealnej ciepłej fałdzie tego czasu, tam gdzie żyją wspomnienia, drzemka w upale, od której staje się tkliwa i rozmarzona do chwili, gdy budzi się przestraszona śpiewnym nawoływaniem muezzina w pobliżu starych murów miejskich. Wielu egipskich Żydów mówi płynnie po arabsku; po kilku miesiącach rozumie większość żartów na sukach. Jej łamany hebrajski, noszący ślady sefardyjskiego hiszpańskiego, nabiera teraz judeoarabskiej barwy. Tylko kiedy się czegoś przestraszy albo coś jej się przyśni, pojawia się jakaś północna nuta, język z innego życia, coś twardego, szarego i zimnego, co niekiedy wywołuje w niej nieznośną tęsknotę. Kiedy nadchodzi egipska zima, znowu jest w ciąży.

Pewnego dnia stoją z Samuelem w porcie w Al-Fustacie na wysokości starego fortu babilońskiego. Obserwując krzątanie przy moście pontonowym, opowiada mu w uniesieniu o porcie w Rouen. Tłumaczy, co to jest snekkar, wyznaje, że jej ojciec wywodzi się od jednego z wikingów, którzy dwa wieki wcześniej podbili północną Europę. Mężczyzna z pewnym przerażeniem uświadamia sobie, że jego nowa żona właściwie jest spokrewniona ze znienawidzonymi, okrutnymi Normanami, którzy jak opętani szaleją w miastach Orientu. Wcześniej mówiła mu tylko, że jest pochodzenia flamandzkiego. To, że była synową naczelnego rabina z Narbony, stanowiło dla niego gwarancję chlubnego ożenku. Teraz czuje się skonsternowany, nawet poniekąd oszukany. Ta świadomość z każdym dniem coraz bardziej go uwiera. Od tej chwili zaczyna przyglądać się żonie z nieufnością.

Ona z kolei kilka tygodni później dowiaduje się od żydowskich uciekinierów o okropnościach pogromu w Rouen i mówi mu o tym. Mężczyzna powoli zaczyna rozumieć, jak trudno jest żyć z prozelitką – choć powinien był to wiedzieć, kiedy ta nieznana kobieta tak go zafascynowała. Ich związek trwa jednak nadal, między innymi dlatego, że wspiera go rodzina i z natury jest bardzo formalny, w przeciwieństwie do tamtej niezapomnianej *amour fou* z czasów jej młodości.

Jest twarda; jej ciało dostosowało się do klimatu, nawyków żywieniowych, kultury. Robi wszystko, żeby odzyskać zaufanie nowego męża. Miała okazję rozmawiać wraz z nim z nagidem, uczestniczyć w rozmowach z uczonymi, wspólnie ze Samuelem przyjmowali nawet w domu islamskich uczonych i osobistości. Dowiaduje się wszystkiego na temat złożonych mieszanych relacji w Al-Fustacie. Przez to o wiele więcej słyszy też teraz o wielkim niepokoju w Oriencie, wywoływanym przez ludzi, którzy pochodzą z tego samego narodu co ona. Żydzi dyskutują z muzułmanami, chrześcijańskich pielgrzymów w drodze do Jerozolimy ostrzega się

przed czyhającym tam niebezpieczeństwem; podobno krzyżowcy ponownie się mobilizują i są zdecydowani zająć Jerozolimę. Wojska ciągną przez Europę, przepływają Morze Śródziemne, dużymi statkami docierają do wybrzeży Libanu. Napadają na przybrzeżną ludność. Wszędzie wspólnoty muzułmańskie ruszają do ataku na chrześcijańskich agresorów. Często nie potrafią sprostać chaotycznie urządzanym masakrom, gwałceniu ich kobiet, rozbijaniu wspólnoty. Niekiedy odnoszą pospieszne zwycięstwo nad ciężkobrajnymi rycerzami: uczą się celować ze swoich zwinnych małych koni w oczy w przyłbicy, strzelają w nogi i oczy bardziej ociężałych wierzchowców przybyszów z północy. Niepokój dociera do wschodnich pustynnych terenów Egiptu. Napięcia wszędzie się nasilają. Słyszy opowieści o niestabilnej sytuacji w Hiszpanii, okazuje się, że wielu uciekinierów ciągnie na północ, do Narbony, ponieważ rekonkwista nie oszczędza także Żydów – dla wielu chrześcijan są jedynie współnikami znieawidzonych Saracenów. Tętniący życiem świat w Al-Fustacie, do którego wszyscy przybywają z opowieściami, daje jej poczucie, że jej życie zaczyna się układać. Jednocześnie bardziej niż kiedykolwiek ma świadomość tego, że już nigdzie nie będzie naprawdę bezpieczna. Jakby żyła na tratwie, która odpływa w stronę wodospadu.

Swoje czwarte dziecko rodzi w środku lata. Poród przebiega sprawnie, to chłopiec, któremu chce nadać imię zmarłego synka, Jakub. Mąż się na to nie zgadza, chłopiec będzie się nazywał Abram. Rytuał obrzezania odbywa się w synagodze. Mówią jej potem, że dziecko nie płakało, nawet nie pisnęło; że miało pogodny wyraz twarzy. Tego wieczoru zmija sykliwa wślizguje się przez otwarte drzwi, mości się w trzciniowym koszu, w którym drzemie niemowlę. Wchodzi akuszerka, dostrzega węża, wydaje okrzyk. Wąż chowa się pod pieluchy, w które jest zawinięte dziecko. Akuszerka w panice wyciąga dziecko z koszyka, wąż błyskawicznie kąsa ją w nadgarstek, nie puszcza i wijąc się, zwisa z lśniącymi oczami i szeroko rozwartym pyskiem z ręki krzyczącej kobiety. Śmiertelna trucizna wnika głęboko w tętnicę promieniową. Wchodzą inne kobiety, jedna zabiera dziecko z ramion akuszerki, druga kijem uderza węża po głowie, dopóki ten nie zwolni uścisku; skaczą, przebierają stopami i w końcu miażdżą głowę wijącego się węża. Akuszerka wymiotuje, upada, po paru chwilach traci przytomność. Wkrótce sztywnieje, ma spuchnięte gardło i czarno zabarwiony język; jej błędzące oczy mętnieją. Otaczające ją kobiety widzą, jak dusi się w ostatnim skurczu, z krwawą pianą na ustach. Kiedy w przyległej alkwie Chamutal zrywa się obudzona hałasem i wpada do pokoju, akuszerka jest już wynoszona wśród lamentów. Odbiera dziecko od jednej z kobiet. Boże, myśli, jakimkolwiek bogiem jesteś, dlaczego mnie szukasz.

Upada na kolana, kołysze noworodka i w rozpaczy przyciska do siebie. Dziecko przez moment wydyma usta, szuka jej piersi. Chamutal czuje ciepło, oddycha z ulgą, daje się zaprowadzić do łóżka. Dziecko pije, zapach mleka i silne doznanie maleńkich ssących ust działają na nią uspokajająco; mały język masuje sutek. Głaszcze główkę z niezamkniętym jeszcze ciemiączkiem.

Pół roku upływa we względnym spokoju. Dobrobyt i kulturalne otoczenie jej służą. Zleca uszycie ładnych ubrań, wytwornie urządza pomieszczenia dla siebie i dziecka. Nowego męża widuje rzadko; pewnego dnia pod koniec sierpnia Samuel wyjeżdża do Aleksandrii w związku z rodzinną sprawą, o której Chamutal niewiele się dowiaduje.

Wraca po kilku tygodniach. Podchodzi do niej z dziwnym spojrzeniem; bierze ją w ramiona i prosi:

– Usiądź, Chamutal. Muszę ci coś powiedzieć.

Serce bije jej jak oszalałe; kręci jej się w głowie, nie bardzo wie, czego się spodziewać, ale ma wrażenie, że traci zmysły.

– Chamutal – odzywa się mężczyzna. – Jakub i Justa żyją. Są u twoich rodziców w Rouen.

Patrzy na niego dzikim wzrokiem, nie jest w stanie powiedzieć ani słowa, otwiera usta, z niedowierzaniem kręci głową, ściskając jego ramię.

5

Od teraz nie zaznaje już spokoju.

Nocą leży bezsenne z głową pełną myśli: jak, na Boga, jej rodzice znaleźli dzieci? Gdzieś w drodze na wschód oddziały wojsk północnych i południowych musiały się spotkać. Najprawdopodobniej wśród licznych normandzkich rycerzy ciągnących z wojskiem znajdowała się pewna grupa z Rouen. A gdy tamtej fatalnej nocy dzieci zostały zabrane przez tych, którzy nigdy o nich nie słyszeli, starsze mogło opowiedzieć, kim są jego ojciec i matka. Możliwe nawet, że dowiedział się o tym jeden z jej starszych braci, odnalazł siostrzeńców i sprowadził do domu. Jest owładnięta i zaniepokojona tą ideą, zarazem z troską myśli o braciach, którzy być może oddają teraz życie podczas jakiegoś oblężenia w Antiochii czy Bóg wie gdzie. W każdym razie jest bardziej niż prawdopodobne, że pewna liczba normandzkich rycerzy słyszała skandaliczną historię. Przypuszczalnie niedługo trwało, zanim jeden z nich uzmysłowił sobie, że w takim razie są to wnuki Gudbrandra, ojca Vigdis Adelaïs. I wysłał je z pierwszą grupą posłańców z Zadaru do Rouen – Chamutal nie chce o tym myśleć, jej żydowskie dzieci u chrześcijańskich rodziców; czy teściowie w Narbonie coś o tym wiedzą? Każę wysłać wiadomość do Narbony. Chociaż jej nowy mąż jest temu przeciwny, nie może jej zabronić kontaktowania się z naczelnym rabinem Francji; zwyczajnie po prostu mu tego zabraniają. Po paru tygodniach przychodzi odpowiedź: jej dawni teściowie nie mieli o tym pojęcia, proszą, żeby wróciła, tak by ustalić, w jaki sposób można domagać się oddania Jakuba i Justy. Przekazuje to mężowi, który wpada w złość i przeklina dzień, w którym jej powiedział, że dzieci żyją. Jednocześnie wie, że to, o co prosi żona, jest słuszne; należy wykorzystać każdą szansę, by odzyskać jej starsze potomstwo. On nie może na tak długo opuścić gminy, będzie więc musiała pojechać sama. Stawia jej jeden warunek: ich syn, Abram, zostaje w Al-Fustacie, a ona wyruszy jak najszybciej, póki Morze Śródziemne jest jeszcze otwarte. Następnie na czas zimy, kiedy żegluga zostaje zawieszona, powinna zostać w Narbonie i wrócić pierwszymi statkami na wiosnę.

*

Pewnej ciepłej nocy na początku września staje przed lustrem z brązu w swoim przestronnym pokoju i przebierając się na noc, mówi nagle na głos:

– Nie nazywam się Vigdis. Nie nazywam się Chamutal. Nazywam się. Nazywam się.

Więcej nie jest w stanie powiedzieć. Podchodzi do okna i patrzy na miasto. Widzi gwiazdy w oddali, gdzie wie, że znajduje się cicho płynący Nil. Wszystko się w niej kołuje. Nie jestem matką Abrama. Jestem matką... Znowu nie może dokończyć; w jej głowie coś pękło. Świadomość, że jej dzieci z Monieux są u rodziców w Rouen, podczas gdy ona jest tutaj żoną egipskiego Żyda z Al-Fustatu i ma z nim syna, odbiera jej wszelką zdolność trzeźwego rozumowania. Kręci jej się w głowie. Od kilku dni fuka na inne kobiety, traci cierpliwość, płacz niemowlęcia działa jej na nerwy, nie ma już wystarczającej ilości pokarmu i daje dziecko innym kobietom do karmienia piersią. Unika rozmów z mężem. Po posiłkach od razu udaje się do swoich pokoi. Dociera do niej, że pozostanie tutaj staje się niemożliwe. Samuela coraz bardziej martwi zdrowie żony, ona tymczasem konwojem z Al-Fustatu potajemnie wysyła list do byłego teścia w Narbonie z prośbą o powiadomienie rabina Joszui Obadiasza w Monieux o tym, czego się dowiedziała, i ewentualne poproszenie go o wsparcie. Wsparcie w czym? Nie wie. Donosi,

że pod koniec października ma nadzieję dotrzeć do Narbony i stamtąd podróżować dalej do Rouen. Fatalny plan, który przyniesie byłemu teściowi ciężką zgryzotę. Pewien koszar ciągle powraca: Chamutal widzi, jak Jakub i Justa zostają złapani przez wielkiego węża w Nilu, który wciąga ich w głębiny. Potem niezmiennie widzi obłok krwi w brunatnej wodzie. Budzi się spocona i roztrzęsiona. Rozgląda się dokoła, jakby już niczego nie rozpoznawała. Ma wrażenie, że straci zmysły, jeśli nie będzie mogła teraz wyjechać. Noc jest rześka i czarująca; jej pokój z podwiewaną zasłoną staje się nagle piekłem. Chamutal spogląda na miasto w dole: przy murach, szepcząc, poruszają się złodzieje i dziwki. Z bijącym sercem ubiera się po cichu, ze szkatułki w dużej szafie wnękowej wyjmuje kilka srebrnych monet, okrywa się jasną dzellabą jednej z etiopskich mamek, wchodzi do pokoju, w którym spokojnie oddycha mały Abram. Patrzy na dziecko, dotyka nieporuszonej twarzyczki, szepcze przeprosiny. Chce wyjść, zawraca. W uniesieniu bierze śpiące dziecko w ramiona, zawija w jedwabny szal. Wychodzi na dwór w światło ubywającego księżyca. Jest spokojna noc; parę drzew szumi łagodnie. W oddali słyszy szakała. Sowa wydaje swój stłumiony okrzyk nad jej głową. Przypomina sobie opowieść o tym, jak pewien człowiek zabił innego z powodu tego cichego dźwięku, który go opętał. Czy to głos Boga? Dźwięk, który samemu się wytworzyło, z którym wiązało się nadzieję, że pochodzi z drugiej strony, i który miał objawić ci sens życia? Nie wie już, jaka jest pora roku, który rok; wszystko się w niej miesza i kotłuje. Do śpiącego Abrama mówi: Spokojnie, Jakubie; nie zważając na niebezpieczeństwa w dzielnicy przy Mar Girgis, spieszy na molo przy moście pontonowym. O letnim brzasku czeka na poranne statki. Wsiada na pokład pierwszego lepszego płynącego do Aleksandrii. Nie udziela wyjaśnień, bosman mierzy ją badawczo wzrokiem, dostaje dwa srebrniki, dostrzega delikatny kołnierzyk pod białą dzellabą, nic nie mówi. Chamutal musi znowu spróbować karmienia dziecka piersią, skoro nie ma już wokół siebie mamek, musi zdobyć jedzenie dla siebie samej. Ponieważ płynie z biegiem Nilu, statek porusza się zaskakująco szybko. Wije się wraz z nurtem wzdłuż mielizn i brzegów, pierwszych rybaków i ostatnich zwierząt drapieźnych o poranku. Zanim się zorientowała, minęli dużą zatokę i Al-Fustat znika za horyzontem. Dopiero teraz dociera do niej, co zrobiła: znowu po prostu uciekła. Jakby ucieczka stała się jej jedyną odpowiedzią na wszystko. Bez listu polecającego, bez dowodu pochodzenia jest wolna jak ptak i bez jakiegokolwiek prawa do ochrony. Ponownie opuściła rodzinę, która będzie jej szukała, bo obiecała zostawić Abrama w Al-Fustacie. Znowu się spieszy, żeby zniknąć jak najszybciej i podróżować niezauważona. Znowu pozostawia ciepłe gniazdo w kompletnym chaosie; nie chce myśleć o Samuelu, który się budzi i pod drzwiami jej pokoju najpierw w rozpacz woła jej imię, a potem imię Abrama; o wściekłości i smutku, którego ma zupełnie dość. Nie chce myśleć o zdradzie, o teściowej i pozostawionych troskach. Może nie żyje, ale znowu przeżyła własną śmierć. Oddycha i porusza się, to wszystko. Aż wieczorem nagle myśli: jeśli nie będę się ruszała, śmierć mnie nie zobaczy. Leży więc w kącie bez ruchu, dziecko bezowocnie cmoka jej obolały od ssania lewy sutek.

Już po trzech dniach kołysząca się na wodzie feluka z cedrowego drewna wolno mija pieniające się fale ujścia na wysokości Rosetty, a dzień później bezpiecznie dopływa do Faros w Aleksandrii. Półtora dnia później Chamutal z zasłoniętą twarzą siedzi na statku marynarki handlowej do Palermo; elegancka jednostka dotrze poobijana i ze złamanym masztem po silnej jesiennej burzy, wśród jęków wyczerpanych wioślarzy. Również Chamutal czuje się rozbita z powodu choroby morskiej i zamętu w głowie, dziecko jest wycieńczone niedostatkiem. Chamutal schodzi chwiejnym krokiem na ląd, idzie do domu człowieka, który wymienia pieniądze, a którego pamięta z poprzedniej wizyty w tym mieście. Nagaduje mu kłamstw o podróży; zostaje dwa dni, zanim wsiądzie na statek płynący do Marsylii. Na wybrzeżu

południowej Francji ponownie odwiedza rodzinę bogatego armatora. Znowu kłamie na temat podróży, dziecka. Żona armatora wyczuwa, że dzieje się coś niedobrego, ale nie zadaje pytań. Dziedziniec z niebieskim ptakiem, białe unoszące się na wietrze płótno, drzewko pomarańczowe. Znalazły się ponownie w pokoju, w którym kiedyś była, myli Abrama z dzieckiem, które zniknęło w paszczy krokodyla. Późno w nocy słyhać, że głośno rozmawia, chodzi tam i z powrotem, hałasuje. Uspokaja się dopiero o świcie, głównie z wyczerpania. Kładzie dziecko na łóżku, a sama śpi obok na podłodze, mówiąc przez sen. Pokojówka żony armatora zastaje ją koło południa wciąż śpiącą, z płaczącym dzieckiem na posłaniu obok. Chamutal budzi się przerażona:

– Zostaw mnie, zostaw mnie, nie chcę, zostaw mnie.

Wymyśla i krzyczy, i dopiero po jakimś czasie w pełni odzyskuje przytomność, rozgląda się, ma pianę na ustach. Zajęto się dzieckiem, później i ona zostaje ubrana, zwracają się do niej uspokajającym tonem. Żona armatora każe przygotować pakunek z żywnością, zebrać ubrania na podróż, posyła małą ciemnoskórą niewolnicę, która mówi tylko po grecku – towarzyszy Chamutal do nabrzeża, pomaga wsiąść na kabotażowiec płynący do Cap d'Agde. Dziecko jest wychudzone, matka wygląda jak zdziczały nomada. W Agde zebrze, bo zapomniała, że dostała też pieniądze. Śpi w cieniu zamku, gdzie żebracy, psy i dziwki nastają na siebie nawzajem, dopóki księżyc nie skryje się za horyzontem. Następnego ranka budzi ją dziewczyna, która siedzi z płaczącym Abramem na kolanach. Chamutal wyrzywa jej dziecko z ramion i ucieka, sypią się za nią przekleństwa. Ku swojemu zdumieniu nigdzie nie słyszy normandzkiego. Biegnie w kierunku portu, chowa się za kilkoma belami siana. Grzebie w torbie, stwierdza, że ma jeszcze przy sobie wartościowe monety. Z tych paru srebrników, które sama szybko zabrała z Al-Fustatu, jeden daje starcowi mającemu prymitywnym krytym wozem zawieźć ją do Narbony. W czasie całej upływającej na drzemaniu i kołysaniu podróży szepcze stare modlitwy, nie wie już, gdzie się ich nauczyła. Miesza języki, widzi dzieci, których nie miała, myśli, że jedzie z powrotem do Al-Fustatu, i się śmieje.

6

Ponowne spotkanie z teściami przebiega w atmosferze zakłopotania z powodu nowego dziecka, które trzyma na ręku: na to się nie umawiali. Wybucho płaczem na widok tych wspaniałych ludzi i nie potrafi się wysłowić. Rodzice Dawida są głęboko poruszeni i z trudem potrafią zapanować nad emocjami. Teść postarzał się o kilka lat. Jego włosy są siwe, a skóra usiana brązowymi plamami. Teściowa stała się cięższa i powolniejsza; jej lśniące kiedyś od oliwy czarne jak smoła włosy są teraz matowe i szare.

– Chamutal – mówi wzruszona. – Sara Chamutal.

Wydaje się, że niczego innego nie jest w stanie powiedzieć. Odbiera od niej dziecko, woła jedną z kobiet z oficyny, ta rozpoznaje Chamutal i kryje twarz w dłoniach. Ku jej zaskoczeniu w domu jest jeszcze jeden gość: jeszcze bardziej postarzały i zeszywniały Jozua Obadiasz z Monieux. Rozczulona rzuca mu się na szyję. Przywoływane są opowieści o pogromie. Stary rabin lamentuje, gdy ponownie mowa jest o rzezi w górskiej wiosce. Także w Narbonne podjudzano do pogromów, na razie skończyło się na utarczkach.

Później tego dnia dziesięciu mężczyzn odmawia w synagodze kadisz. Te dźwięki są jej obce; jest to aramejski, z którego nie rozumie prawie ani słowa. Ale też jest nieobecna myślami.

Tej nocy Chamutal pozostaje w towarzystwie kobiet, które ją pielęgnują i uspokajają. Prawie nieustannie jest we łzach. Bolesna radość, nieszczęście pełne ciepła. Tragiczne i szczęśliwe wspomnienia. Wykorzenie, poczucie chwilowego powrotu do domu, ponownie narastający smutek z powodu śmierci Dawida, strach przed tym, co ją czeka. Samuel staje się Dawidem, a Dawid Jakubem, Abram staje się Gudbrandem, a Gudbrandr Dawidem i gdzie jest Justa, może u jej matki w Rouen. Czy Justę ugryzł krokodyl? Ach, biedne dziecko, zrabowane w czasie snu przez dziwkę w Agde, dziwkę o pysku węża. Wielki, wprowadzający zamęt wir. Świat mnie opuszcza. Nic nie mogę na to poradzić, boję się. Mój brat jest krzyżowcem, niech Bóg mu pomoże w walce z Saracenami w Al-Fustacie. Obgryza do krwi skórki przy paznokciach. Ma wrażenie, że opętał ją diabeł – z uśmiechem mówi kobietom, które zasłaniają usta rękami i nakazują jej milczeć.

*

W ciągu następnych dni widać, jak bardzo Chamutal jest rozbita. Spotyka kuzyna swojego dawnego męża, Jom Towa, i zwraca się do niego imieniem Dawida. Śmieje się i mówi, że nazywa się Vigdis, Vigdis od wikinga, po czym wybucho piekielnym rechotem. Teściowie się martwią; proszą, żeby nie jechała do Rouen, bo to śmiertelnie niebezpieczne i pozbawione sensu. Ryszard Todros wolałby przez swoje stosunki z ludźmi z jesziwy w Rouen poprosić o pośrednictwo w rozmowach z jej rodzicami na temat wnuków. Ale po dwóch tygodniach nadchodzi odpowiedź, że wszyscy, których tam znał, zginęli w wielkim pogromie w 1096 roku i że obecnie nie ma nikogo, kto jeszcze odważyłby się nawiązać kontakt z normandzkimi rycerzami, a już na pewno nie negocjować oddanie Żydom dzieci.

Stary Todros uświadamia sobie, że nie powstrzyma już Chamutal; ta z każdym dniem wydaje coraz bardziej poplątana i coraz bardziej obłąkana. Codziennie z większą stanowczością mówi, że chce pojechać do Rouen. Rabin próbuje przemówić jej do rozsądku, tłumaczy, że podróż drogą stała się niemożliwa, że już lepiej byłoby, żeby z Narbony pojechała nad Ocean Atlantycki drogą do Santiago de Compostela. Musi przy tym zachować szczególną ostrożność i

podawać się za chrześcijankę, ponieważ roi się tam od normandzkich rycerzy. Może potem dotrzeć do zatoki Santander, a stamtąd popłynąć statkami wzdłuż wybrzeża atlantyckiego do Rouen. Chamutal śmieje się radośnie, z pustym wzrokiem.

– Tak, tato – mówi – tak.

Chce uściskać byłego teścia. Ten unika jej objęć. Wydaje się, że ogarnęła ją gorączkowa nadzieja ujżenia dzieci żywych i pogodzenia się z rodzicami. Stary Todros pociera w zamyśleniu brodę, kiedy słyszy, jak o tym mówi. W każdym razie nie powinna więcej podróżować sama; Jom Tow i Joszua Obadiasz pojedą z nią dla ochrony.

VIII

NÁJERA

1

Nie powinni dłużej zwlekać, nadchodzi jesień. Wkrótce żegluga przybrzeżna zostanie wstrzymana i ponownie będzie możliwa dopiero na wiosnę. Kilka dni później wyruszają małym krytym wozem. Chamutal znowu robi coś, czego przyrzekała więcej nie robić: w ostatniej chwili wyjmując małego Abrama z łóżeczka, bierze go w ramiona i ukrywa w koszu między torbami i workami na niewielkim wozie. Dopiero po godzinie podróży, kiedy dziecko zaczyna płakać, mężczyźni odkrywają oszustwo. Droga jest niebezpieczna, teraz rozumie, dlaczego poprzednim razem, kiedy uciekała z Dawidem, teść nie wysłał jej na południe drogą do Composteli, tylko morzem na północny wschód. Wszędzie spotykają podniecone grupy młodych mężczyzn, którzy chcą ruszać do walki, chłopów włóczących się po tym, jak ich chaty zostały spalone, walęsające się dzieci. Uciekający muzułmanie przy drodze ostrzegają ich przed fanatykami, którzy tymczasem nastają również na życie Żydów. Niekiedy pojawiają się bandy zbójców korzystające z zamieszania i okrutnie napadające niczego niepodróżujących podróżnych. Niewielka żydowska wspólnota, którą mijają, jest bojaźliwa i pełna trwogi. Nikt nie wie, co przyniesie następny dzień. Gdzieniegdzie są zatrzymywani i przesłuchiwani przez nieufne oddziały lub punkty kontrolne.

Dodatkowo podróżowanie z małym dzieckiem jest trochę trudniejsze. Kiedy Jom Tow odkrył niemowlę, groził, że zawróci, ale stary Obadiasz go uspokoił: nie zabiera się matce dziecka, ci w Narbonie na pewno to rozumieją. Poza tym nie ma czasu do stracenia. Jadą więc dalej wyboistymi drogami w kurzu i ulewie, z Chamutal i Abramem na terkoczącym wozie.

Niecałe sto kilometrów przed Burgos, pod niewielkim miastem Nájera chcą po trzech ciężkich tygodniach zrobić kilka dni odpoczynku, zanim ruszą dalej na północno-zachodnie wybrzeże. Mężczyźni szukają zajazdu, proszą o nocleg na dwie noce i prowadzą Chamutal z dzieckiem do jednego z pokoi. Tam Chamutal przewija Abrama, pielęgnuje go i kołysze, ale zwraca się do niego normandzkim imieniem, imieniem jednego ze swoich braci.

– Arvid – mówi – Arvid.

Dziecko się śmieje, ona je łaskocze, a ono wierci się z radości.

– Arvid. – Jakże dobrze się czuje, mówiąc to. – Arvid, jestem twoją matką Vigdis.

Wieczorem, o zmierzchu, kiedy wspólnie jedzą, kuzyn Todros i Jozua Obadiasz słyszą, że nazywa dziecko Arvidem. Nie rozumieją tego, uśmiechają się do niej trochę niepewnie.

– Jestem Vigdis, matka Arvida, Normana – stwierdza i głośno się śmieje.

Przy stole obok nich mężczyzna szturcha towarzysza i wskazuje w jej stronę.

– Słyszałeś to? – pyta rycerz.

Przygląda się kobiecie trochę uważniej.

– Nie uwierzysz – odzywa się – ale niech mnie diabli, jeśli to nie jest córka Gudbrandra z Rouen, która uciekła z domu. Sam przecież słyszysz. Mówi: „jestem Vigdis”.

Drugi patrzy osłupiały. Czyżby poszukiwana przez lata kobieta siedziała tu z nimi przy stole, tak po prostu? Mężczyźni patrzą z niedowierzaniem.

Pierwszy odpowiada:

– Nie wątpię w to. Jest podobna do swojego brata, którego widzieliśmy jeszcze w zeszłym miesiącu, kiedy mijaliśmy nas w drodze na Sycylię. Te same jasne oczy, wąski nos i wysokie czoło. Arvid. Wypowiada jego imię, nie słyszysz?

Wstaje, idzie do dowódcy garnizonu stacjonującego w mieście i raportuje o tym, co usłyszał. Dowódca przypomina sobie znaczną sumę pieniędzy, którą wyznaczono za głowę bogatej córki mieszczanina; polecenie mówiło, żeby wysłać posłańca, gdy tylko ktoś znajdzie dziewczynę, oraz sprowadzić ją do Rouen i przekazać tam ojcu. Chodziło o to, żeby dostarczyć ją ojcu całą i zdrową, jeśli chciało się zgarnąć nagrodę.

Kiedy Chamutal, śmiejąc się i gruchając, zapada w sen z dzieckiem, któremu nuci „Arvid, syn Vigdis, jesteś Arvid, syn Vigdis”, pod drzwiami zajazdu zostaje postawiona podwójna straż. Do Rouen przez Bordeaux wysłano gońca. Drugi jedzie nad ranem do portu w San Sebastián, gdzie dwa dni później nakaze najbliższemu statkowi do Rouen, żeby przed wypłynięciem zaczekał na dwóch wysłanników z wyjątkowym i niespodziewanym gościem, córką Gudbrandra o imieniu Vigdis Adelaïs.

Tego poranka Chamutal czuje się rześka, ale wyjątkowo spięta. Cieszy się, że w końcu może pojechać do Rouen, że znowu zobaczy rodziców, wszystko wyjaśni, przecież ma przy sobie Arvida, wikińskie dziecko, zapomniała, kto jest jego ojcem, ale myśląc o tym, śmieje się do rozpuku.

– Arvid Niczyj! – wykrzykuje, zaśmiewając się.

Strażnicy dostają znak, żeby wejść do środka. W sali jadalnej chwytają pod ramię kobietę, inny zabiera jej dziecko. Jom Tow i Jozua Obadiasz próbują interweniować. Zostają brutalnie odepchnięci, stary rabin upada do tyłu i rani plecy.

– Żydowskie psy – syczy jeden z rycerzy, dobywając miecza – wyciągnij tylko rękę, a już po tobie.

Chamutal krzyczy:

– Jestem Vigdis Chamutal, jestem Vigdis Chamutal Adelaïs Gudbrandr, zostawcie mnie w spokoju, oddajcie mi dziecko, to Arvid Todros, to moje dziecko, jest mojego ojca, to on je zrobił.

Pluje i przenikliwie krzyczy, wrzeszczy i chce się wyrwać. W jadalni powstaje zamieszanie; różni mężczyźni się podnoszą, widzą kobietę, która wściekle bije na oślep, kopie i pluje.

– Mój ojciec je spłodził! – woła, dziko się śmiejąc.

Szarpiąc się i wyrywając jak kot w worku, zostaje wywleczona na zewnątrz.

– Moje dziecko – krzyczy – Arvid Gudbrandra, chędożył mnie, spał ze mną, ha, ha, chędożona przez diabła!

Mężczyźni usztywniają uścisk.

– Bydlaki, wszyscy chędożeni przez diabła!

Potrząsa głową, ma rozbiegane oczy, pianę na ustach. Nadchodzi ksiądz. Ze zgrozą słucha tego, co kobieta właśnie wykrzyczała. Robi trzy razy znak krzyża, mamrocze z szeroko otwartymi oczami:

– *Vade retro, Satanas.*

Kobieta piszczy:

– Ha, ha, ha, chędożeni przez Satanasa!

Dziko rzuca głową, jej szare loki się rozsypują i wiją wokół głowy.

Ksiądz podchodzi do mężczyzn, prosi o spętanie kobiety.

Robią to brutalnie.

– Moje dziecko! Arvid Samuela – woła Chamutal – uważajcie na diabelskiego krokodyla! Ugryzie cię, aj, aj, aj, nie, nie toń, moje dziecko!

Wije się, wyrywa i gryzie jak wściekły pies. Jeden z rycerzy wymierza jej policzek, od którego Chamutal upada z krwawiącym nosem.

– Masz, czarownico – mówi – wypędzimy z ciebie tego diabła.

Ksiądz się żegna, Jom Tow woła, żeby ją zostawili, że jest Żydówką i chrześcijanie nie mogą jej osądzać.

– Nie jest! – grzmi złowrogo dowódca garnizonu. – Jest, do czorta, chrześcijanką, nazywa się Vigdis Adelaïs, osobiście znam jej ojca Gudbrandra. Nie macie tu czego szukać, precz stąd albo zapłacicie głową, brudne psy, niech was diabli wezmą.

Tymczasem otumaniona Chamutal próbuje się podnieść, zauważa, że ma związane obie stopy. Pada jak długa, jeden z rycerzy ponownie ją uderza, krzyżąc „diabelska dziwka”. Czubkiem żelaznego buta kopie ją w łędźwie, Chamutal traci przytomność. Z nosa tryska jej krew. Zrobiło się zbiegowisko, gapie są coraz bardziej poruszeni. Kiedy żołnierze naradzają się, w jaki sposób jak najszybciej załadować kobietę na wóz, żeby ją zawieźć na wybrzeże, ksiądz woła, że jest opętana przez diabła i że absolutnie nie można jej transportować, ponieważ diabeł zatopi statek.

Przez narastający tłum przechodzi fala odrazy.

– Na stos! – rozlega się.

Okrzyk zostaje natychmiast podchwycony.

– Na stos z czarownicą!

Chamutal nieznacznie odzyskuje świadomość; dowódca garnizonu podchodzi do niej.

– Ty jesteś Vigdis Adelaïs, córka Gudbrandra Normana? Możesz to potwierdzić?

Opluwa go.

– Jestem Chamutal od diabła – syczy – trzymajcie ode mnie z daleka swoje brudne chrześcijańskie łapy.

– Opętana – woła teraz ksiądz – opętana przez Czarnego Diabła! *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti!* Trzeba ją jak najszybciej spalić, zanim diabeł dopuści się innych niecznych sztuczek na niej i na nas.

– Na stos! – krzyczy tłum. – Spalić ją! Spalić ją!

Dowódca garnizonu widzi, że jego nagroda pójdzie z dymem, jeśli ta wysoko urodzona kobieta zostanie tu zlinczowana. Waha się, próbuje przekonać księdza, ale jest za późno. Gęstniejący tłum ciągnie kobietę ze sobą, zdziera z niej ubranie. Półnągą i zakrwawioną włoką ją po piasku ku wysokiej czerwonej skale, gdzie mężczyźni gromadzą suchą wiklinę. Chamutal, teraz zupełnie spętana i na wpół przytomna, zostaje w szybko wschodzącym słońcu postawiona pod skałą. Od kurzu krew na jej twarzy poczerniała i zgęstniała jak delikatne sznurki; widać, że kapiała aż na częściowo odsłoniętą pierś.

– Znak diabła – wołają mężczyźni – z jej nosa płynie smoła! Diabeł siedzi w niej i pędzi smołę z jej diabelskiego ciała! Nie dotykajcie jej!

Chamutal porusza oczami, wdaje pomruk wywołany bólem w łędźwiach.

Atmosfera robi się nerwowa, ktoś rzuca kamieniem, który trafia ją prosto w czoło. Jej głowa uderza z tyłu o skałę. Kobieta opada na ziemię.

Różni mężczyźni pospiesznie znoszą naręcza drewna. Stos szybko rośnie. Grubszy pień zostaje zaostrzony, ustawiony prosto, wbity w ziemię i przymocowany. Sterty wikliny są już prawie na metr wysokie. Ksiądz podchodzi do Chamutal i pyta po raz ostatni:

– Czy ty jesteś Vigdis Adelaïs z Rouen, córka Gudbrandra Normana?

– Jestem Chamutal Todros – woła – Chamutal Todros z Al-Fustatu! Jestem Żydówką, jestem Żydówką, do diabła z wami!

Tłum cofa się i wstrzymuje oddech.

– Żydówka i opętana, Żydówka i opętana przez diabła – huczy z wielu otwartych ust, a oczy się rozszerzają.

Niektórzy robią znak krzyża i zaczynają się modlić; wkrótce cały tłum wznosi modły. Padają na kolana i błagają Boga o wsparcie, podczas gdy kobieta leży w palącym słońcu, majacząc.

Rozbrzmiewa nabożna pieśń. W jednej chwili nastrój staje się uroczysty.

Zbliża się mężczyzna z zapaloną pochodnią. Drugi zawiązuje Chamutal szal wokół szyi, w który wsadza cienkie gałęzie, żeby szybciej zajęła się ogniem. Jest szarpana i tarmoszona. Półprzytomna wisi między dwoma mężczyznami, którzy wloką ją na stos. Tak poturbowana, z tym wiankiem gałęzi przy twarzy, wygląda jak czarownica, jak demon, jak potwór z podziemnego świata.

Nagle unosi głowę, skręcając się, próbuje się opierać.

– Gdzie jest Arvid, syn Chamutal – krzyczy – gdzie jest Arvid, żydowskie dziecko z Al-Fustatu!

Ogarnięty śmiertelnym strachem tłum nie przestaje się żegnać. Chamutal wydaje chrapliwe dźwięki; zgromadzeni odsuwają się do tyłu.

– Diabeł ją dręczy – mówi ksiądz – nie czekajcie zbyt długo, żeby nie wyszedł na zewnątrz.

Na tę myśl tłum wpada w panikę.

Chamutal zostaje popchnięta na stos, jej ramiona ułożone wokół pala i przywiązane. Mężczyzna z pochodnią podchodzi jeszcze bliżej.

W tym momencie spośród gapiów wyskakuje Jom Tow.

– Stójcie – krzyczy – przestańcie, to pomyłka! Nazywają mnie Jom Tow z Narbony, biorę tę kobietę w opiekę na odpowiedzialność czcigodnego rabina Todrosa.

Zostaje brutalnie odepchnięty.

Wtedy trzęsąc się, naprzód wychodzi Jozua Obadiasz. Unosi ręce w błagalnym geście.

– Dobrzy ludzie – odzywa się – posłuchajcie, zanim spalicie tę kobietę. Muszę wam opowiedzieć pewną historię.

Robi się trochę hałasu, ale komendant garnizonu prosi o spokój.

Stary rabin opowiada o prozelitce Vigdis i jej ukochanym, który zginął w pogromie.

– Dobrze uczyniono! – ryczy jakiś człowiek z tłumu. – Spalić wszystkie żydowskie psy!

Ale krucha postać starego, trzęsącego się Obadiasza skłania ludzi, żeby jeszcze przez chwilę pozwolić mu mówić. Wykorzystuje szansę. Kiedy od ognia zajmuje się już wiklina, odzywa się:

– Daję kwotę trzydziestu pięciu dinarów, żeby wykupić tę kobietę od stosu i móc jej towarzyszyć do Rouen. To skromna suma, przyznaję: trzydzieści pięć dinarów dla waszej wspólnoty. Ale więcej nie mamy. Ta kobieta ma głowę chorą od wszelkiego smutku i nieszczęść, nie wie, co mówi, nie jest opętana, uwierzcie mi, wydadzcie mi ją, zawiozę ją do domu.

Rozgląda się po kręgu.

Strach przed kobietą, która jest opętana przez diabła, tkwi głęboko w zgromadzonych, nawet w dowódcy garnizonu. Ale ten nie jest aż tak szalony.

– Co ty sobie myślisz, sprytny Żydzie – odzywa się – liczysz też na moją nagrodę?

Ponownie dobywa miecza.

– Podpiszę oświadczenie – mówi Obadiasz – które możesz wręczyć ojcu tej kobiety w Rouen. Ponieważ jestem Żydem, wasz diabeł nie ma do mnie dostępu. Zawierz mi kobietę, będę jej towarzyszył na statku i zawiozę do ojca. Znam Rouen, byłem tam za młodu. Chodziłem tam do starej żydowskiej szkoły. Kto zna Rouen, wie, gdzie się znajdowała; ja wiem nawet, gdzie jest ulica, przy której mieszka ojciec tej kobiety. Możesz mi zaufać.

Dowódca garnizonu pojmuje, że jest to jego ostatnia szansa na uzyskanie nagrody.

Krzyczy do żołnierzy, żeby zgasili ogień i odwiązali kobietę od pala. Chamutał, która wisi u źerdzi bezwładnie jak lalka, nie ma świadomości tego, co się dzieje. Jom Tow i Obadiasz ostrożnie ściągają ją ze stosu. Kaszle i mruga oczami. Głowa opada jej do tyłu. Obadiasz prosi o wodę i spryskuje nią twarz wykupionej. Podpieraną przez obu mężczyzn, zostaje zaprowadzona do zajazdu. Tam, pod naciskiem komendanta garnizonu, zwracają jej też dziecko. Prawdopodobnie nadal nie zdaje sobie sprawy z tego, co się stało, jest jak w transie. Mruży coś pod nosem, mamrocze niezrozumiale do dziecka, dyszy i pokasłuje. Jej ręka bezwiednie głaszcze jego główkę.

Prosi Jom Towa:

– Dawidzie, najdroższy, pocałuj mnie.

Ściąga usta w ciup, nieznośny widok z tymi pasmami sadzy, spuchniętymi ustami i zakrzepłą krwią. Obadiasz zarzuca płaszcz na jej nagie, pobrudzone ramiona. We dwójkę prowadzą ją do pokoju na górze i każą przynieść wody, żeby się mogła umyć.

Następnego dnia Obadiasz z Jom Towem w towarzystwie kilku żołnierzy i dowódcy garnizonu, który tu, w Nájerze, chce na czas podróży ustanowić swoje zastępstwo, zawiozą ją na wybrzeże, oddalone jeszcze o kilka dni drogi.

2

Wydaje się, że Chamutal trochę się uspokaja, kiedy zostaje sama w pokoju. Przychodzi do niej Obadiusz, mówi jej w zaufaniu, że to właściwie Jom Tow zapłaci większą część kwoty. On sam może dać tylko pięć dinarów. Jutro o wschodzie słońca kwota musi zostać uiszczona. Obadiusz pyta, ile złotych monet Chamutal ma przy sobie.

Ta gestem się wzbrania i wolno kręci głową.

Co w nią wstąpiło? Obadiusz nalega, żeby powiedziała, gdzie schowała sakiewkę. Wie, że stary Todros dał jej pieniądze. Chamutal zwija się jak chore zwierzę, znowu kręci głową, zdaje się zapadać w sen.

Załutuję tę sprawę jutro, myśli starzec, ta kobieta jest zupełnie rozbita.

I chociaż Chamutal rzeczywiście jest rozbita przez to, co ją spotkało, tej nocy powoli dochodzi do siebie. W żadnym wypadku nie chce już jechać do Rouen, żeby tam zostać wydana. Iluzją jest, że ojciec jej przebaczy; za herezję, jakiej się dopuściła, stając się Żydówką, grozi kara śmierci. Rouen, do którego chce wrócić, nie jest już Rouen z czasów jej młodości; po głowie krążą jej opowieści o wielkim pogromie na ulicach miasta i przy jesziwie. Co się stanie z dzieckiem? Czy i tam nie wyląduje na stosie? Na własnej skórze doświadczyła dzisiaj, co to oznacza. Nie, powrót do Rouen to prośenie się o śmierć. Musi uciekać. Nie może inaczej – uciekać, tak jak zawsze to robiła. Jak zresztą mogłaby kiedykolwiek zwrócić pieniądze Jom Towowi? Ma przy sobie zaledwie garść monet, chce je zachować na wypadek, gdyby ona albo dziecko czegoś potrzebowały. Siada prosto; wszędzie cisza w mroku, malejący żółty księżyc wisi nisko nad dalekimi wzgórzami. Słyszy oddech dziecka. Sama stęka z bólu, który czuje w całym ciele. Ubiera się powoli i ostrożnie, na nowo zawija niemowlę w szal, tak jak zrobiła to w Monieux, Narbonie i Al-Fustacie. Cicho przekrada się po schodach na dół, przy trzeszczeniu każdego stopnia odczekuje kilka chwil, naraz stoi na dworze na rześkim nocnym powietrzu. Wieje letni wiatr; gdzieś w dalekim mroku słyszy dzikie zwierzęta; gwiazdy migoczą nad wzgórzami. Oddycha głęboko, coś w niej odżywa, Chamutal wie, czego chce. Rusza drogą, z trudem i wahaniem, ale po paru krokach przychodzi jej to już nieco łatwiej, wraz z ruchem ból trochę ustępuje, dziecko śpi w szalu na jej plecach. Chamutal wie, dokąd iść.

*

O wschodzie słońca jest już parę kilometrów dalej; ukrywa się między kilkoma owcami w oborze, żeby przeczekać do wieczora, zanim ruszy dalej.

W Nájerze dowódca garnizonu stuka do drzwi zajazdu.

Pojawia się Jom Tow, mężczyźni siadają przy stole. Jom Tow płaci trzydzieści dinarów, które ma przy sobie, a następnie odlicza pięć dinarów rabina.

W tym momencie Obadiusz stuka do drzwi pokoju Chamutal i nie dostaje odpowiedzi. Woła jej imię, odczekuje parę chwil, puka ponownie. Nadal cisza.

Siada i czeka. Po jakimś czasie komendant garnizonu przychodzi po rabina i Chamutal.

Ponieważ nadal nie ma żadnej reakcji z pokoju, drzwi zostają otwarte. Obadiusz natychmiast pojmuje, co się stało; komendant łapie go za gardło i krzyczy:

– Specjalnie pozwoliłeś jej uciec! Oszukałeś mnie! Zapłacisz za to głową, stary Żydzie!

Trzymany w uścisku żołnierza Obadiusz lamentuje i błaga, na górę przychodzi Jom Tow, próbuje uspokoić komendanta: nie może być daleko, chce przecież tylko udać się do Rouen,

ponieważ się boi, że tu zostanie stracona. Pomieszało jej się w głowie, to nie ich wina, że uciekła. Nic straconego, najlepiej, żeby sami jak najszybciej pojechali do San Sebastián, na pewno trafią na jej ślad.

Komendant znowu daje się przekonać, myśląc o nagrodzie, która czeka na niego w Rouen.

Jom Tow proponuje, że z nim pojedzie.

Obaj ruszają konno; Obadiusz, dyszący i wyczerpany, zostaje.

Stary rabin nocuje jeszcze parę dni w zajeździe, żeby nabrać sił. Następnie rusza do Narbony, żeby zdać sprawozdanie z wydarzeń w Nájerze.

Po drodze zaczyna przypuszczać, że Chamutal uciekła do Narbony. Nabiera otuchy. Ma nadzieję, że ostatecznie wszystko dobrze się ułoży. Zagaduje pewnego woźnicę, może zabrać się z kilkoma muzułmańskimi uciekinierami z południa. Oni również zmierzają do Narbony.

Dotarłszy do rodziny Todrosów, stwierdza, że Chamutal tam nie ma. Odczekują jeszcze parę dni w nadziei, że jednak się pojawi, w końcu się poddają. Starzy rabini siedzą obok siebie. Rozważają szanse Chamutal na przeżycie. Może ojciec jeszcze ją ułaskawi. Może powinni wysłać wiadomość do tych kilku osób ze wspólnoty, które przeżyły. Nie mają pewności. Przed oczami widnieje im ten obraz: Chamutal, która zostaje schwytana przez komendanta garnizonu, i Jom Tow, dobry kuzyn. Wsadzają ją na statek; być może są już daleko na morzu.

Ale po kilku tygodniach niespodziewanie pojawia się Jom Tow; nigdzie nie znaleźli Chamutal; z ledwością uniknął linczu. Ponieważ nie ma już żadnych perspektyw, Obadiusz zostanie na całą zimę w Narbonie. Jest zbyt stary i wąty, żeby o tej porze roku wracać w góryste okolice, w których leży Monieux; wyżyny są kapryśne i wietrzne, tu, nad morzem, klimat jest łagodniejszy, a towarzystwo starego czcigodnego przyjaciela dobrze mu robi. Ale doniesienia przejeżdżających podróżnych są zatrważające. Zewsząd dochodzą teraz wieści o pogromach; sto lat po milenijnym strachu chrześcijan wielka bestia, zdaje się, jednak zleciała na planetę, żeby w fanatyzmie i ślepej nienawiści zatopić wszystko, co znajdzie na swojej drodze. W kościołach codziennie wznosi się ponury śpiew, dzwony biją o świcie, kadzidło wije się w świetle słońca, które wpada do środka przez witrażowe okna. O zmierzchu w synagodze rozbrzmiewa *Szma Israel*, dźwięki ciemne i stare jak nieprzejrzone są czasy, które nastają dla Żydów. Hiszpańskie meczety są palone, rekonkwista zachęca do powszedniego sadyzmu i mściwości wobec muzułmanów; wszędzie panuje zamieszanie. Sędziwi rabini pochylają się nad zwojami Tory, szepczą. Srebrny jad prześlizguje się po starym pergaminie.

*

Jest koniec marca 1099 roku, kiedy Obadiusz zbiera się do drogi – zajmie ona co najmniej półtora tygodnia, ocenia. Pojedzie konno Via Domitia, najpierw w kierunku Arles, potem na północny wschód w stronę Apt, gdzie zatrzyma się na kilka dni. Pogoda się zmieniła, nagle zrobiło się nieprzyjemnie zimno, są późne śnieżyce, południe wydaje się nocą, z mrocznych lasów Luberon nadciąga mgła. Obadiusz czeka, aż pewnego ranka przez chmury przebija się słońce. Pasma mgły wznoszą się ponad wzgórza. Daje się wyczuć pierwsze wczesne ciepło, stary rabin nabiera otuchy. Pojedzie najpierw przez równinę Roussillon, potem drogą przez wzniesienia Saint-Saturnin, mijając przepaście i wąwozy budzącej się krainy. Kwitnie już śliwa tarnina; zające skaczą po czarnych skałach, w dolinach pierwsze irysy wypuszczają pąki, ostatnie jagody atramentowo wiszą u nagich gałęzi. Dociera do jakiejś groty, w której chowa się przed ulewą. Koń jest płochliwy i nerwowy, kawałek dalej przywiązuje go do drzewa. Szemrzący deszcz przemierza się nad okolicą jak odsuwana zasłona. Obadiusz zauważa, że siedzi blisko wilczego gniazda. Młode piszczą z głodu i podchodzą do niego na trzęsących się

łapach. Zbliży się wilczyca i warcząc, pokazuje zęby, gotowa bronić młodych; starzec kładzie się powoli i ostrożnie, przestaje się ruszać. Wilczyca odczeka długą chwilę, uspokaja się, przychodzi go obwąchać, kładzie się przy młodych. Mężczyzna zasypia obok karmiącej wilczycy. Kiedy się budzi, już jej nie ma. Nad wzgórzami widać blade słońce, gałęzie ociekają, wszędzie lśni woda. Wstaje ostrożnie, idzie do swojego konia. Kiedy mija skałę, dostrzega spojrzenie wilczycy, które go śledzi.

Jego serce jest przy prozelitce, myśli o niej przez cały dzień. Właściwie oplakuje ją; jest pewien, że zostanie stracona. Ma wrażenie, że zrobił dla niej niewystarczająco dużo. Pod wieczór dociera do wzniesień koło Saint-Saturnin. Od jazdy konnej bolą go plecy, jest zesztywniały i wyczerpany.

Ale też chce jak najszybciej dotrzeć do domu. Ponieważ nigdzie w okolicy nie widać żadnego domostwa, drzemie kilka godzin pod zadaszeniem ze słomy, przy ognisku, które podsyca co jakiś czas, żeby trzymać wilki na dystans. W mroku koń płoszy się parę razy.

Następnego dnia rano czuje ciepło rosy.

O wschodzie słońca od razu dosiada konia, jedzie przez Lioux i miejsce, które obecnie nazywa się Château de Javon – w tamtych czasach to zaledwie niska zagroda z paroma kozami, owcami oraz nerwowo szczekającym psem pasterskim. W końcu schodzi na dół od strony Saint-Jean, dociera w okolice suchego koryta La Croc, gdzie nad doliną są przerzucone rzymskie łuki, w północno-wschodniej części wyżyny Monieux.

Widok samotnej, starej wioski w oddali przyprawia go o ból ze szczęścia; tłumi łzy, lekko ścisną jeszcze boki konia. Przemierza dolinę w kierunku wyżej położonej osady, niewyraźnie słyszy codzienną krzątanie przy murach i na murach, gdakanie kur, krótkie szczekanie psa. Słońce pada na wieżę i kaplicę nad nimi. Robotnicy są zajęci poszerzaniem i umacnianiem murów twierdzy.

Ze wzruszeniem rozpoznaje zapachy i kolory swojej starej wsi. Jego serce jest śmiertelnie zmęczone. W winorośli brzęczą pierwsze pszczoły, odurza go wczesnowiosenne kwiecie, a zroszone deszczem dzikie różyczki na skraju wioski pachną źródlaną wodą. Obadiaz przywiązuje konia przy bramie. Ludzie są zaskoczeni, rozpoznając go; on sam płacze i kulejąc, idzie do domu, wspina się z trudem.

Nie było go ponad pół roku; wydaje się, że tutaj czas znowu się zatrzymał.

Odpoczywa parę godzin, późnym popołudniem obchodzi wioskę, ścisną dłonie.

Potem, przy częściowo naprawionym Portail Meunier, zauważa siedzącą na kamieniu kobietę.

To Chamutal.

Podchodzi do niej, uradowany chce ją wziąć w ramiona.

Kobieta spogląda na niego, nie rozumiejąc.

– Chamutal – pyta – skąd się tu wzięłaś...?

Kobieta kręci głową, wlepia wzrok w stopy.

– Chamutal...?

Ona przechyliła głowę, jakby w jej myślach coś miało się przesunąć, ale nie mówi ani słowa.

Na chwilę podnosi oczy. Spojrzenie bez śladu rozpoznania. Jasnyniebieskie oczy straszliwie zezują.

Jej ręce są pokryte szramami i brudem.

Na spuchniętej lewej stopie widnieje rana od ugryzienia, stopa jest całkiem wykręcona.

U lewej ręki brakuje małego palca – ropiejąca, pokryta strupami rana.

Jakiś człowiek podchodzi bliżej, bierze zakłopotanego rabina pod ramię.

– Zostaw ją, z nikim już nie rozmawia.

Dowiaduje się, że przyszła tu jeszcze przed zimą, schorowana i załamana, i że najczęściej siedzi wśród pozostałości synagogi, na brzegu mykwy. Czasem do niej wchodzi, mykwa jest teraz wyschnięta. Przypuszcza się, że żyje w tym starym dole. Nocą przykrywa go gałęziami i liśćmi. Trochę żebrze, niektórzy mieszkańcy przynoszą jej od czasu do czasu coś do jedzenia. Przyjmuje wszystko, zjada, ale nie mówi ani słowa.

– A gdzie jest jej dziecko?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Dziecko? Nie widzieliśmy tu żadnego. Nie miała przy sobie dziecka, kiedy tu przyszła.

– Chamutal – próbuje na nowo Obadiasz.

Kładzie jej rękę na ramieniu.

– Sara Chamutal?

Kobieta zdaje się go nie słyszeć. Przebiera rękami na podółku. Patrzy przed siebie tępym wzrokiem.

Obadiasz, kulejąc, wchodzi do swojego domu.

Następnego dnia pisze list do gminy żydowskiej w Al-Fustacie, żeby wyjaśnić ucieczkę Chamutal i zameldować, że egipskie dziecko, syn Samuela, Abram, zostało utracone.

3

Nocą po drugiej stronie doliny panuje tak nieprzebrana czerń i cisza, że czasem myśli, że to koniec świata. Że ten, kto wychodzi ze wsi, może wpaść w czarną dziurę, nieskończoną – do nieznanego, które otacza świat, a tu się zaczyna, parę kroków stąd. Słyszy wołanie sowy i w mgnieniu oka przez jej bezładny umysł przelatuje coś z młodości. Innym razem, pewnego wieczoru z ulewą i wiatrem, widzi, jak ślimaki chodzą po otoczkach i zaczynają się parzyć, przezroczyste splatające się kłębowisko. Robi jej się słabo. Nie ma już gwiazd, tylko niezliczone małe dziury w czerni i to światło, które najwyraźniej nie może się przez nie przebić. Schodzi do suchej mykwy, niekiedy chowa się tam przez pół nocy, bełkocząc. Rano drży jak schwytane zwierzę, leżąc na suchych paprociach, wymienia imiona i mamrocze niezrozumiałe modlitwy. Zbiera zioła w pierwszym słońcu i owoce. Głaszcze krzewy, wygłasza tyrady do nisko wiszących chmur. Odyniec wymierza jej paskudnego kopniaka w prawe kolano, przez kilka miesięcy utyka. Lewą stopę ciągnie za sobą jak kłodę. Ten bezlitosny krajobraz ją upaja; unika ludzi i ich ścieżek. W czasie długiego upalnego lata śpi nad brzegami Nesque, w rozpadlinie skalnej, gdzie jest chłodno i bezpiecznie. Jesień upływa jej na zbieraniu orzechów, zrywaniu jabłek, włóczeniu się. Nie wie, jak mija czas. Jest chuda jak patyk i twarda jak dzikie zwierzę. Niemal oduczyła się mówić. Nadciągająca zima zagraża jej ciszą śmierci przez zamrożenie. Chowa się wśród zwierząt po stajniach. Nikt się nią nie przejmuje. Oprócz tego starego rabina, który już prawie nie chodzi. Błaga ją, żeby weszła do domu, przynajmniej na noc. Nie rozumie, co on mówi, albo udaje, że nie rozumie. Nie chce żyć i nie może umrzeć. Imiona, po jej głowie kołaczą się imiona, już nie wie jakie. W myślach jest niekiedy całymi dniami w Rouen, na tamtym dziedzińcu, bawi się z braćmi.

– Arvid. – Uśmiecha się bezzębnie. – Arvid, mój kochany.

Innym razem płonie jej podbrzusze, jakiś mężczyzna jest na niej, jego ciężar naciska i sprawia, że ona sama się śmieje i dyszy, aż w końcu zapada w sen. Zna szczury i węże; czasem zakradają się do ciepła jej brudnych spódnic, ale ją samą zostawiają w spokoju. Nadchodzą mróz, śnieg i odwilż, wszystko to następuje szybko po sobie pewnego późnego popołudnia pod nisko wiszącymi chmurami; wszędzie szemrze woda z roztopów, strome ścieżki stają się strumykami. Śpi w suchej mykwie, pod gałęziami i starymi lisimi skórąmi. Słysząc, jak tam woła, chichocze, piszczy i się modli. Wygrzebuje trufle brudnymi paznokciami, kopytami diabła. Śmieje się chrapliwie i mówi do siebie.

Na wzgórzach, gdzie teraz znajdują się pozostałości wsi Flaoussiers – parę domów bez pamięci w zacisznej bocznej dolinie – usadawia się podczas śnieżnych dni w starej *borie*. Rano chodzi ku wąwozom Nesque, żeby popatrzeć na ptaki latające tam i z powrotem w głębi poniżej. Marzy o tym, że unosi się nad światem. Słyszy szum rzeki, widzi szybkie białe chmury. Z rana patrzy na pospiesznie wschodzące słońce na tle wielkiej skalnej ściany Rocher du Ciré, pomarańczowy żar, który odbija się na zimnoniebieskich kamieniach, gdzie ona leży, drżąc. Od ostrego mrozu ze ścian odpadają kawałki skały i staczają się do wąwozu; słyszy, jak stukoczą i spadają, głęboko. Pragnie śmierci.

Dostanie to, czego pragnie. Następuje to niespodziewanie, pewnego dnia w grudniu. Zjadła trujące grzyby, jej umierającym w mękach, wstrząsanym drgawkami ciałem targają wymioty. Dławiąc się, dowleka się na skraj wąwozu, gdzieś naprzeciwko kamiennej masy Rocher du Ciré.

Lodowate słońce wylania się i nie ogrzewa skał. Zioła są wieczne i martwe; na wzgórzach, gdzie wiatr szarpie krzywe dęby, szeleści od węży. Rozgląda się dokoła i jeszcze przez chwilę widzi świat, coś, czego już nie rozumie.

– Vigdis, kochana jasna siostrzyczko – mówi – jestem czarną Chamutal.

Przykry śmiech przeszywa jej ciało jak nóż, a wtedy Chamutal zamiera z szaleńczo bijącym sercem. Jej blade oczy wychodzą na wierzch. Nabrzmiały język z odrobiną czarnej śliny wysuwa się z ust. Chamutal czuje, jak zimno wspina się po jej ciele – niczym silny ruch od stóp, bardzo równomierny, jakby ona sama była tak wielka jak ten oziębły, nieprzystępny świat. Przez moment jej szeroko otwarte oczy patrzą wprost przed siebie. Powoli napełnia się tym nowym uczuciem, tym chłodnięciem i odpływaniem w nieskończoną czarną głębię własnego ciała.

*

Jeszcze kilka dni i rozpocznie się rok 1100.

Niegościnne miejsce, w którym leży, jest dla przechodniów nie do znalezienia.

Wilki obwąchują jej ciało. Żaby wskakują na nie. Węże prześlizgują się obok. Śluz miesza się z czarnym kurzem. Świat. Ziemia. W górze krążą wrony i sójki. W głębi wąwozu pod miejscem, w którym leży i się rozkłada, młody zakonnik dotarł do skalnej kaplicy Świętego Michała. Młody eremita modli się do Boga i jest wzruszony własną gorliwością religijną. Niedźwiedzie śpią w grotach. Ryby skaczą pod prąd w obmywającej je, lodowatej wodzie, która z płaskowyżu Albionu spływa w głąb wąwozu. Ostatnie motyle umierają pod dębem bezszypułkowym, w suchym listowiu, które szeleści w porannej bryzie. Przepoczwarczające się owady czekają w cieniu. Słońce jest słabe; coś jak daleki sen. W oddali burza śnieżna pędzi w stronę skał. Owoce jałowca niczym czarne krople lśnią na kolczastych krzewach. Nikt ich nie zrywa.

Powoli butwieje jej zabrudzone ubranie.

Jej włosy rosną pośród traw.

Półtora roku później wszystko jest pożarte przez małe zwierzęta drapieżne; reszty dopełniają jakże często opiewane robaki. Jej szkielet blaknie, żaden człowiek nie odkrywa jej doczesnych szczątków.

Krzyżowcy w końcu zajmują Jerozolimę.

Nadchodzi luty 1106 roku. Ogromna kometa, jak pojawienie się czegoś, co przeleciało przez powłoki snu, przecina noc i napędza strachu całemu zachodniemu światu. Kaznodzieje znowu chodzą po ulicach z kołatkami; wilki i psy skowyczą tak, że można ogłuchnąć. Kometę widać również nad doliną Monieux, wizja czegoś boskiego, czegoś, co jest absolutnie niepojęte. Rabin Obadiasz patrzy w górę, pyta Boga, co się stanie z ludźmi. Cisza tam, w górze, gdzie pędzi to zjawisko, jest przytłaczająca. W ciągu następnych tygodni kilka owiec wydaje na świat zniekształcone potomstwo; pyski zdają się ludzkie, ale diabelsko powykrzywiane. Natychmiast podrzyna się im gardła i wrzuca do dołu. Zostaje odprawiona msza za niewyznane grzechy. Parę kilometrów dalej, poniżej na skraju wsi, zabalsamowane ciało Dawida Todrosa rozłożyło się już na żydowskim cmentarzu. Również szkielet Chamutal obraca się w proch, przypomina garść żółtawej ziemi i nie da się go już odróżnić od ponadczasowego ruchu. Leży tam niewzruszona i wtapia się w ziemię.

Nie ma grobu, nie ma śladu, że kiedykolwiek istniała.

Nie pozostaje nic oprócz opowieści o jej życiu – opisaney w nadgryzionych dokumentach z Kairu. Tam rabin po jakimś czasie wrzucił do genizy również drugi list od Obadiasza, wręczony mu przez Samuela. W tym celu rabin musiał wąskimi schodami wejść na piętro, zanim dotarł do

tylnej ściany. Półtora metra nad podłogą znajdował się w niej otwór w kształcie półksiężyca, za którym ział mrok składu. Także drugi dokument zawierał imię Boga. Bóg musiał go więc zabrać z powrotem; człowiek nie może zniszczyć Boskiego słowa. Wirując, list opada na inne dokumenty, wśród śmieci i kurzu.

*

Mijają lata; burzliwa historia Al-Fustatu, założonego kiedyś przez Amr Ibn al-Asa dumnego miasta przy starej bramie babilońskiej, niespodziewanie tragicznie się kończy. Niecałe siedemdziesiąt lat po śmierci Chamutal Kurdowie pod przywództwem legendarnego Szirkuha niepowstrzymanie ruszą na nie, niosąc kres epoce świetności Fatymidów. Ponieważ wielki wezyr egipski nie mógł patrzeć na zagładę swojego miasta, w 1168 roku sam kazał je podpalić. Chciał w ten sposób uniemożliwić krzyżowcom, którzy skwapliwie wykorzystali kurdyjską inwazję do zdobycia arabskiego terenu, uczynienie z Al-Fustatu bazy wypadowej. Ta autodestrukcyjna katastrofa stanowiła jedną z wielu kulturowych i społecznych katastrof ówczesnego Bliskiego Wschodu. Miasto płonęło przez ponad dwa miesiące. Ogień pochłonął cały świat, niszcząc i spopielając każde świadectwo tej barwnej wielokulturowej symbiozy. Uczni lamentowali, ludzie w panice uciekali z piekielnych czeluści, szczury i węże, koty i psy próbowały uniknąć morza ognia, spadające gruzy przygniatały dzieci, nie pozostał niemalże kamień na kamieniu. Na dwadzieścia kilometrów widziano w okolicy czarne kłęby dymu unoszące się przez wiele tygodni nad Doliną Nilu jako znak przekleństwa i upadku. Nocami miliony iskier strzelały i gasły nad pomarańczowym żarem, starcy płakali i bili się w piersi, przyglądając się z namiotów nad brzegami Nilu, przekonani, że koniec świata jest bliski. Zniszczenie Al-Fustatu było katastrofą przypominającą unicestwienie Biblioteki Aleksandryjskiej: stanowiło koniec epoki, za którą zatrasnęły się bezlitosne drzwi zapomnienia; nie dojdziemy, ile wiedzy przez to straciliśmy. Dziwnym sposobem dzielnica z synagogą Ben Ezry częściowo się zachowała. Geniza znajdowała się w mrocznej głębi, pielęgnując swoje tajemnice, zaledwie kilkadziesiąt metrów za tym ostatnim niezłomnym kawałkiem ogromnych murów miejskich, tuż przy studni Mojżesza.

IX

CAMBRIDGE

Pozostała mi do odbycia jeszcze jedna podróż – podróż, w którą Chamutal nigdy się nie udała i o której ona, wieczna uchodźczyni, nie mogła nawet marzyć: w ślad za listem polecającym, napisanym dla niej w Monieux przez rabina Obadiasza. Musiałem pojechać do Cambridge, miejsca przechowywania kolekcji manuskryptów zabranych przez Solomona Schechtera z Kairu, żeby na własne oczy zobaczyć, a może nawet na moment dotknąć przedmiotu, który Chamutal nosiła na swoim ciele.

Dzień, w którym docieram do miasteczka uniwersyteckiego, jest upalny. Dziedzińce nastrojowych starych college'ów wypełnia przenikliwy zapach kwiecia. Studenci siedzą w oknach pochyleni nad Maynardem Keynesem, Tomaszem z Akwinu, Miltonem lub Wittgensteinem. Przy sadzawkach prerafaelickie piękności zakreślają fluorescencyjnym markerem materiały do antropologii. Na rzece przewodnicy w swoich *punts* – łódkach, które popychają tyczkami po płytkiej wodzie Cam – z zapamiętaniem imitują Wenecję. Oto życie wielowiekowych elit, trochę oderwane od rzeczywistości i szarmanckie, centrum starych, kulturalnych środowisk, które uparcie próbują udawać, że pół świata nie stoi w ogniu. Dziewczyny – w wieku Chamutal, gdy ta uciekła z Rouen – między jasne włosy wsunęły eleganckie białe słuchawki. Słuchają ambientu Hildegardy z Bingen, dostarczonego im przez torrenty bez imienia.

Idę alejkami pachnącymi skoszoną trawą, docieram do starej wieży University Library, wchodzę szerokimi schodami, w recepcji odbieram swoją *library card*, przechodzę przez elektroniczne bramki, szerokimi schodami udaję się na pierwsze piętro; wąskimi schodami wieży wspinam się na wyższe, na trzecim przechodzę długie North Wing, mijając niekończące się regały z książkami, na samym końcu widzę niepozorne drzwi; otwieram je pchnięciem, przechodzę jeszcze przez mały korytarz, w końcu docieram do Manuscript Room, zabezpieczonego i strzeżonego przez ludzi, których uprzejmość przywodzi na myśl istoty czekające na nas u bram rajów. Moja karta zostaje zeskanowana, zostawiam wszystkie rzeczy, których według wręczonego mi folderu nie można mieć przy sobie, takie jak długopisy, wieczne pióra, segregatory, torby, kapelusze, szale i rękawiczki, strugaczki do ołówków, scyzoryki czy gilotynki do papieru.

Oczyszczony więc ze złudzeń dnia i kiedy moja karta zostaje zeskanowana, a przede mną z cichym kliknięciem otwiera się mała szklana śluza, wchodzę do czytelni. Na końcu recepcji czeka na mnie wózek z dwoma dużymi czarnymi pudełkami z Cairo Genizah Collection; noszą numery 12 i 16. Mają mniej więcej metr na pół metra i dziesięć centymetrów wysokości. Ołówkiem podpisuję oświadczenie, siadam przy wskazanym stoliku, otwieram swój komputer podróży, ze starego futerału wydaję szkło powiększające. Najpierw otwieram pudełko numer 12, oglądam dokument T-S 12.532. Jest to kolorowy strzęp, przypominający raczej starą mapę kraju albo prymitywny wycinek częściowo wymyślonego kontynentu. Nie przestaje zdumiewać fakt, że te prastare skrawki dotrwały do naszych pełnych napięcia czasów i że w chwili odkrycia wywołały takie zamieszanie.

W 1964 roku, dwa lata przed wnioskami Normana Golba dotyczącymi Monieux, uczonego w Piśmie Eliyahu Ashtor omawiał ten dokument. Zawiera on relację z niedosłusznego wykonania wyroku śmierci w okolicach Nájery na prozelitce, która straciła męża w pogromie. Dopiero trzydzieści lat później, w 1999 roku, Edna Engel z Tel Awiwu zasugerowała, że prawdopodobnie istnieje związek między tym manuskrypcem a innym, T-S 16.100, mówiącym o prozelitce z

Monieux. Engel dowodzi, że manuskrypt wyszedł spod ręki tego samego autora. To samo pismo, te same charakterystyczne cechy lingwistyczne wskazujące na sefardyjski hebrajski, ten sam materiał. W swoim artykule, który najpierw został opublikowany w hebrajskim piśmie „Sefunot”, Edna Engel szczerze oddaje treść tego dokumentu. Ponieważ w pierwszym rękopisie autor nazywa siebie samego z imienia, prawdopodobnie znów chodzi o Joszua Obadiasza z MNYW. Jeśli to by się zgadzało, można by wywnioskować, że chodzi o kobietę z MNYW. Życie prozelitki niespodziewanie otrzymało sequel. Ale ponieważ kobieta zostaje zaprowadzona na stos w położonej na północy Hiszpanii Nájerze, Edna Engel decyduje, że miejscem, do którego po wykupieniu uciekła, nie było Monieux, tylko Muño, średniowieczna wieś w pobliżu Burgos w Hiszpanii, która tymczasem przestała istnieć. Z językowego punktu widzenia hebrajski, w którym nie zapisuje się samogłosek, dopuszcza taką możliwość. Teza Engel została przejęta przez Josepha Yahaloma, który cytuje ją w swoim artykule na temat starohiszpańskiego dokumentu i wprost zakłada, że musi chodzić o Muño.

Ale co dokładnie zawierał T-S. 12.532? Chciałem zdobyć dosłowne tłumaczenie. Poprosiłem więc uniwersytet w Cambridge o elektroniczną kopię tego manuskryptu, tak jak to zrobiłem wcześniej z T-S 16.100. Następnie wysłałem tę kopię do syna Normana Golba, doktora Raphaela Golba, który dał ją ojcu do przeczytania. Uczony z Chicago był zdumiony; filolodzy, którzy z takim przekonaniem zaprzeczali jego teorii z 1969 roku, nigdy się z nim nie skontaktowali. Sędziwego Golba na nowo zaintrygowała historia z początków jego wspaniałej kariery. Zlecił sporządzenie słowo po słowie tłumaczenia bardzo sfatygowanego manuskryptu. Zdziwiłem się, kiedy sam go zobaczyłem: T-S 12.532 nie dawał ostatecznych odpowiedzi na temat okoliczności ani miejsc. Niewątpliwie jednak kobieta została postawiona na stosie w Nájerze i niespodziewanie w ostatniej chwili ją wykupiono. Właściwe, trochę dziwnie brzmiące imię szcudrego wybawcy jest w dokumencie podane: Jom Tow Narboni. Niektóre szczegóły przemawiają do wyobraźni; około północy kobietę odesłano z powrotem po jej skazaniu. Na końcu są wymienione imiona: Dawid bar [...], Szmuel bar Jakub; Justa. Dwa z tych imion są zbieżne z imionami dzieci Chamutal, dwa pozostałe prawie z imionami jej mężów. Każdorazowo z dopiskiem: zmarli. Czy T-S 12.532 mówi, że dzieci Chamutal zginęły? Dlaczego więc pojawiła się na północy Hiszpanii? Czy Obadiasz rzeczywiście napisał również ten list? Czy na pewno chodzi o Chamutal? Śledzę obce litery, stale zderzam się z frustrującymi brzegami, na których tekst się urywa. Zostają ze swoimi pytaniami.

*

Oddaję w recepcji pudełko numer 12, otrzymuję pudełko numer 16. Otwieram je i widzę błysk jeszcze grubszego stosu dokumentów zapakowanych w plastikową folię. Teczka zaczyna się od numeru pierwszego; muszę ostrożnie przesunąć po metalowych kółkach wszystkie duże stronicie, by dotrzeć do setnego, ostatniego dokumentu: T-S 16.100. Jest to jeden z najlepiej zachowanych manuskryptów, poza tym bardzo ładny. Ponieważ został zabezpieczony folią, trudno ocenić, czy chodzi o pergamin, jak zakłada Norman Golb, czy o swego rodzaju papier czerpany, na który wtedy właściwie było jeszcze za wcześnie. Litery mają kolor krwi wołu, barwa manuskryptu jest niejednolita: od płowóżółtej po szarobiałą, gdzieniegdzie z ciemniejszymi odcieniami. Szukam najmniejszego otworu w zaszytej koszulce, delikatnie wsuwam weń czubek palca, przez chwilę dotykam brzegu dokumentu, który Chamutal nosiła przy swoim ciele. W sali jest tak cicho, że słyszę własny oddech.

Przez szkło powiększające dokładnie oglądam powierzchnię, każdą niewielką bruzdę – zwłaszcza słabe miejsca włókien zawierające ślady wydarzeń, których nie da się odtworzyć. W postrzępionym dokumencie widnieją cztery dziury różnej wielkości; trzy z nich bezsprzecznie

spowodowały wilgoć, zużycie, osłabienie materiału. Ale powyżej, przy dziewiątym wersie, znajduje się ogromny otwór w miejscu, w którym włókna są mocne i gdzie nie widać zużycia; wydaje się, że tam kawałek został raczej wyrwany. Teraz wyraźnie widzę, że w górnej części tej dużej dziury można częściowo odczytać hebrajskie litery mem, nun, jod i waw: מנׁוּי. MNYW. Gdzie i kiedy powstała? Czy ktoś zrobił ją umyślnie? Czy Chamutał zahaczyła o coś z dokumentem w ręce? Czy zaczął się on w jej torbie o tefilin Dawida? Czy do rozdarcia doszło w głębi genizy, w ciągu tych dziewięciu wieków w mroku? Kiedy Jaakow Sapir odwiedził synagogę w 1864 roku i poprosił o dostęp do genizy, strażnik zapewniał go, że w ciemnym pomieszczeniu można znaleźć tylko węże i demony. Wilgoć, która nadwerżyła materiał, mogła pochodzić zarówno z potu, krwi, morskiej wody, jak i z pleśni. Dopiero wtedy przychodzi mi do głowy, żeby ostrożnie odwrócić dokument w foliowej koszulce. Ku swemu zdziwieniu dostrzegam na odwrotnej stronie dwa duże ślady złożenia: dokument nie był – jak zawsze zakładałem – zrolowany, lecz został trzykrotnie złożony wzdłuż. Te ślady są mocne, były tam od dawna. Możliwe więc też, że Chamutał trzymała go w ukryciu między warstwami ubrania. Dziwne, że na przedniej stronie ślady złożenia nie są widoczne. Plama wilgoci także na odwrotnej stronie jej brunatna. List był przemoczony, i to nie tylko wodą Nilu. Znowu długo pochylałam się nad dokumentem. Poza tym, jeżeli został w ten sposób złożony na trzy, duża dziura znajdowała się po wewnętrznej stronie. To niezrozumiałe. Co też się z nim działo? T-S 16.100 na zawsze pozostanie zagadką. Ponownie robię zdjęcia tej nieznoszącej światła powierzchni pełnej liter. Sporządzam parę notatek. Siedzę, wpatrując się w dokument. Tak mało wiem.

*

Normana Golba tak zaferowała ta kwestia, że dwukrotnie odwiedził Monieux, w grudniu 1966 i w 1967 roku. Jego artykuły zostały opatrzone zdjęciami, które sam wykonał. Po słynnym eseju z 1969 roku opublikował w 1978 roku tekst we francusko-żydowskim magazynie „L’Arche”, w którym jeszcze raz zwięźle i przekonująco bronił tezy Monieux. W 1979 roku opublikował w tym samym piśmie krótki artykuł czytelnika, w której porusza temat istnienia tak zwanego *cimetière aux Juifs de Monieux*, stosując określenie potocznie używane w tamtej okolicy. Posiadam kopię starego zdjęcia, na którym widoczna jest rodzina Golba na ławce przed domem, w którym pisałem tę książkę.

W kwietniu 2016 roku Golb opublikował na stronie The Oriental Institute Uniwersytetu Chicagowskiego nowy artykuł zatytułowany *Monieux or Muño?*, opierający się na informacjach, których udzieliłem mu odnośnie do artykułów Yahałoma i Engel oraz mojego researchu w Monieux. Także i on dochodzi do wniosku, że niczego nie można powiedzieć z całą pewnością ani o interpretacji MNYW, ani o związku między obydwoma manuskryptami. Stanowczo jednak stwierdza, że topograficznie opcja Muño nie bardzo do niego przemawia, i opowiada się za tezą o Monieux. Tak czy owak, T-S 16.100 jest znany jako historia prozelitki z Monieux. Simon Schama w *Historii Żydów* bez ogródek nazywa ją „konwertytką z Monieux”^[6] i poświęca jej krótki fragment. Nawet Jewish Virtual Library, bazująca na *Encyclopaedia Judaica*, mówi o „manuskrypcie w Cambridge, aż nadto ewidentnie pochodzącym z Monieux w Prowansji”.

*

Tu kończą się moje poszukiwania. Trudno mi się rozstać z cichą czytelnią. Później znowu chodzę ulicami tego spokojnego, staroświeckiego miasteczka. W Fitzwilliam Museum trwa wystawa o egipskich rytuałach pogrzebowych. Roztargniony spaceruję po zaciemnionych salach

z sarkofagami i kanopami, myśląc o Kairze i swoich wieczorach nad brzegami Nilu. Koło w pewnym sensie się zamyka. Kiedy wychodzę na zewnątrz, z nieba pełnego światła i ciepła pada prawie niewidoczny deszcz.

X

SKARB Z MONIEUX

1

W prowansalskiej gazecie „Le Méridional” z dnia Święta Zmarłych 1968 roku dwóch dziennikarzy poświęciło się zagadnieniu nazwanemu przez nich tajemnicami płaskowyżu. Udali się na poszukiwania ostatnich świadków, którzy byli jeszcze w stanie powiedzieć coś na temat głośnego skarbu z Monieux, mającego spoczywać gdzieś w skałach, ukrytego w tej czy innej sekretnej pieczarze. W szeregu folderów turystycznych przywoływali atmosferę tej przedalpejskiej ziemi: tu nie tańczy się farandoli, tu milczą cykady, to kraina *équilibre et austérité* – równowagi i surowości. Tu zdajesz się przebywać nie w Prowansji z pocztówek, lecz w starym i bezimiennym regionie, który występuje wszędzie w górach wokół Morza Śródziemnego. Przy drodze nie rosną tu platany, ale dzikie kasztanowce i stare lipy. Po niektórych łąkach chodzą małe alpejskie krowy, owcze dzwonki rozlegają się całymi dniami. Pasterz drzemie na brzegu w trawie. Jak daleko pamięć ludzka sięga, niewiele się tu zmieniło. Wyobrażasz sobie, że jesteś w sielance Wergiliusza.

Dwóch dziennikarzy z radosną i udawaną naiwnością zwraca się do oschłych mieszkańców wsi i dostaje odpowiedź, na jaką zasługuje. Sędziwa już wtedy pani Calamel mówi, że jej dziadek opowiadał o ukrytym skarbie, piekarz przypomina sobie niemal stuletnią panią Jussiand, która więcej wiedziała na ten temat, ale zmarła, zabierając swoją tajemnicę do grobu. Fernand Bres, mężczyzna z różdżką, którego dziennikarze namówili, żeby poszedł z nimi, wielokrotnie tego dnia chodzi stromą i niebezpieczną drogą między średniowieczną wieżą na szczycie skalnej ściany a wsią w dole, potykając się o skały i kamienie. Nagle, przed rozpadającym się kawałkiem starych murów, jego różdżka zaczyna niesamowicie drżeć i się wyginać. Złoto, gdzieś tutaj musi się znajdować złoto! Różdżka szaleje tak, że wypada z rąk pana Bresa na ścieżkę między dzikimi palmami. Tylko kilka metrów, myśli różdżkarz, tu należałoby kopać. Stojący przy nim mieszkańcy wsi ze współczuciem kręcą głowami: nonsens, niemożliwe, żeby to było tutaj, przecież zawsze mówiono, że chodzi o wejście do zapadniętej groty gdzieś wysoko wśród skał, prawda?

– Jak to, czyżby to tylko legenda?

Dziennikarze udają się do urzędu gminy, żeby zasięgnąć rady starego burmistrza. Czy istnieją jakieś archiwa? Nie, niczego nie można już znaleźć, nawet nie wiadomo, w którym dokładnie roku wzniesiono starą średniowieczną wieżę, okazałą budowlę wysokości trzydziestu metrów, która zdecydowanie chyli się ku upadkowi. Poza tym gdzieś w dziewiętnastym albo osiemnastym wieku – argument na odczepnego – doszło do wielkiego pożaru, w wyniku którego dawne archiwa w całości strawił ogień. To, co pozostało, znajduje się być może w Carpentras, kto wie. Może kieliszek wina?

W lekkiej rozpaczce dziennikarze zwracają się więc do paru przyglądających się w milczeniu mieszkańców.

Czy w to wierzą?

– Ależ oczywiście – odzywa się sprytnie pan Ughetto na potwierdzenie czegoś wręcz przeciwnego.

I owszem, są opowieści o staraniach, wykopach, poszukiwaniach i sporach, o opowiadanych sobie na ucho historiach, o wskazówkach tu i ówdzie, za zakrętem albo gdzieś w tym czy innym wąwozie, trzecia jama po lewej lub po prawej, już nie bardzo wiadomo, kiedyś znaleziono tam starą broń, starożytny rzymski kamień i neolityczne toporki, różne stare

badziewie tu znajdują. Przy gospodarstwie Augier jest studnia, przejrzystszej wody nie uświadczysz, kto wie, może tam da się coś znaleźć, ale nie, ci staruszkowie, którzy właśnie włożyli jagnięce kotleciki do gorącego popiołu, wcale w to nie wierzą.

– Jedynym skarbem tutaj jest samo to boskie miejsce – śmieją się i pozbywają natarczywych dziennikarzy, bo kotleciki się przypała.

Z kolei ktoś inny sugeruje, że podobno istnieje podziemny korytarz od wieży na górze aż do wieży Durefort po drugiej stronie doliny, ruiny w odległości mniej więcej pięciu kilometrów; gdyby odnaleźć to wejście, zapewne znaleziono by również skarb.

Ktoś rzuca kwaśno:

– Przecież tysiąc lat temu nie wykopano by tunelu na pięć kilometrów, skoro my w tę twardą skalistą ziemię ledwo kilof wbijamy.

Czego to ludzie nie mówią.

W końcu przeprowadzono wywiad z Belgiem, antwerpskim komisarzem policji, który w czasie wakacji zamieszkuje tam stary dom, budynek z pęknięciem w fasadzie od dołu do góry; nazywa się Albert Schilders, wygląda promiennie i sympatycznie, a w dodatku według zdziwionych dziennikarzy mówi *sans accent*.

– Ach – przyznaje – kopałem tu i ówdzie, owszem, trzydzieści centymetrów najwyżej, za leniwy na to jestem.

Wzrusza ramionami, pozuje do zdjęcia, uśmiecha się życzliwie, wraca do lektury książki na małym tarasie, z którego rozciąga się widok na dolinę. W skrupulatnie prowadzonych dzienniczkach Alberta Schildersa nie znajduję żadnego dowodu na jego nadmierne zainteresowanie całą tą kwestią. Wyglądam przez okno domu, z którego on sam przez kilkadziesiąt lat spoglądał na dolinę.

2

Jest lato 2015 roku. Ciepłe sierpniowe dni następują jeden po drugim, niebo tygodniami jest nieskazitelnie błękitne. Zwłaszcza po zachodniej stronie, wczesnym rankiem, błękit nad ruinami starej wieży jest tak głęboki, że kręci się od tego w głowie. Dużo spaceruję w ciągu tych dni. Ponownie przemierzam wszystkie możliwe szlaki, którymi żydowska prozelitka mogła dotrzeć do doliny. Wybieram drogę samym dołem wąwozu do miejsca, w którym znajduje się stara skalna kapliczka świętego Michała. To mistyczne miejsce; prastary budynek stoi dosłownie w grocie. W wiekowych murach widać zatopione płaskorzeźby i wyryte nieczytelne już słowa, umieszczone tam przez samotnych zakonników. Tuż przed nim, wśród gęstych zarośli, Nesque letnią porą to niewiele więcej niż sącząca się strużka wody. Zapach wilgotnych skał i kamienia. Siadam. Przypominam sobie, że Andy Cosyn w swojej książce *Le trésor de Monieux* pozwala kilku osiemnastowiecznym postaciom naiwnie wierzyć, że można tu znaleźć słynny skarb. Autor czerpie przyjemność z igrania z ciekawością czytelnika. W swojej publikacji zawarł zdjęcia groty, którą gdzieś odkrył, a w której leżały czaszki. Podobno tak wyjątkowo dobrze się zachowały dlatego, że powietrze nie miało do nich dostępu do czasu, gdy wyrąbał wejście do groty. Czaszki mężczyzn, którzy przyszli zakopać skarb, a zostali pogrzebani pod gruzami walącego się tunelu? Trudno uwierzyć, że to coś więcej niż zabawa, ale cóż, zanim się człowiek zorientuje, znowu spaceruje samotnymi skalistymi ścieżkami, zastanawiając się, gdzie ten skarb może się znajdować.

Jeśli ma to jakieś znaczenie: nabrałem tymczasem przekonania, że wielowiekowa legenda podświadomie kręci się wokół ubogiego mienia synagogi w Monieux, które Jozua Obadiasz wraz z dwoma mężczyznami chcieli ukryć w bezpiecznym miejscu. Innymi słowy: dotyczy paru miedzianych świeczników, może kilku złotych monet, przede wszystkim jednak zwojów Tory, paru rzemyków modlitewnych oraz – podobnie jak w genizie kairskiej – zbioru dokumentów, których człowiek nie mógł zniszczyć, ponieważ zawierały imię Boga. Czyli: największy skarb z Monieux, którego odkrycie być może wprowadziłoby nas w osłupienie, najprawdopodobniej nie jest niczym innym niż genizą. Zresztą słowo pochodzące z tego samego źródłosłowu występuje już w hebrajskiej Księdze Estery w znaczeniu „skarbiec”.

Zbioru manuskryptów z genizy w Monieux nie należy moim zdaniem szukać w wąwozie, ale – o ile coś z niego zostało – gdzieś w miejscu zwanym combe Saint-André, małym stromym bocznym parowie, do którego trudno się dostać bez profesjonalnego sprzętu wspinaczkowego, ale gdzie wówczas prawdopodobnie wisiała drabina sznurowa. W skalnej ścianie widać tam dwie jaskinie położone jedna nad drugą, które szczególnie dobrze nadają się do ukrycia dobytku i do których podczas ucieczki z synagogi można było szybko dotrzeć przez Le Petit Portalet, najwyższą położoną wieżę strażniczą po żydowskiej stronie wsi.

Nie jest niemożliwe, że stary Jozua Obadiasz napisał jeszcze o tej katastrofie. Ale pisemne dokumenty, inaczej niż w Al-Fustacie, nie mogły się zachować w tym kapryśnym klimacie. Niewykluczone też, że polecił sprowadzić rzeczy z powrotem do synagogi i że wszystko zostało utracone w innym momencie, wieki później. Nie jest też niemożliwe, że rabin nie za dobrze pamiętał, gdzie tamtej okropnej nocy zakopali wyniesione rzeczy; musiał uciekać, żeby ratować życie, gdy z jaskini wyszedł niedźwiedź. Właściwie nie do pomyślenia jest to, że kiedykolwiek zostanie jeszcze odnalezione.

Postanawiam zejść trochę niżej na zarośnięty stok za wsią, przez niektórych wskazywany jako dawny cmentarz żydowski. Leży tam trochę starych kamieni pod kurdybankiem, obrazkami i przytulnią. Z mozołem próbuję odwrócić kilka z nich. Czy widzę prastare rysy po zatartych tekstach? Bez względu na to, jak bardzo pragnąłbym je znaleźć, nie ma już żadnych śladów. Jeśli znajdują się tu dawne żydowskie płyty nagrobne, po dziesięciu wiekach leżą co najmniej półtora metra pod nieustannie osuwającym się humusem zbrocza. Pogrzebany został sam cmentarz. Jedynymi niejasnymi śladami są prosta linia murku i trzy kamienne stopnie zasypane suchymi liśćmi.

Sela. Koniec psalmu.

*

Ale to nie był koniec.

Pośród ruin nad wsią jest pewne miejsce, w którym przez wiele kolejnych letnich sezonów doświadczałem wyjątkowego szczęścia – małe poletko suchej trawy, gdzie wiórki z martwych gałęzi wiśni wirują w gorącym letnim wietrze jak czarny śnieg, niektóre opadały na moje włosy i kartki książki, którą czytałem. Siedziałem tam całymi popołudniami i niczego nie przeczuwając, patrzyłem na światło przesuwane się po równinie, słyszałem, jak krakanie wron odbija się echem od skalnej ściany nade mną, i słuchałem wzniosłej muzyki Sébastiena de Brossarda: *Ego sum pastor bonus* – Bóg uspokaja umierającego i mówi, że jest dobrym pasterzem.

Poletko leży nieco wyżej, od południowej strony średniowiecznej wsi, gdzie kiedyś musiała się znajdować dzielnica żydowska, gdzieś poniżej Le Petit Portalet. Żeby się tam dostać, trzeba pokonać kilka prastarych stopni, kamieni poprzesuwanymi w ciągu stuleci przez nieustępliwe zioła. Obok tych stopni widać jeszcze częściowo zapadnięte romańskie sklepienie piwniczne. Dom, który tu stał, musiał być obszerny i znamienity; fundamenty są grube i solidne. Fakt, że tak głęboka studnia znajdowała się na piętrze, do którego można było się dostać jedynie znad suterenu, świadczy moim zdaniem o tym, że chodziło o bardzo szczególny budynek. Zarys fundamentów wyraźnie też pokazuje, że rozmiarami przewyższał prywatny dom.

Mroczną studnię przykrywa metalowa blacha falista. Przez szczelinę widzę w dole blask ciemnej, zimnej wody. Zdejmuję blachę. Ku mojemu zdziwieniu jest tam nie tylko studnia, widać również prymitywne siedzisko w starym kamieniu. Studnia trochę przypomina kształtem ósemkę; w głębi widzę przestrzeń, która prawdopodobnie może pomieścić około pięciuset litrów wody. Dopiero wtedy dociera do mnie, co widzę: to żydowska łaźnia, mykwa do rytuału oczyszczenia. Muszę usiąść, żeby dojść do siebie. Czy to naprawdę...? Taka mykwa na piętrze mogła znajdować się tylko w synagodze. Albo w każdym razie w domu rabina. Jest nawet kilka stopni schodów do wyżej położonej bocznej nawy, przypuszczalnie galerii dla kobiet. Innymi słowy: miejsce, w którym przez lata przesiadywałem tak szczęśliwy, czytając, jest tym, gdzie Jozua Obadiasz i Dawid Todros stali pochyleni nad swoimi zwojami pism. Jest miejscem, w którym Chamutal zanurzyła się w rytualnej kąpieli. Miejscem, w którym dokonano potwornej rzezi. Nagle zaciszna łączka staje się przestrzenią pełną krzyczących głosów, lamentów, przekleństw, mordy, rozpacz i krwi. Stoję dosłownie w miejscu ich przeszłości. *Szma Israel.* Tutaj w dzień po pogromie zrozpaczona Chamutal załamała się przy okaleczonym ciele męża. To jest miejsce, gdzie w ostatnich dniach swojego obłąkania i nieszczęścia całymi nocami ukrywała się jak zwierzę i płakała.

Z niedowierzaniem i zdumieniem wpatruję się w swoje odkrycie.

Dotykam brzegu starej studni. Dotykam Chamutal.

*

W pogrążającej się w zmierzchu dolinie pada mżawka. Po starych otoczakach górnych uliczek wolno suną ślimaki, pochłonięte swoją senną grą miłosną. Mam się na baczności, stawiając stopy, które łatwo ulegają zwicnięciom. Schodzę na dół, idę do domu Andy'ego Cosyna, miło sączącego sobie aperitif. Opowiadam mu, co znalazłem: namacalny dowód żydowskiej społeczności z czasów południowych wypraw krzyżowych, zwieńczenie, którego potrzebował Norman Golb do ostatecznego przypiecztowania tezy o Monieux. Andy od razu wydobywa ze swojego archiwum stare plany, pochodzące z czasów przednapoleońskich. Odnajdujemy parcelę: okazuje się, że budynek z mykwą jako jedyny w całej wsi miał tylne wyjście. Tylne drzwi synagogi. Prowadziły na wąską, nieistniejącą już dziś uliczkę, która półłukiem biegła wokół tej części miejscowości i dochodziła do południowego Portail Meunier. Spoglądamy na siebie: prawdopodobnie tamtędy uciekli mężczyźni z kosztownościami z synagogi.

3

Wsie na południu się wyludniają. Powoli ulega zatraceniu społeczna spójność dawnej wspólnoty. Znika całe pokolenie, młodzi nie zajmują jego miejsca. Czasem sprowadza się tu świeżo poślubiona para, ale po roku doskwiera jej samotność surowej przyrody. Szukają mniej opuszczonych miejsc. Nawet stara prostolinijna piekarka przeszła na emeryturę i mieszka kilka wsi dalej, z mężem Jeanem-Jacques'em, piekarzem, którego śmiech przez dziesięciolecia rozbrzmiewał od rana do wieczora – dźwięk olbrzymiej, kwaczącej kaczki. Max, siwowłosy hydraulik, utyskując na swoje zniszczone kolana, zachodzi w niedzielę do domku zawsze łagodnej Milène, gdzie oboje powoli się upijają. Marzy o swojej ojczyźnie, Chorwacji, ale nie może się stąd wyrwać. Bezdzielne małżeństwo Chanu – Renée i Henri – najbardziej wielkoduszni ludzie, jakich kiedykolwiek spotkałem; on wypełniał swoje dni słuchaniem opery, a kiedy chciał zrobić coś pożytecznego, delikatną drewnianą gałązką naprawiał złamany palec Świętego Rocha w wiejskim kościele albo w nieskończoność cierpliwie odnawiał inną starą figurę świętego. Ich romantyczny dom z dużymi różanymi krzewami już od lat stoi pusty, pęknięcia w fasadzie poszerzają się z każdym rokiem. W starym pomieszczeniu powoli niszczeje wielowiekowy piec do pieczenia; podobno piekarz pozyskiwał wodę z piwnic pod moim domem. Podstarzały brytyjski rockers przy wiejskim placu na dole mieszka z żoną w sklepiku przypominającym domek dla lalek, w którym jej kolorowe malowidła czekają na kupca. Z tego, co kiedyś stanowiło jego dumną czuprynę, zostały nikłe siwe kłaczki na prześwitującej czaszce. Tej wiosny odkrył łączkę synagogi, niczego nie podejrzewając, przekopał ją i obsadził ziemniakami. Wodę bierze ze starej mykwy, która została pogłębiona; mówię mu, co stwierdziłem, kiwa głową, trochę niedowierzając.

Sympatyczny wiejski nicpoń, były kierownik poczty, Yves, dobiega już dziewięćdziesiątki i przechwala się swoim ostatnim podbojem, ledwie sześćdziesięcioletnią dziewczyną, jak sam mówi. Śmieje się swoim niepohamowanym szerokim śmiechem, wieczorami jada sam, zwykle jakiś groch z puszki i pół butelki taniego rosé. Przy jego domu gromadzą się rupiecie, muzeum *bric-à-brac* niechcianych rzeczy. Również burmistrz – właściciel restauracji, który życzliwie przygląda się ludziom gawędzącym pod platanami jego nastrojowego ogródka, posiwiiał i chodzi nieco przygarbiony.

Na wiejskim rynku wciąż jeszcze stoi niewzruszona postać dziewczyny z Nesque, zgrabnymi rękami symbolicznie nalewającej dzbanem wodę z rzeki do basenu, w którym pływają małe leszcze. Dziewczyna jest z brązu, ale zmysłowa, w pełnym wdzięku ubraniu opinającym jej ładne ciało i kształtne uda jest coś młodzieńczego i erotycznego – rzeźba została wykonana na zlecenie burmistrza Léona Doux w 1905 roku. Podczas drugiej wojny światowej przez lata przechowywano ją w jaskini, ponieważ Niemcy domagali się brązu na armaty. Gdy tylko wojna się skończyła, Nesque tryumfalnie wróciła na swój cokół. Ta piękna bogini rzeki mogłaby być dziewczyną taką jak Chamutal. Długo się jej przyglądam, potem głowie gryfa u jej stóp, który pluje wodą do basenu. Pokolenia kobiet przychodziły tu napełniać wiadra wodą do prania i na użytek domowy. Obracam się na pięcie. Zegar kościelny wybija czwartą. Życie wydaje się tu ponadczasowo płynąć dalej z cichym pluskiem.

Wkrótce ponad trzy czwarte ludności świata będzie mieszkało w metropoliach i konglomeratach. Ta stara, poetycka forma mieszkania powoli zaniknie. Być może jesteśmy

świadkami schyłku pewnej epoki. Epoki wiosek, która rozpoczęła się w niepamiętnych czasach, a teraz dobiega końca.

Nad dachami wciąż wisi kolosalna kamienna bryła, która oderwała się tysiąc lat temu, ledwie podpierana przez powoli kruszejące ruiny średniowiecznych murów miejskich. Nikt już chyba nie wierzy, że kiedykolwiek spadnie. Ale kiedy po stromej wspinaczce stoję blisko niej, widzę, że niezauważalnie i cicho, milimetr po milimetrze przesuwa się dalej. Widzę w każdym razie różnicę, w ciągu tych dwudziestu dwóch lat, odkąd przyjechałem tu po raz pierwszy. Może cierpliwie czeka, aż wieś zupełnie się wyludni.

*

Słyszałem, jak mówiono, że mistral umrze niczym pradawna bestia. Zmiana klimatyczna sprawi, że powoli będzie gasł, ponieważ lodowiec z Mont Blanc, który schładza i odbija zachodni wiatr, stopniowo topnieje. Lazurowy błękit nieba, który w ten sposób powstaje od niepamiętnych czasów i za który już Rzymianie kochali *provinciae*, być może kiedyś przejdzie do historii. Następuje to jednak tak wolno, że mogę się zestarzeć, poddając się melancholii tej myśli.

Znowu spaceruję do opuszczonej wsi Flaoussiers, parę kilometrów dalej. Ta mała dolina ma w sobie coś tajemniczego, co zawsze mnie pociągało. Jest się tam osłoniętym od wiatru, z wyjątkiem tych kilku dni w sezonie, kiedy wieje on dokładnie przez wąwóz. Wtedy człowiek niemal przyciska się do ziemi, żeby uniknąć przeszywającego zimna. Teraz jest tam pusto i zacisznie. Para sokołów krąży nad jałowymi łąkami. Gdzieś szczeka pies łańcuchowy; kilka pól lawendowych tuż nad doliną jest szarych po zbiorach. W oddali majestatycznie wyłania się wielki nagi Ventoux. Wszystko jest opustoszałe i prastare. Gdzieś beczy zagubione jagnię.

Wychodzę z małej doliny w kierunku parowów Nesque. Siadam w miejscu, w którym szkielet Chamutal blaknął w słońcu. Można poczuć pustkę historii, tutaj. Spływa na mnie jakiś spokój, tak ogromny i niewypowiedziany, że sam kładę się w miejscu tuż nad przepaścią.

Tutaj istnieją jeszcze takie idylliczne popołudnia, podczas których ociężałe białe chmury przypominają olbrzymich, śpiących bogów greckich płynących przez Elizjum, obiecując nam iskierkę raj. Sam czuję coraz większe pragnienie, żeby gdy nadejdzie czas, zostać pochowanym tu, w tej twardej ziemi. Wyobrażam sobie, że będę miał wtedy jeszcze parę lat wytchnienia, by leżąc, słuchać przesuwania się czasu, szumu cyprysów, bicia kościelnego dzwonu, pohukiwania sowy i świergotania żołn pszczołojadów ekstatycznie nurkujących nad moim grobem, z nienaruszalnym błękitem nad moimi ośleplonymi oczami.

Świat wiruje, ale gdy się na chwilę wstrzyma oddech, stoi w miejscu.

Monieux, wrzesień 1994 – lipiec 2016

Podziękowania

Jestem winien podziękowania doktorowi Benowi Outhwaite'owi, szefowi Taylor-Schechter Genizah Research Unit, Cambridge University Library, oraz doktor Melonie Schmierer-Lee, Research Associate z Genizah Research Unit, którzy elektronicznie udostępnili mi wspomniane manuskrypty, a także członkom administracji University Library i Manuscript Room.

Dziękuję profesorowi doktorowi Normanowi Golbowi i jego synowi doktorowi Raphaelowi Golbowi, którzy przetłumaczyli dla mnie dokument T-S 12.532, a ponadto stanowili duże wsparcie w dokumentowaniu tezy Monieux.

Dziękuję Steve'owi Kriefowi, sekretarzowi redakcji „L'Arche” w Paryżu, za trudne do znalezienia artykuły Normana Golba w piśmie o tej samej nazwie.

Dziękuję egipskiemu autorowi Alemu al-Aswaniemu za wyjaśniającą rozmowę o dzisiejszym Kairze, którą odbyliśmy w bardzo szczególnym miejscu w mieście.

Dziękuję doktorowi Raoulowi Bauerowi za pomoc, informacje i krytyczne ponowne przeczytanie opowieści pod kątem szczegółów historycznych; był pierwszą osobą, która zwróciła mi uwagę na tezę Muño.

Jestem także winien podziękowania Andy'emu Cosynowi i Kurtowi Stegmaierowi, mieszkańcom Monieux, którzy jako pierwsi powiedzieli mi o istnieniu naukowego artykułu Normana Golba. Andy'emu dziękuję też za wsparcie i informacje, za nasze rozmowy oraz włączeni wśród skał i krzewów, za wskazówki oraz książkę *Le trésor de Monieux*. Jego opis pogromu pobudził moją wyobraźnię. Był pierwszą osobą, z którą podzieliłem się swoim odkryciem mykwy.

Dziękuję doktor Ruth Kinet za wspaniałe rozmowy w Berlinie i pomoc w zbieraniu argumentów do tezy Monieux, a także Reuvenowi Namdarowi z Nowego Jorku, który krytycznym okiem spojrzął na manuskrypt T-S 16.100.

Dziękuję Esther Voet za poprawki dotyczące żydowskich zwyczajów oraz Leonardowi Ornsteinowi z VPRO, który mnie z nią skontaktował.

Dziękuję redaktorkom Suzanne Holtzer i Marisce Kleinhoonte van Os za ich wiarę w tę książkę oraz intensywną opiekę; dziękuję także mojemu dawnemu redaktorowi Wilowi Hansenowi za jego wskazówki.

Dziękuję Janowi Vanrietowi za uwagi i piękne sugestie.

Przede wszystkim jestem bardzo wdzięczny mojej żonie Sigrid, która wraz ze mną doświadczała całej diaspory i z miłością i oddaniem pomogła mi doprowadzić tę opowieść do dobrego końca – opowieść o miejscu, w którym nadal przeżywamy swoje najszcześniejsze chwile.

Na koniec dziękuję leciwemu żydowskiemu sprzedawcy ulicznemu ze Starego Kairu, który opowiadał mi o synagodze i podarował stary folder, ze łzami wysłuchał mojej historii i nie przestawał za mną wołać – w końcu była sobota: *Szabat szalom*.

Przypisy

- [1] Czterech bandytów (fr.) – wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.
- [2] Była impreza? (fr.).
- [3] Tak, impreza, istotnie. Impreza (fr.).
- [4] Cytaty biblijne pochodzą z Biblii warszawskiej, wydanie internetowe: www.biblia-internetowa.pl.
- [5] Lawrence Durrell, *Kwartet aleksandryjski*, t. 1: *Justyna*, przeł. Maria Skibniewska, Warszawa 1995, s. 21, 22.
- [6] Simon Schama, *Historia Żydów od 1000 r. p.n.e. do 1492 r. n.e.*, przeł. Mateusz Fafiński, Poznań 2016, s. 357.

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)
[Spis treści](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Motto](#)
[Dedykacja](#)
[Motto 2](#)
[I. Góra Jowisza](#)

1
2
3
4
5
6

[II. Rouen](#)

1
2
3
4
5
6
7

[III. Ucieczka](#)

1
2
3
4
5
6
7
8
9

[IV. Narbona](#)

1
2
3

[V. Moniou](#)

1
2
3
4
5
6
7

[VI. Przeprawa](#)

1
2

3
4
5
6
7
8

VII. Kair

1
2
3
4
5
6

VIII. Nájera

1
2
3

IX. Cambridge

X. Skarb z Monieux

1
2
3

Podziękowania

Przypisy

Spis treści

[Karta redakcyjna](#)

[Motto](#)

[Dedykacja](#)

[Motto 2](#)

[I. Góra Jowisza](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[II. Rouen](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[III. Ucieczka](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

9

IV. Narbona

1

2

3

V. Moniou

1

2

3

4

5

6

7

VI. Przeprawa

1

2

3

4

5

6

7

8

VII. Kair

1

2

3

4

5

6

VIII. Nájera

1

2

3

IX. Cambridge

X. Skarb z Monieux

- 1
- 2
- 3

Podziękowania

Przypisy.

Table of Contents

Strona tytułowa	
Spis treści	
Karta redakcyjna	
Motto	
Dedykacja	
Motto 2	
I. Góra Jowisza	
	1
	2
	3
	4
	5
	6
II. Rouen	
	1
	2
	3
	4
	5
	6
	7
III. Ucieczka	
	1
	2
	3
	4
	5
	6
	7
	8
	9
IV. Narbona	
	1
	2
	3
V. Moniou	
	1
	2
	3
	4
	5
	6
	7
VI. Przeprawa	
	1
	2

3
4
5
6
7
8

VII. Kair

1
2
3
4
5
6

VIII. Nájera

1
2
3

IX. Cambridge

X. Skarb z Monieux

1
2
3

Podziękowania

Przypisy.

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Spis treści](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Motto](#)

[Dedykacja](#)

[Motto 2](#)

[I. Góra Jowisza](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[II. Rouen](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[III. Ucieczka](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[IV. Narbona](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[V. Moniou](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[VI. Przeprawa](#)

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8

VII. Kair

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6

VIII. Nájera

- 1
- 2
- 3

IX. Cambridge

X. Skarb z Monieux

- 1
- 2
- 3

Podziękowania

Przypisy.